HIPOKRYCI KRÓLAMI INTERNETU

Jak najwięksi hejterzy bohatersko walczą z hejtem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 36/338 2–8 WRZEŚNIA 2019

Janusz Wojciechowski – kim jest nowy kandydat Polski na komisarza UE

SZUKAJ WYDANIA Z PORUSZAJĄCYM FILMEM FABULARNYM

Gmyz demaskuje niemiecką cenzurę

Jak ekolodzy grają dziećmi

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 77 tys. egzemplarzy

Szwedka Greta Thunberg

eprasa.pl e505c47817

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

www.naj.lotos.pl

eprasa.pl e505c478f7

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

LOTOS

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Dwie mamy bez taty

Marzenia radykalnych ideologów spełniają się na naszych oczach. Dzięki projektowi, który przygotował francuski rząd i który ma zostać przyjęty we wrześniu, kolejna granica barbarzyństwa zostanie przekroczona. Nie mam wątpliwości, że tak się stanie. Walec postępu posuwa się nieustannie. Słabi europejscy politycy, którzy muszą stawić czoło własnej nieudolności, mają tylko jeden pomysł na utrzymanie władzy: ciągle przesuwają się na lewo. Tak było wcześniej z prezydentem Hollande'em, tak jest z Emmanuelem Macronem. Prowadząc politykę w istocie skrajną i nieludzką, dzięki poparciu mediów uchodzą za obrońców umiaru.

Tym razem francuscy politycy zamierzają wprowadzić prawo, na mocy którego dzieci poczęte „ze wspomaganiem medycznym" na życzenie par lesbijek będą miały dwie matki. Tak, to nie żart ani nie ponura wyobraźnia prawicowa: szefowa francuskiego resortu sprawiedliwości Nicole Belloubet, która przygotowuje projekt ustawy o bioetyce razem z ministrami zdrowia i nauki, zapowiedziała, że znajdzie się w niej zapis umożliwiający wpisanie do aktu urodzenia dziecka dwóch matek zamiast matki i ojca. Powoli zatem spełniają się marzenia radykalnych feministek, które pierwszy raz pojawiły się w latach 70. XX w. Ojcostwo okazuje się niepotrzebne. Udział mężczyzny w tym akcie został ukryty za zasłoną lewackiej nowomowy, czyli za określeniem „ze wspomaganiem medycznym". Mężczyzna wciąż jest dostarczycielem spermy, którą zostaje zapłodniona jedna z kobiet, jednak udział tego, co męskie, zostaje zatarty i przykryty pseudonaukowym żargonem. Dwie matki i żadnego ojca. To konieczna konsekwencja wcześniejszego szaleństwa, na mocy którego Francja ogłosiła, że związki homoseksualistów i lesbijek są małżeństwami: jeśli tym, co determinuje pojęcia języka, nie jest natura, ale ludzka wola, ludzka zdolność konstruowania słów, to wszystko jest możliwe. Skoro związek pana i pana lub pani i pani zostaje nazwany małżeństwem, co stanowi gwałt na naturze i rzeczywistości, to równie dobrze można powiedzieć, że dziecko będzie miało dwie matki.

Oczywiście, równie logiczne będzie ogłoszenie, że dziecko ma trzy matki lub więcej, ale na to trzeba jeszcze poczekać. Podobnie – bo przecież nie wolno nikogo dyskryminować – pojawią się rodziny z dwoma ojcami: o wszystkim decyduje przecież wola prawodawcy. Ta zaś będzie odpowiadała zachciankom i widzimisię skrajnych lobby. Skoro człowiek ma prawo do szczęścia i zadowolenia, a dwie panie (lub więcej) chcą być nazywane mamami jednego dziecka, to prawodawca wychodzi ich roszczeniom naprzeciw.

Nie ma znaczenia w tym przypadku dobro dziecka, które, co ciekawe, traktowane jest przez prawodawcę jak przedmiot, a jego przeznaczeniem jest to, że ma ono zaspokoić pragnienie dwóch pań do jednoczesnego macierzyństwa. Niebywałe, ale te rozwiązania często są przyjmowane bez sprzeciwu psychologów, którzy, to się nazywa szczyt hipokryzji, potrafią jednocześnie twierdzić, że obecność ojca i matki służy dobru dziecka. Służy, ale nie służy. Poza tym przecież dwie mamy mogą się umówić, że jedna będzie trochę tatą i już – słowa nie mają związku z rzeczywistością, powtarzam, ale są zawsze dziełem arbitralnej woli. Chorej, egotycznej, skrajnie narcystycznej. Kogo to jednak obchodzi?

W niedługiej przyszłości spodziewam się, że po wprowadzeniu tego prawa rząd francuski zadba o to, żeby uciszyć też jego przeciwników. Tak dokładnie postąpiono z przeciwnikami aborcji, którym odebrano głos w Internecie, powołując się na to, że organizacjom pro-life nie wolno rozpowszechniać informacji mających negatywne skutki na samopoczucie zabijających własne dzieci kobiet. Wkrótce zatem, może za rok, może dwa, kiedy to prezydent Macron znowu będzie potrzebował zmobilizować media, pojawi się ustawa zakazująca krytyki prawa o dwóch matkach. Przecież jeśli się je ocenia, to się im sprawia przykrość. A postępowy rząd nie pozwoli, żeby komuś sprawiać przykrość. Wolność słowa? O tak, wolność słowa jest potrzebna, ale musi być odpowiedzialna. Jak można podważać prawo człowieka, jakim jest prawo kobiety, żeby być nazywaną matką? A poza tym taka krytyka może się odbić na dziecku, a przecież ono ma być szczęśliwe. Jak można pozwolić na to, żeby dziecko dwóch matek czuło się gorzej niż dziecko matki i ojca?

I tak krok po kroku demokracja liberalna zyskuje coraz bardziej mroczne oblicze. Zmienia znaczenie słów, perfidnie manipuluje pojęciami. Jak w tym nie widzieć dzieła diabła? ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl e505c478f7

TEMAT TYGODNIA

18 PIOTR WŁOCZYK
OPERACJA „GRETA"
Mocne uderzenie zielonego biznesu

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MŁODE PLECY REWOLUCJI

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
NA OSTATNIEJ PROSTEJ
Cisza przed kampanijną burzą?

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PIERWSZY ROLNIK UE?

30 PIOTR GOCIEK
NIENAWIŚĆ I JEJ WROGOWIE

34 ŁUKASZ WARZECHA
REWOLUCJA HULAJNOGOWA

36 RADOSŁAW WOJTAS
LEKCJA POKORY

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLSKA POD KRZYŻEM

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
SHERLOCK NIEŚMIERTELNY
Udany powrót do klasyki

42 MONIKA MAŁKOWSKA
SZTUKA NA POTRZEBY CZASU

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 CEZARY GMYZ
NIEMCY ZNIEWOLENI
Spętani rządową propagandą

56 MAREK JUREK
WOLNOŚĆ TO NIE LUKSUS

HISTORIA

58 ROZMOWA Z PROF. MARKIEM KORNATEM
UKRYWANIE PLANÓW SOWIECKIEGO CIOSU W PLECY
Dlaczego Zachód nie informował Polski o zagrożeniu

62 PIOTR SEMKA
JAK NIEMIEC Z RUMUNEM

66 ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI
EFEMERYCZNY ZABORCA

ŚWIAT

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
MACRON CHCE RESETU Z ROSJĄ
Pożyteczny idiota znad Sekwany

76 TERESA STYLIŃSKA
TĘCZA, DUMA I ROZTERKI

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
PRZYJAZNY POLAKOM BELGRAD

EKONOMIA

80 TOMASZ CUKIERNIK
SPRINGER PO AMERYKAŃSKU
Czy redaktor Lis polubi Trumpa?

83 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
ZŁY WIZERUNEK MAMY JUŻ ZA SOBĄ

STYL

84 JACEK PRZYBYLSKI
TROPIKALNY RAJ DLA POLAKÓW
Gorące wakacje przez cały rok

SPORT

88 ŁUKASZ ZBORALSKI
DŻENTELMEN POGROMCA
Po 37 latach Polak wygrał turniej ATP

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z PROF. PIOTREM GAŁECKIM
DEPRESJA UMIE SIĘ MASKOWAĆ
1,7 mln Polaków przyjmuje leki antydepresyjne

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (61), WARZECHA (74), GABRYEL, RYBIŃSKI (82), KOMUDA (92), SIEDLECKA (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl e505c478f7

Drodzy Czytelnicy,

Tym razem polemika jednego z czytelników z Piotrem Semką, a także uwaga odnośnie do ostatniej okładki „Do Rzeczy". Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wielka herezja Rafała Wosia", Piotr Semka, „DRz" 33/2019

Piotr Semka pisze w „Do Rzeczy" o książce lewicowego publicysty Rafała Wosia „Lewicę racz nam zwrócić, Panie". Dostrzega, że sama „rzetelność intelektualna" pozwala lewicowcowi dostrzec, iż wściekły opór względem narodu czy religii to ksenofobia, a strach przed „motłochem", który może obalić „postępowe rozwiązania", prowadzi do podważenia demokracji... Na tej podstawie pan Semka z nadzieją wnioskuje o sensowności rozważań pana Wosia – mimo zastrzeżeń, że w wielu sprawach nijak się nie zgodzą...

Cóż, moim zdaniem pan Semka grzeszy naiwnością – z dobrych oczywiście pobudek, z dobrej woli – ale przecież wiadomo, że dobrymi chęciami... A przecież kluczowy fragment Wosia, nakazujący traktować go co najmniej nieufnie, jest w recenzji wspomniany – chodzi o apologię PRL i twierdzenie, że mimo wszystkich wad miała niezwykle propostępowy charakter, spłaszczając nierówności społeczne. Owszem, pan Semka przytacza swój kontrargument jeszcze z czasów szkolnych – że w innych krajach komunizmu nie było, a postęp jednak się dokonał, nawet większy. Dodałbym tutaj na obronę pana Wosia, że postęp socjalny w krajach niekomunistycznych dokonywał się częściowo ze strachu przed komunizmem – podobnie jak np. ochrona Kościoła po Lutrze była spowodowana w wielkiej mierze strachem przed utratą „rządu dusz". [...]

Wracając do tematu – podobnie jak pan Semka mam wrażenie, że historia zatacza koło – jego nadzieje, że oto wreszcie lewica „przegląda na oczy", są podobne do nadziei obywateli, często bardzo uczciwych (acz naiwnych), że komunizm się zmieni, ucywilizuje – w PRL od Gomułki poczynając... Potrzeba było dekad, aby większość społeczeństwa uznała, że reformy komunizmu to jeśli nawet nie próżny trud, to w każdym razie naprawa butów tak niewygodnych, że naprawdę lepiej kupić nowe. Nie zapominajmy, że szaleństwa komunizmu, nawet tego „z ludzką twarzą", tak jak w Polsce poststalinowskiej, były dużo bardziej dotkliwe (także dla tych, których komunizm miał bronić) niż (na razie) ekscesy tzw. liberalizmu (nazwa równie trafna co tytuł „obrońców pokoju" dla panów Adolfa i Józka).

Przy okazji pragnę gorąco podziękować, że pozostają Państwo jednym z nielicznych miejsc, gdzie dziennikarstwo traktuje się poważnie. Widać to szczególnie w zwyczaju umieszczania rzeczowych polemik – podpartych faktami, a nie sprowadzających się do manipulacji. Pochodzę z dziennikarskiej rodziny i wiem, że rzetelność myślenia to wielka wartość. Niestety, dziś coraz bardziej zapomniana, ale Państwo dają światełko nadziei!

Pozdrawiam serdecznie
Michał Eysymont

Okładka nr 35/2019

Jak co tydzień zakupiłem „Do Rzeczy", by oddać się lekturze jedynego tygodnika, który regularnie czytuję. Po wzięciu do rąk rzuciła mi się do oczu fantazja waszego redakcyjnego grafika i jego kompletny brak wiedzy historycznej. Toż to woła o sprostowanie, bo o ile mi wiadomo, wśród obrońców Polskiej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte we wrześniu 1939 r. nie było ani jednego policjanta, co sugeruje orzeł wz. 27 na hełmie postaci z okładki. Hełm przedstawiony na okładce to wz. 31, tzw. salamandra, który był faktycznie na stanie Wojska Polskiego w 1939 r. Hełmy wz. 31 używane przez żołnierzy na Westerplatte nie miały ani malowanych, ani doczepianych orzełków (tak jak były ich pozbawione wszystkie hełmy wz. 31 użyte we wrześniu 1939 r. przez Wojsko Polskie). Rozumiem, że powyższy „obrazek" jest niejako kalką z książki p. Jacka Komudy, ale to i tak nie jest ani dowód, ani fakt, że tak wyekwipowany był którykolwiek z obrońców Westerplatte we wrześniu 1939 r.

Z wyrazami szacunku
Ireneusz Kępka, Warszawa

Od redakcji

Bardzo dziękujemy za list. Jak słusznie Pan zauważył, wspomniana okładka „Do Rzeczy" powstała w oparciu o twórczą wizję autora okładki nowej książki Jacka Komudy – za zgodą wydawcy książki, rzecz jasna.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Michael Campanella/Getty Images, Panos Pictures/Forum Reuters/Forum (2), Grzegorz Banaszak/REPORTER; oprac. graf. QBA/JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl e505c478f7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Moje boje z Józefem Monetą

Tydzień temu „Fakt" poprosił mnie o skomentowanie hejtu w polskiej przestrzeni publicznej. Skrytykowałem grupę sędziów z Ministerstwa Sprawiedliwości, zdziwiłem się ich zaufaniem do „Małej EmiE", ale też zachęciłem, by nie sprowadzać całego zła hejtu do tego jednego przypadku. Wskazałem, że hejt w sieci podzielić można na trzy grupy. „W pierwszej są pospolici anonimowi hejterzy, którzy kolportują w sieci nienawistne opinie. W drugiej – sojusznicy danej władzy, którzy piszą pod pseudonimami, zdobywają zainteresowanie większej grupy internautów i starają się w ten sposób interpretować rzeczywistość, mieszając krytyczne opinie z prawdziwymi faktami, tak jak właśnie Mała Emi – ale z drugiej np. Sok z Buraka czy Józef Moneta. W końcu trzecia grupa to politycy, którzy rażą jak siekiera ostrymi słowami. Czy nie są hejterami tylko dlatego, że występują pod otwartą przyłbicą?".

Gdy tylko wywiad ukazał się w „Fakcie", w sieci rozpętała się burza. „Jak można dowcipnego i inteligentnego »Józka« przyrównywać do hejterów?" – pytano.

Przyrównałem, bo sam bywałem na celowniku pana Monety. Gdy otrzymałem Krzyż Wolności i Sprawiedliwości, pan Moneta orzekł, że Andrzej Stasiuk już to wcześniej przewidział, co można było skojarzyć z popularnymi w salonie tezami o kreowaniu przez PiS nowych bohaterów w miejsce starych. Gdy kiedyś w radiu wspomniałem slogan ze stanu wojennego: „A na wiosnę zamiast liści będą wisieć komuniści", Moneta pytał w sieci, czy jest jakieś zdjęcie z redaktorem Semką wchodzącym na drzewo.

Gdy wezwano mnie do pokazania nagannych tweetów Monety, znalazłem się w kropce. Nie archiwizowałem ich, a szybkie ich znalezienie nie jest łatwe. Szybko jednak odezwali się twitterowicze z prawej strony, którzy przypomnieli, jak Moneta nazywał Zbigniewa Ziobrę – Ławrientijem Ziobrą (aluzja do stalinowca Berii) czy wręcz nazywał go „mendą" lub „karaczanem".

Nie powstrzymało to portalu naTemat.pl, aby zrobić wywiad z Monetą jako zaszczutą ofiarą. Anna Dryjańska pytała z egzaltacją: „Jak się poczułeś z tym, że po wybuchu afery donosowej w rządzie PiS prawicowy publicysta Piotr Semka wskazał cię jako twitterowego hejtera po drugiej stronie barykady? Narrację Semki podchwycili później politycy partii rządzącej i pracownicy TVP". Moneta odpowiadał: „To były dla mnie ciężkie chwile. […] Zabolały mnie nie tyle ich słowa, co próba inicjacji ataku. To są osoby publiczne, jakby nie patrzeć o dużym zasięgu. Czy nie mają innych argumentów, skoro atakują takiego człowieka jak ja? Jeżeli w państwie PiS niszczono znanych ludzi, to jakie szanse miałby zwykły obywatel? A ja nim jestem".

Cała historia to dobra ilustracja dwóch rzeczy. Po pierwsze, jak łatwo idealizować tych, których lubimy, bo śmieją się z tych, których sami nie cierpimy. Wtedy hejtu nie zauważamy. Po drugie, godne jest uwagi, jak szybko mistrz internetowej niechęci ubranej zazwyczaj w ciętą ironię, ale i niekiedy w niewybredny epitet, nawet lekko skrytykowany ustraja się w kostium ofiary nagonki ze strony wszechpotężnego państwa. Pod tym względem Józef Moneta naprawdę zrobił na mnie wrażenie. ©℗

O HEJCIE I HEJTERACH TAKŻE W TEKŚCIE PIOTRA GOĆKA NA STRONIE 30

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

MORAWIECKI: STAWIAMY ŚWIAT NA NOGACH

Premier Mateusz Morawiecki ogłosił, że przygotowuje przyszłoroczny budżet, w którym wydatki państwa mają się zrównać z dochodami na poziomie 429,5 mld zł. Tym samym spełnić ma się marzenie wielu konserwatywnych liberałów o braku deficytu. Jednym ze źródeł dodatkowych dochodów ma być jednorazowa opłata związana z przekształceniem OFE. Przewidziane jest też dalsze uszczelnianie systemu podatkowego. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl e505c478f7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Deficyt patriotyzmu

Gdy Grzegorz Schetyna nazwał swą partię „opozycją totalną", ja pozwoliłem sobie zaproponować określenie „opozycja magnacka". Po liście grupy byłych ambasadorów, a więc ludzi bardzo mocno usadowionych w układzie, który wyborcy w roku 2015 odsunęli od wpływów, widzę, że trafiłem doskonale.

Opozycja magnacka – czyli skupiona nie wokół jakiegokolwiek programu, tylko wokół interesów osób, które czują się ważne i walczą o to, aby je władza należycie doceniała, słuchała i zaspokajała ich oczekiwania. Jeśli tak nie jest, to osoby te bez żadnego oporu czy wyrzutów czują się uprawnione, by zwracać się o pomoc przeciwko niedoceniającemu ich państwu polskiemu do każdego, kto mógłby jej udzielić. Nawet do jego otwartych wrogów.

Magnackie myślenie mocno i złowrogo zapisało się w dziejach Rzeczypospolitej. Gdy król „ukrzywdził" – w jego przekonaniu – Radziejowskiego, Radziejowski pojechał do Szwecji, by namawiać jej króla do napaści na Polskę i wskazywać słabe punkty w obronie. Różni Radziwiłłowie, Braniccy, Potoccy w różnych okresach i w różnych sytuacjach szli w jego ślady, przywołując i wspierając obce interwencje. Często mówili przy tym o łamanych przez „despotę" króla wolnościach, o obronie praw przed rokoszami i samowolą szlacheckiej „chąsy" i innych wzniosłych sprawach – ale szło zawsze o co innego, o własne wpływy, znaczenie i bogactwa.

I dokładnie o to samo chodzi dziś „opozycji totalnej". Nie o żadne idee, programy – bo trudno uznać za takowe szukanie synekur i protekcyj na unijnych dworach, a żadnych innych ambicji opozycja nie ma. Byli ambasadorowie piszą do prezydenta USA z prośbą, aby przywołał do porządku władze w Warszawie i zmusił je do „przywrócenia praworządności" (co rozumieją analogicznie do Szczęsnego Potockiego jako „przywrócenie staropolskich wolności"). Takie prośby bywają wystosowywane przez dysydentów w krajach rządzonych przez satrapów i reżimy. Ale nie ma usprawiedliwienia, gdy o obcą interwencję proszą ludzie, którzy potracili stołki, bo ich partia po prostu przegrała wybory i następne przegra jeszcze bardziej.

Napisałem w pierwszym odruchu, że takiego postępowania nie da się nazwać słowem innym niż wulgarne. Po długim namyśle znalazłem eufemizm. Opozycja magnacka wykazuje się immanentnym deficytem patriotyzmu. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Straszenie Trybunałem

Politycy PiS opowiadają o ewentualnym postawieniu Donalda Tuska przed Trybunałem Stanu za decyzje ułatwiające bezkarne funkcjonowanie mafii VAT-owskiej. Opozycja już podniosła krzyk, że to skandal, hańba i niedopuszczalne. Słychać wycie, tyle że mocno na wyrost. „Skuteczność" PiS w rozliczaniu afer jest gwarantem, że byłemu premierowi włos z głowy nie spadnie.

Nie żeby Tusk i jego ferajna przed TS czy przed sądami stanąć nie powinni. Powinni. Na przykład za aferę hazardową – bo to właśnie z otoczenia Tuska wyciekały informacje, które umożliwiły cwaniakom działalność i utrudniły śledztwo. I co zrobiono w tej sprawie? Nic. Albo za oddanie śledztwa w sprawie katastrofy smoleńskiej Rosjanom. Tygodnik „Do Rzeczy" rok temu ujawnił dokumenty, którymi dysponował wówczas Tusk, jednoznacznie wskazujące, że przekazanie śledztwa utrudni wyjaśnienie przyczyn katastrofy. I co zrobiono, by sprawę rozliczyć? Śledztwo trwa od lat, tyle że bez wymiernych efektów.

Co jeszcze obciąża Tuska? Chociażby nadzór – osobisty – jak deklarował, nad służbami specjalnymi, które to służby przekraczały uprawnienia, inwigilując dziennikarzy. Tyle że krakowska prokuratura, od trzech lat „badająca" sprawę, raczej pozoruje śledztwo, niż je prowadzi. Podobnie jest i w sprawie prywatyzacji „Rz" i sprzedaży gazety Grzegorzowi Hajdarowiczowi, kumplowi Pawła Grasia. Jeśli nieprawidłowości były, a wiele na to wskazuje, to i tak politycy PO mogą spać spokojnie. Prokuratura, a minęło już 36 miesięcy od wszczęcia śledztwa, nie potrafi zakończyć go decyzjami procesowymi.

Logika jest prosta. Po co rozliczać afery PO, skoro przed każdymi kolejnymi wyborami, a za rok będą prezydenckie, można pomachać Trybunałem czy prokuraturą jak straszakiem? Tylko wyborcy w buńczuczne zapowiedzi coraz mniej wierzą. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

Królowa ułatwi twardy brexit

Wielka Brytania opuści Unię Europejską 31 października niezależnie od okoliczności – konsekwentnie zapowiada premier Wielkiej Brytanii. Boris Johnson zdecydował się zagrać va banque i aby utrudnić parlamentarzystom nieprzychylnym tzw. twardemu brexitowi, czyli opuszczeniu UE bez umowy, blokowanie swoich działań, poprosił królową o zgodę na zawieszenie parlamentu.

Elżbieta II – wbrew protestom opozycyjnych polityków – zgodziła się na zawieszenie obrad parlamentu. Zgodnie z postanowieniem parlament będzie mógł przerwać obrady najwcześniej 9 września, a najpóźniej 12 września, wznowi je zaś dopiero po prezentującej plany legislacyjne rządu mowie tronowej Elżbiety II, przewidzianej na 14 października.

Tymczasem do kluczowego dla sprawy brexitu unijnego szczytu w Brukseli ma dojść 17–18 października. Izbie Gmin może więc nie wystarczyć czasu na przyjęcie przepisów, które umożliwiłyby zablokowanie twardego brexitu. Mimo to lider Partii Pracy Jeremy Corbyn zapowiedział, że opozycja podejmie próbę zablokowania opuszczenia UE bez porozumienia za pomocą ustawy zapobiegającej takiemu rozwojowi wydarzeń. Petycję przeciw decyzji premiera Johnsona o zawieszeniu prac Izby Gmin podpisało w zeszym tygodniu ponad 1,5 mln Brytyjczyków.

FOT. VICTORIA JONES/WPA/GETTY IMAGES

Wcześniej wyjście Wielkiej Brytanii z UE było już przekładane. Ostatnio do brexitu miało dojść już 29 marca 2019 r. Ówczesna premier Theresa May nie była jednak w stanie przekonać parlamentu do zaakceptowania porozumienia wynegocjowanego z przedstawicielami Unii. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

eprasa.pl e505c478f7

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nowy wspaniały świat rodzicielstwa

Amerykańska para, 39-letni Matthew i 61-letnia Irmgard, bardzo chciała mieć potomstwo, ale z przyczyn oczywistych nie mogła. Zwrócili się o pomoc do świadczącej usługi produkowania i sprzedaży dzieci ukraińskiej firmy Biotexcom. Ta zajmuje się wyszukiwaniem matek-surogatek, które za opłatą dziecko urodzą i oddadzą nabywcom, a także stroną prawną transakcji, by klienci mogli bez przeszkód wywieźć żywy towar z Ukrainy.

Jak się okazało, rzekomo grożący Bridget stan wegetatywny był wymysłem

Biotexcom znalazł surogatkę w pogrążonym na skutek wojny domowej w biedzie Doniecku. Naturalnie chodzi o haniebne wykorzystanie dramatycznej sytuacji jakiejś zdesperowanej Ukrainki. Pech chciał, że w lutym 2016 r. Ukrainka po 25 tygodniach ciąży urodziła ważącą 800 gramów dziewczynkę, wcześniaka. Jej brat bliźniak zmarł w czasie porodu, co może nasuwać brzydkie podejrzenia. Wszak Matthew i Irmgard bliźniaków w Biotexcom nie zamawiali. Co gorsza, lekarze stwierdzili, że dziewczynka urodziła się z wadami mózgu.

Amerykańska para nie zgodziła się przyjąć wadliwego towaru i z Doniecka wróciła do domu. Wysłała do władz ukraińskich następujący list: „25 maja 2016 roku dowiedzieliśmy się, że nasza Bridget jest chora umysłowo i fizycznie. Grozi jej stan wegetatywny i nigdy nie będzie osobą normalną. Lekarze radzą i zalecają przerwanie wszelkich form terapii, by Bridget mogła znaleźć spokój". Czyli amerykańska para w dość jasny sposób sugerowała, by poddać dziewczynkę eutanazji.

Przy czym, jak się okazało, rzekomo grożący Bridget stan wegetatywny był wymysłem. Bridget jest nieco upośledzona. Przebywa w szpitalu pediatrycznym w Zaporożu. Jak powiedziała zajmującej się sprawą stacji ABC News jedna z pielęgniarek: „Dla mnie to najlepsza, najpiękniejsza, najweselsza i najbardziej inteligenta dziewczynka".

Amerykańska para ostatnio definitywnie odmówiła adopcji Bridget. Dziewczynka trafi niebawem do domu dziecka bez szans na jakąkolwiek terapię, a Matthew i Irmgard zamówili już dziecko w innej firmie. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Szambo wybiło

Kiedy czytają państwo te słowa, kończy się wizyta Donalda Trumpa w Polsce. Tomasz Lis wolał jednak nie ryzykować konfrontacji z jej owocami, na wszelki wypadek uprzedzając fakty. „Już mnie lekko mdli na myśl o tym medialnym orgazmie, który nastąpi u nas, głównie w telewizjach, gdy 31 sierpnia przyleci do Polski z Waszyngtonu kłamca, rasista i przyjaciel Kim Dzong Una, który nigdy nie zostałby prezydentem USA bez pomocy Putina" – napisał. „Axel Springer w rękach Amerykanów. Republikański miliarder kupił większość akcji" – doniosło konto twitterowe naszego tygodnika. Nerwy pana redaktora zapewne bez związku.

Gdy w Warszawie rozgrywała się wielka polityka, w Wiśle tonęła ta mała, krajowa. „PiS cynicznie gra awarią rurociągu przesyłowego. Do awarii doszło wczoraj i zadziałał rurociąg zapasowy. Do kontrolowanego zrzutu doszło dziś rano, po awarii systemu zapasowego, poinformowano służby i opinię publiczną. Jakość wody pitnej w Warszawie jest niezagrożona" – uspokajał Michał Szczerba. „Ten wściekły atak na warszawski Ratusz pokazuje, jak potężny problem ma PiS z #Ziobro i #MinisterstwoNienawiści" – stwierdził Arkadiusz Myrcha.

A co z ekologami? Ci polecili czekać, obserwować i niczego nie upolityczniać. „Nie wdając się w jakieś rozbudowane analizy szambogate, to istotnie zabawne jest, jak ekolodzy pouczają na TT, że to żadna ekokatastrofa, a tylko jedna z wielu awarii. Gdyby to ktoś inny zawinił, a nie Trzaskowski – Greenpeace już by montował banner »wstyd« na kancelarii premiera" – zauważył Piotr Semka.

A może wystarczyło posłuchać znanej podróżniczki? „Beata Pawlikowska radzi: »Jeśli chcesz pomóc Amazonii, przebacz komuś, do kogo czujesz urazę«" – głosił nagłówek z portalu, który wkleił Michał Majewski, dodając następujący, gorzki komentarz: „Jakby się tak sędziowie Szmydt, Cichocki, Piebiak, Mała Emi i szef Iustitii przytulili, to byłoby po pożarze. Ale oczywiście lepiej trzymać urazę i niszczyć planetę". Z tego pojednania i na oczyszczenie Wisły by wystarczyło. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

FOT. REUTERS/FORUM

Huragan pokrzyżował plany Trumpa

Znając pragmatyzm Donalda Trumpa i jego hasło „America first", trudno się dziwić, że w obliczu zbliżającego się do Florydy huraganu „Dorian" podjął decyzję o pozostaniu w kraju i odwołał wizytę w Warszawie

Protokół dyplomatyczny ambasady USA jeszcze w czwartkowe popołudnie rozsyłał oficjalne zaproszenia na koncert upamiętniający 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej w Teatrze Wielkim Operze Narodowej. W planie „Polskie requiem" Krzysztofa Penderecki, a na widowni spodziewani prezydenci Polski i USA. Kilka godzin później, przed godz. 23 polskiego czasu, podczas przemówienia w Ogrodzie Różanym w Białym Domu wszystko okazało się jasne. Ustalanej do ostatniej chwili wizyty jednak nie będzie. Jako oficjalny powód Donald Trump podał konieczność osobistego nadzorowania sytuacji na Florydzie, nad którą nadciąga stale przybierający na sile huragan „Dorian".

„Wszyscy jesteśmy rozczarowani, że prezydent nie może przyjechać do Polski. To przykre, ale w tej chwili Donald Trump musi być z narodem amerykańskim. Modlimy się za rodziny, które są na trasie huraganu" – napisała na Twitterze ambasador Georgette Mosbacher. Swojego rozczarowania nieoficjalnie nie kryli polscy politycy, którzy w rozmowie z „Do Rzeczy" mówili, że 29 sierpnia po stronie amerykańskiej zapanował „komunikacyjny chaos". Tego samego dnia minister Krzysztof Szczerski ogłosił przeniesienie wizyty na 1 i 2 września tylko po to, aby po paru godzinach informacja ta okazała się nieaktualna.

Niemniej teorie spiskowe, które namnożyły się po wystąpieniu Trumpa, pokazują, jak niewiele polska klasa polityczna rozumie z dynamiki polityki wewnątrzamerykańskiej. Paweł Rabiej, wiceprezydent Warszawy, spekulował, że prawdziwym powodem przełożenia podróży na późniejszy termin mogła być „afera w wymiarze sprawiedliwości", natomiast Marcin Kierwiński z PO wspomniał o presji, którą wywarły amerykańskie media na prezydenta, krytycznie „oceniając stan polskiej praworządności".

– Ambasada i Kancelaria Prezydenta zostały poinformowane natychmiast – twierdzi jeden z polskich dyplomatów pracujących w Waszyngtonie. Jak dodaje, „na razie za wcześnie, żeby doszukiwać się drugiego i trzeciego dna decyzji", jednak podkreśla, iż Amerykanie „nie blefowali, mówiąc, że wizyta się odbędzie". – To dla nich trudna, wewnątrzkrajowa decyzja. Wybory prezydenckie będą się decydowały w swing states, a nie w Warszawie – twierdzi informator „Do Rzeczy".

I właśnie na tym obszarze leży najbardziej prawdopodobne i pragmatyczne wyjaśnienie tego, co się stało. Chociaż amerykańskie media donosiły pod koniec sierpnia, że po odwołaniu rozmów z Danią i wcześniejszym pobycie we Francji na szczycie G7 Donald Trump niechętnie zapatruje się na kolejną podróż do Europy, to fakty przeczą takiej interpretacji. Amerykańska głowa państwa chciała ogłosić w Warszawie oficjalną nominację Polski do programu ruchu bezwizowego Visa Waiver. Na miejscu miały być również podpisywane ważne umowy telekomunikacyjne, z implementacją technologii 5G na czele. W ten sposób Amerykanie chcieli się pozbyć największego konkurenta na polskim rynku, chińskiego giganta Huawei. Planowano również rozmowy multilateralne Polska-Ukraina-USA oraz podpisanie dokumentów związanych z lokalizacją kolejnej bazy dla wojsk amerykańskich w Polsce.

Trzeba również pamiętać, jak ważna w kontekście wyborów prezydenckich w 2020 r. jest dla Donalda Trumpa Florida. Dzięki pozyskaniu w 2016 r. 29 głosów elektorskich z tego wahającego się stanu przypieczętował on swoje zwycięstwo. Z 528 elektorów w całych Stanach Zjednoczonych więcej albo tyle samo posiadają tylko: Kalifornia, Teksas i Nowy Jork. Poza tym w amerykańskiej polityce wszyscy pamiętają, jak kończy się lekceważenie klęsk żywiołowych. Chociaż George W. Bush nie walczył wtedy o reelekcję, bagatelizowanie przez niego huraganu „Katrina", który w 2005 r. uderzył w Nowy Orlean w Luizjanie, oznaczało kres jego politycznej kariery. W momencie ogłoszenia stanu klęski żywiołowej to nie władze stanowe, ale federalne przejmują kontrolę nad zarządzaniem kryzysowym. Prezydent obecny w tym czasie za granicą spotkałby się z ogromną falą krytyki.

Pytanie, czy Donald Trump będzie w stanie wywiązać się ze swojej obietnicy i stosunkowo szybko przylecieć do Warszawy jeszcze przed wyborami 13 października, zadałem szefowi Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. – Przy standardowym prezydencie przylot do Polski przed wyborami uznałbym za bardzo mało prawdopodobny. Jednakże standardowy prezydent nie przyjąłby zaproszenia na 1 września. To jest data, która Amerykanom nic nie mówi. Obama 10 lat temu wyrzucił polskie zaproszenie do kosza bez otwierania koperty – twierdzi Sławomir Dębski. Jak dodaje, obecna wizyta „była dopięta i Trump od kilku miesięcy sugerował, że chce przylecieć". – To więc była rzecz bardziej pewna niż w 2017 r. szczyt Trójmorza, do którego Trump dał się przekonać w ostatniej chwili, miesiąc przed samym wydarzeniem. Prezydent chciał zainaugurować w Polsce kampanię prezydencką, zainauguruje na Florydzie. Szanse, że pojawi się w Warszawie przed 13 października, oceniam na 50 proc. To dużo – twierdzi Dębski. Z pewnych względów Floryda to dla amerykańskiej głowy państwa również sprawa osobista. Trump posiada w Palm Beach – na trasie huraganu „Dorian" – swoją słynną rezydencję Mar-a-Lago, zwaną „zimowym Białym Domem". Znając jego pragmatyzm i głoszone od początku hasło „America first", trudno się dziwić podjętej decyzji. W Polsce zastąpi go wiceprezydent Mike Pence, na miejscu obecny jest również doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John R. Bolton. ©℗

Marcin Makowski

eprasa.pl e505c478f7

GENIALNE DZIECKO

Aktorka Weronika Rosati postanowiła zabrać swoją dwuletnią córkę Elizabeth do jednego z muzeów w Los Angeles, by latorośl od najmłodszych lat miała kontakt ze sztuką. Obie podziwiały „Irysy" van Gogha, co Rosati szczegółowo zrelacjonowała na Instagramie. Przy okazji poinformowała też świat o wysublimowanych zainteresowaniach swojej dwuletniej córki, która – jak się okazuje – obok dzieł van Gogha ceni sobie klasykę kina oraz twórczość Franka Sinatry. – Jesteśmy fankami obrazu „Irysy" van Gogha – stwierdziła Rosati. – Uwielbiam pokazywać sztukę mojemu dziecku, ona kocha chodzić do muzeów, oglądać klasykę kina i słuchać Franka Sinatry – wyznała. Za rok Elizabeth wynajdzie lek na raka. No nie może być inaczej.

TAKI AUTORYTET, ŻE AŻ STRACH

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Kariera młodziutkiej Roksany Węgiel, która wygrała dziecięcą Eurowizję, rozwija się w zawrotnym tempie. Nie wszystkim się to jednak podoba. Roksana bywa krytykowana za swój styl ubierania się, który zdaniem niektórych starszych koleżanek po fachu jest nieadekwatny do jej wieku, czyli zbyt wyzywający. Tak stwierdziła niedawno nowa gwiazda polskiego show-biznesu niejaka Blanka Lipińska. Sama Roksana odniosła się do tej krytyki w rozmowie z portalem Plejada. – Ubieram się tak, jak mi się podoba. Nie uważam, żeby to było jakoś wyzywająco. Jeśli chodzi o panią Blankę, to jest jej opinia, każdy może mieć swoją opinię. Ja uważam, że moje stylówki są odpowiednie do tego, co robię, odpowiednie do mojego wieku, nic nie ma tutaj kontrowersyjnego – powiedziała. Dodajmy, że Blanka Lipińska pouczająca Roksanę to autorka powieści erotycznej, wzorowanej na „50 twarzach Greya". Z takim moralnym autorytetem – doprawdy – trudno dyskutować.

CHYTRA BABA Z RADOMIA

Przez kolorowe media przewinęła się plotka, jakoby Maryla Rodowicz dostała propozycję zasiadania w jury nowej, skierowanej do seniorów wersji muzycznego show „The Voice of Poland". Produkcji miało bardzo zależeć na tym, by pozyskać Rodowicz do programu. Niestety, nie udało się z powodu, jak doniosły tabloidy, zbyt wygórowanych oczekiwań finansowych piosenkarki. Plotki te tak zdenerwowały Rodowicz, że postanowiła wydać specjalne oświadczenie w tej sprawie! „»Fakt« podaje, że zażądałam astronomicznej kwoty 400 tys. plus ogromnej kwoty na kostiumy. Otóż są to nieprawdziwe informacje – napisała Maryla Rodowicz. – Po pierwsze nikt ze mną nie negocjował, owszem, pani z produkcji rozmawiała wstępnie z moim menedżerem, po drugie nic się w tym artykule nie zgadza. Robi się ze mnie chytrą babę z Radomia. Nie pozwolę na takie oczernianie, poza tym wydawało mi się, że firma Rochstar jest firmą poważną i nie powinna sobie pozwalać na ujawnianie mediom szczegółów negocjacji. Zresztą żadnych negocjacji nie było, owszem wspominano, że mnie zaproszą na rozmowy, tyle że do nich nie doszło" – napisała rozżalona. Nie ruszają nas za bardzo kulisy przepychanek pani Maryli z firmą producencką, bo wiadomo, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o to, co zawsze. Tylko Radomia żal.

FOT. PAWEŁ GROMADA

JAK NAPIWEK MOŻE URATOWAĆ AMAZONIĘ

Znana podróżniczka, a od niedawna także coach od wszystkiego Beata Pawlikowska odniosła się do sytuacji płonących lasów w Amazonii. Najpierw fachowo wytłumaczyła, że „z tego, co udało jej się ustalić, obecne pożary w Amazonii nie są zjawiskiem naturalnym, lecz raczej wywołanym przez ludzi". Niestety na tym nie poprzestała. Dalej zaczęła snuć rozważania o tym, dlaczego nie należy popadać w depresję w związku z tym, co się dzieje w Amazonii. – Tymczasem jednak zamiast płakać, rozpaczać i cierpieć z powodu nieszczęścia dziejącego się po drugiej stronie świata, koncentruję się na tym, żeby każdego dnia czynić i myśleć jak najwięcej dobra. Tylko bowiem bezinteresowne, życzliwe dobro i miłość są w stanie uleczyć zło [...]. Jeśli chcecie pomóc Amazonii, proszę skoncentrujcie się na czynieniu dobra w swoim codziennym życiu – radzi Pawlikowska. I daje przykłady, aby być życzliwym dla osób w kolejce, dawać napiwki kelnerom, życzyć innym miłego dnia, mówić komplementy. Tyle wystarczy, by uratować świat. A przynajmniej Amazonię. Dla samej Pawlikowskiej ratunku już raczej nie widać. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Ech, kochani, w tym roku również wypadł 1 września i znów wszyscy musieliśmy cały dzień znosić tę przewidywalną do bólu narrację o ataku nazistów (tej formy będziemy się trzymać, iż – jak wiadomo – Niemcy w czasie wojny byli zaganiani do pracy w kuchniach polowych i orkiestrach wojskowych).

Jak co roku bowiem mówimy o Westerplatte, o nalotach, potem radziecki nóż w plecy itd. A to minęło 80 lat! Przez tyle czasu można było chyba wymyślić coś nowego, jeśli w ogóle nadal jest potrzeba, aby o tym mówić. A mamy poważne wątpliwości, czy trzeba.

Spójrzcie przeciesh sami: po takim czasie to już prawie nikt nie pamięta, jak to było, można of kors narzucić i przyjąć pewną narrację jako prawdę i się jej trzymać, a w tej narracji wiadomo, kto jest sprawcą wojny. Jednak w obecnej sytuacji politycznej w tym kraju jest to of kors niemożliwe.

Dlatego my dalibyśmy sobie spokój z tymi rocznicami, nie ma co rozbudzać patriotycznych demonów nacjonalizmu, zwłaszcza że żyjemy we wspólnej przecież, równej i zjednoczonej Europie.

Nie wiemy jak wy, ale my zaczynamy odczuwać rosnącą presję, gęstniejącą atmosferę w tym kraju i coraz wyraźniej czujemy, iż niedługo na pewno zaczną się te represje i internowania.

Dalibyśmy sobie spokój z tymi rocznicami, nie ma co rozbudzać patriotycznych demonów nacjonalizmu, zwłaszcza że żyjemy we wspólnej przecież, równej i zjednoczonej Europie

Of kors dzieje się tak z powodów zbliżającej się kampanii wyborczej i kolejnych przeprowadzonych na Podkarpaciu sondaży, według których pis ponownie wygra wybory.

Zastanawiamy się więc, jaką deklarację złożyć na wypadek niedemokratycznego rozstrzygnięcia wyborów – postraszyć, iż wyjedziemy za granicę? Czy iż będziemy się wstydzić za ten kraj jeszcze mocniej (o ile to możliwe)?

Na wszelki wypadek śpimy ze szczoteczką do zębów pod poduszką, na wypadek gdyby siepacze Kaczafiego i Kamińskiego chcieli nas internować na czas kampanii, iżbyśmy wam nie mówili, co należy myśleć.

Przykro obserwować młodzież szkolną, która kolejny raz musi rozpoczynać nowy rok szkolny i wkuwać do głów te wszystkie daty, wzory, lektury i równania. Polska szkoła jednak zupełnie nie dorosła do wyzwań współczesności.

Przykład? Czy mamy gdziekolwiek zajęcia z obsługi Insta? Albo zajęcia z popularności aplikacji społecznościowych z aktualizowaną na bieżąco podstawą programową?

Nie ma też zajęć z historii YouTube, pisania wniosków o ukaranie osób płodzących za schowanie smartfona i przymuszanie do wyrzucania śmieci ani edukacji seksualnej w zakresie umożliwiającym swobodne poruszanie się wśród wszystkich 123984 płci.

Wygląda na to, że kolejny rok szkolny będzie stracony, a młodzież znów nabije sobie głowę jakimiś nieprzydatnymi w jej codziennym życiu głupotami. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na promocję książki:

Grzegorza Bębnika *„Sonderfahndungsbuch Polen (Specjalna Księga Gończa dla Polski). Reprint"*

Udział wezmą:

dr hab.Grzegorz Bębnik
autor opracowania, Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Katowicach

dr Marcin Przegiętka
Biuro Badań Historycznych IPN, koordynator CPB „Ziemie polskie pod okupacją 1939–1945"

dr Paweł Kosiński
Biuro Badań Historycznych IPN

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Prowadzenie:
dr hab. prof. UG Grzegorz Berendt

11 września (środa) 2019 r., godz. 17:30

Przystanek Historia
Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Patroni medialni:

Organizatorzy:

eprasa.pl e505c478f7

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

eprasa.pl e505c478f7

KATASTROFA EKOLOGICZNA NA WIŚLE

W warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka doszło do awarii, która może doprowadzić do poważnego skażenia środowiska.

Obydwa kolektory dostarczające ścieki do oczyszczalni Czajka są niesprawne i praktycznie całe ścieki wypływają do Wisły. Według resortu środowiska do rzeki wpływa 260 tys. metrów sześc. nieczystości na dobę. Eksperci zalecają więc, aby nie kąpać się w Wiśle ani nie łowić w niej ryb.

Premier Mateusz Morawiecki podjął decyzję o budowie alternatywnego rurociągu, którym ścieki z lewobrzeżnej Warszawy zostaną przerzucone na prawy brzeg, aby trafiły do oczyszczalni Czajka.

– Zdarza się, że rury pękają, ale jeśli nie ma reakcji, jeśli ukrywa się ten fakt, jeśli odmawia się pomocy, którą rząd chce i oferuje, to to jest bardzo, bardzo zła sprawa – stwierdził w rozmowie z TVP Info szef gabinetu politycznego premiera Marek Suski. – To przypomina mi sytuację katastrofy w Czarnobylu. Ukrywano to, dokąd można było. Później się nie dało ukryć, bo Wisłą zaczęła płynąć pianą – dodał Suski, podkreślając „nieodpowiedzialność Platformy". ©℗

eprasa.pl e505c478f7

Wiemy, wiemy, zamieszanie międzynarodowe, brexit i trumpxit, ale sprawy krajowe są najważniejsze. Nie wiemy, czy już to ktoś zdradził, ale jeśli nie, to informujemy pierwsi: konwencja wyborcza PiS 7 września odbędzie się nie tak ogólnie na Lubelszczyźnie, tylko konkretnie w Lublinie. Co przyjmujemy z pewną satysfakcją, bo czas najwyższy ostatecznie złożyć do grobu niesławny cytat z wypowiedzi byłego ministra Karpińskiego Włodzimierza z PeŁo: „ch** tam z tą Polską Wschodnią".

Teraz już o sprawach międzynarodowych. Zmiana decyzji w ostatniej chwili, dziwaczne tłumaczenia, emocjonalne wystąpienia w mediach społecznościowych – spójrzmy prawdzie w oczy. Donald Trump okazał się Pawłem Kukizem.

Przyszło nam do głowy jeszcze jedno, znacznie mniej przyjemne dla Trumpa, porównanie. Pamiętają państwo, kto był poprzednim prezydentem USA odwołującym swój przylot do Polski, tłumacząc się zjawiskami atmosferycznymi? Chodziło o przylot na pogrzeb pary prezydenckiej, śp. Marii i Lecha Kaczyńskich na Wawelu, oraz wybuch wulkanu Eyjafjallajökull. Tak, panie prezydencie Trump. Spójrzmy prawdzie w oczy – okazał się pan zwykłym Obamą.

W związku z odwołaniem przez Trumpa wizyty w Polsce, co uznajemy za osobisty afront, postanowiliśmy zmienić mu ksywę w naszej rubryce. Odtąd nie będzie już Dobrym Donaldem z Waszyngtonu. Będzie tylko Donaldem Trumpem. Ksywa Złego Donalda z Brukseli pozostaje bez zmian. Gdyby jednak odwołał swoje dalsze wizyty w Polsce, też moglibyśmy rozważyć jej zmianę.

W ramach protestu postanowiliśmy zbojkotować przemówienie Trumpa bez Trumpa. No bo po co nam taka atrakcja? To jeszcze gorsze niż burger bez mięsa albo jajecznica bez jajek. Albo niż antysystemowcy bez Kukiza. A tak bardziej serio. Dlaczego kiedy nasi sojusznicy chcą nam wywinąć jakiś numer, to akurat zawsze musi być we wrześniu?

Ksywa Złego Donalda z Brukseli pozostaje bez zmian. Gdyby jednak odwołał swoje dalsze wizyty w Polsce, też moglibyśmy rozważyć jej zmianę

Apropos września – gratulacje dla miasta Wrocławia! Od 1 września ma on nową mieszkankę. Małgorzata Kidawa-Błońska, wicemarszałek Sejmu z ramienia PeŁo, zamieszkała w tym pięknym nadodrzańskim grodzie. Zesłana z Warszawy do Wrocławia, by kandydować jako jedynka Kołalicji Łobywatelskiej, stwierdziła, że nie da się dobrze robić kampanii ze stolicy, więc postanowiła na najbliższe półtora miesiąca przenieść się do matecznika Grzegorza Króla Skorpiona Schetyny.

Tymczasem we Wrocławiu dzieją się sprawy dużo bardziej interesujące. CBA w ubiegłym tygodniu urządziło w tamtejszym Sky Tower pobudkę niejakiemu Grzegorzowi Ś. Facet jest przyzwyczajony, bo już kiedyś siedział za to, co wyczyniał, kiedy był prezesem rafinerii w Trzebini. Za czasów Tuska uznano jednak, że zniknięcie jakichś 700 baniek to nie jest taka ważna

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl e505c478f7

sprawa i Grzegorza Ś. puszczono wolno. Sprawa ma charakter rozwojowy i potencjał polityczny.

Już wyjaśniamy: otóż Grzegorz Ś. wkradł się był w łaski śp. Aleksandra Gudzowatego i uzyskał wpływ na większość jego firm. Ohydna plotka niesie, że kiedy Gudzowaty odszedł z tego padołu łez, Grzegorz Ś. zainteresował się nie tylko pieniędzmi z firm Aleksandra, lecz także jego prywatną kolekcją nagrań. Z tej kolekcji znane jest tylko nagranie słynnej rozmowy ze śp. Józefem Oleksym.

Co to ma wspólnego z rajdem na Sky Tower? Ano to, że siepacze z CBA się nie obcyndalali i tego dnia co Grzegorza Ś. wygarnęli jeszcze dwie papugi oraz przeszukali kilkanaście nieruchomości. Nie ukrywajmy, że ta informacja wzbudziła pewien niepokój i to w wielu miejscach. Między innymi dlatego, że zdaniem wiewiórek w kolekcji nagrań jest choćby bardzo szczera rozmowa Gudzowatego z Adamem Michnikiem. Posłuchalibyśmy.

Teraz Poznań. Kandydatem PiS na senatora jest Jarosław Pucek. Kiedyś jako działacz PeŁo współrządził stowarzyszeniem kibiców Wiara Lecha, a na stadionie Kolejorza skandowano: „Kto nie skacze, ten za PiS". Potem Pucek zaangażował się w wojnę kibiców z Tuskiem i w imieniu kiboli negocjował z niedobrym Donaldem (obecnie w Brukseli) rozejm. Za to wszystko wywalono go z PeŁo. Sympatycy partii miłości nie zapomnieli o Pucku. Wysyłają mu teraz takie oto wiadomości: „Obyś konkretnie przepierdolił", „Jeb… ścierwo przyjdzie odpowiedni czas...". Piszemy o tym, gdyż tak jak PeŁo walczymy z hejtem.

Pucek chyba ma już trochę dosyć, bo kiedy w miniony czwartek odbyły się konwencja wyborcza PiS w Poznaniu i przemówienie Kaczora Dyktatora, nie pojawił się na niej. Brak Pucka komentowano szeroko i kąśliwie. Wygląda na to, że Pucek ma teraz przechlapane u jednych i drugich. Idealny materiał na senatora niezależnego.

Wygląda na to, że Pucek ma teraz przechlapane u jednych i drugich. Idealny materiał na senatora niezależnego

Audyt. Takie ładne słowo. To też efekt afery Piebiaka. Na Nowogrodzkiej narasta silne przekonanie, że czas dokonać przeglądu kadr podsumowującego pierwszą kadencję.

Sytuacja budżetu 2020 w rzeczywistości może być jeszcze lepsza, bo wyszykowano go z lekkim niedomiarem wpływów. Zwłaszcza z uszczelniania rynku paliw

Apropos hejtu – mamy taką informację: z początku PiS chciał w Poznaniu na senatora wystawić pewnego bardzo znanego lekarza, ale środowisko lekarzy zrobiło mu taki hejt wewnętrzny, że zrezygnował. Potem PiS chciał wystawić pewnego bardzo znanego historyka, ale dla odmiany środowisko PiS zrobiło mu taki hejt wewnętrzny, że zrezygnował. No i skończyło się na Pucku, obiekcie hejtu obustronnego. Polska polityka w pigułce.

Wracając do hejtu. Po aferze z wiceministrem sprawiedliwości Piebiakiem zatrzęsło się. Stugębna plotka głosi, że po wyborach Zbyszek Zizou będzie już tylko szeregowym posłem ziemi kieleckiej. Przyjmujemy tę plotkę ze stoickim spokojem, bo gdybyśmy za każdym razem, kiedy się pojawia, dostawali dychę, to jeździlibyśmy jaguarami.

Inna sprawa, że plotkujące wiewiórki wskazują też na rychły odstrzał prokuratora krajowego, Bogdana Świączkowskiego, zwanego przez przyjaciół Godzillą. Chodzi o to, że radykalni PiS-owcy przychodzą do Kaczora Dyktatora z pretensjami w sprawie prokuratury. Najbardziej ich wkurza, że goście z PeŁo zamiast siedzieć, kandydują do Senatu. Chodzi oczywiście o Stasia Gawłowskiego i Krzysia Kwiatkowskiego. Po wolności chodzi też Stasio Pinior. Chociaż ten akurat nie kandyduje.

I wyciągnąć wnioski na drugą kadencję, zanim ta się jeszcze rozpocznie. Obiektem szczególnego zainteresowania są rozmaici wice-, ale także kierownicy i dyrektorzy niższego szczebla, nie tylko w ministerstwach. Mężczyźni, kobiety, bez różnicy. Zwłaszcza ci, którzy nadgorliwością szkodzą sprawie. Czekamy, czekamy.

Apropos kadr. Rządowe wiewiórki mówią, że nowego ministra finansów na półtora miesiąca jednak się nie powoła, bo resort nadzorował będzie premier Mateusz. Mówią też dużo ciekawsze rzeczy o projekcie budżetu na przyszły rok.

Oto wspomniane ciekawsze rzeczy: sytuacja budżetu 2020 w rzeczywistości może być jeszcze lepsza, bo wyszykowano go z lekkim niedomiarem wpływów. Zwłaszcza z uszczelniania rynku paliw. Dzięki temu okaże się, że to nie tylko pierwszy w dziejach III RP budżet bez deficytu, lecz także pierwszy z nadwyżką. Kiedy się okaże? Po wynikach pierwszego kwartału 2020 r. Akurat tak jakoś przed wyborami prezydenckimi.

No tak, tylko czy będzie ta druga kadencja? W sensie samodzielnych rządów? Ludzi małej wiary nakłaniamy do optymizmu. Zawsze można liczyć przecież na Rafcia Trzaskowskiego, dulczesa Warszawy. To on przed eurowyborami wyskoczył z kartą LGBT+ i wystawił Kaczafiemu piłkę do ścinki. To on teraz popisał się polityką kryzysową w związku ze ściekową katastrofą w Warszawie, dając okazję rządowi do pokazania, jak dobrze PiS walczy z żywiołem. W związku z tym mamy dla Rafcia nową ksywę. Oficjalnie mianujemy go Jonaszem. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

Operacja „Greta”

Piotr Włoczyk

Skąd się wziął fenomen 16-letniej Szwedki, którą lewica okrzyknęła „klimatyczną prorokinią”? Brytyjska prasa donosi, że za wszystkim stoją wielki zielony biznes i grupa bardzo zdolnych PR-owców

Angielskie Plymouth po raz pierwszy zasłynęło w kategorii rejsów oceanicznych w 1620 r., gdy grupa 102 purytanów wypłynęła stamtąd na pokładzie żaglowca „Mayflower”, by po drugiej stronie oceanu szukać lepszego życia i wolności religijnej. Tak powstała legenda, która szybko stała się fundamentem amerykańskiej tożsamości.

399 lat później, 14 sierpnia 2019 r., z tego samego portu w bardzo podobną trasę wypłynęła inna jednostka, która już zdążyła przejść do historii. A przynajmniej do historii walki aktywistów klimatycznych z transportem lotniczym.

Superszybki jacht oceaniczny „Malizia II” miał przewieźć do Nowego Jorku nastolatkę, w której lewica na całym świecie upatruje liderkę walki ze zmianami klimatycznymi. 16-letnia Greta Thunberg przez ostatni rok co piątek przychodziła pod szwedzki parlament z tabliczką z napisem: „Szkolny strajk dla klimatu”, stawiając tamtejszym politykom nierealne żądanie zmniejszania emisji CO_2 co roku o 15 proc.

eprasa.pl e505c478f7

Greta Thunberg stała się ikoną walki o klimat. Wszystko wskazuje na to, że została na nią wykreowana FOT. FACETOFACE/REPORTER

Greta Thunberg szybko stała się gwiazdą ruchu ekologicznego. Trafiła na setki okładek, w tym m.in. na pierwszą stronę magazynu „Time", który uznał ją za jedną z najbardziej wpływowych osób na świecie w 2019 r. (usytuowana została między prezydentem USA a prezydentem Meksyku…). Niewykluczone też, że to właśnie ona dostanie w tym roku pokojowego Nobla, ponieważ jest jedną z głównych faworytek spośród osób nominowanych do tej nagrody.

16-latka zainspirowała rzesze nastolatków na całym świecie, którzy zorganizowali podobne protesty w ponad stu miastach. W Polsce w ślady Grety poszła Inga Zasowska, która nawet upodobniła się do swojej idolki fizycznie (zaplotła takie same dwa warkocze), ale strajkowała pod Sejmem tylko przez pięć piątków z rzędu – w sierpniu zrobiła sobie wakacje od protestowania.

Greta Thunberg 23 września ma przemawiać w Nowym Jorku na szczycie klimatycznym, ale że programowo nie lata samolotami (z uwagi na dużą emisję gazów cieplarnianych), to od kilku miesięcy spekulowano, jak młoda aktywistka poradzi sobie z problemem, na który sama siebie skazała. Początkowo Thunberg zastanawiała się nad podróżą na pokładzie gigantycznego kontenerowca, który – jak wynika z jej wyliczeń – jest najmniej zatruwającym środowisko konwencjonalnym środkiem transportu przez Atlantyk. Ostatecznie jednak z pomocą przyszła jej rodzina książęca z Monako, która pożyczyła jej swój 18-metrowy jacht oceaniczny (wart ponad 15 mln zł). Oklejony panelami solarnymi i proekologicznymi hasłami jacht stał się dumą zielonych na całym świecie.

TAJEMNICA SUKCESU

Wszystko wyglądało świetnie do momentu, gdy dziennikarze „Bilda" ujawnili, że wymiana załogi, by jacht mógł wrócić do Europy, będzie jednak wiązała się z niemałą emisją gazów cieplarnianych. Operacja ta musiała się oczywiście odbyć drogą lotniczą, więc gdyby młoda szwedzka aktywistka wybrała się do USA samolotem wraz z towarzyszącym jej ojcem, to przeliczając osobokilometry na emisję CO_2, taki rodzaj podróży zanieczyściłby środowisko trzy razy mniej niż rejs „zero-emisyjnym" jachtem. Na marginesie dziennikarze „Bilda" złośliwie zauważyli też, że sponsorowanie całej eskapady przez Monako, czerpiącego ogromne zyski z obsługi największych i najbardziej luksusowych jachtów o napędzie spalinowym, to szczyt hipokryzji.

Mimo tych potknięć i oczywistego absurdu całej żaglowej eskapady do USA rejs jachtem trzeba uznać za PR-owski majstersztyk. Greta Thunberg codziennie relacjonowała w mediach społecznościowych postępy w podróży, zachwalała bliskość z naturą (nawiasem mówiąc, na pokładzie jachtu nie ma toalety, bo to jednostka sportowa), a jej coraz większe grono fanów (na samym Twitterze obserwuje już ją ponad 1,1 mln ludzi) wyrażało zachwyt nad jej bezkompromisowym podejściem do ochrony środowiska.

W czasie, gdy „zeroemisyjna" podróż młodej Szwedki była szeroko relacjonowana przez największe lewicowe media, niemal niezauważony przez mainstream przeszedł artykuł w „The Sunday Times", który rzucał nowe światło na temat prawdziwych przyczyn niezwykle dynamicznej kariery 16-letniej „klimatycznej prorokini". Brytyjski dziennikarz Dominic Green wykonał niezbyt w sumie skomplikowane śledztwo dziennikarskie, które obnażyło mechanizm tworzenia ikony walki o „zieloną" przyszłość i pokazało, kto za tym wszystkim stoi.

„Nastoletnia aktywistka Greta Thunberg chce tylko zmienić świat. Mętna klika stojąca za nią ma inne cele" – czytamy we wstępie do tekstu Greena. Dalej pisze: „Fenomen Grety obejmuje także zielonych lobbystów, speców od PR, ekoakademików i think tank założony przez bogatą byłą minister w socjaldemokratycznym rządzie Szwecji, która ma powiązania z tamtejszymi firmami energetycznymi. Te firmy przygotowują się na największą bonanzę rządowych kontraktów w historii: zazielenienie zachodnich gospodarek. Greta – czy ona i jej rodzice zdają sobie z tego sprawę, czy nie – stała się twarzą ich politycznej strategii".

AKTYWISTA I BIZNESMEN

Kluczową postacią, która stoi za wylansowaniem nastolatki, ma być Ingmar Rentzhog, szwedzki aktywista klimatyczny, PR-owiec i równocześnie biznesmen działający w zielonym sektorze.

Chociaż rodzice Grety Thunberg cały czas utrzymują, że to ich córka sama od początku do końca wymyśliła swój „szkolny strajk dla klimatu", to Green udowadnia w tekście, iż prawda wygląda inaczej.

Rentzhog jest m.in. założycielem platformy społecznościowej We Don't Have Time, która prowadzi w Internecie kampanię na rzecz zmuszenia kolejnych państw do wzięcia na siebie coraz bardziej ambitnych celów klimatycznych, co oznacza oczywiście sięganie po technologie oferowane przez zielony sektor. Ten aktywista klimatyczny

eprasa.pl e505c478f7

wyszkolony został przez specjalistów z założonej przez Ala Gore'a organizacji The Climate Reality Project, która jest kuźnią kadr zielonych organizacji na całym świecie.

To właśnie Rentzhog wrzucił do sieci 20 sierpnia zeszłego roku zdjęcie Grety Thunberg samotnie siedzącej pod budynkiem szwedzkiego parlamentu, które szybko stało się tzw. wiralem, czyli było masowo przekazywane dalej przez użytkowników mediów społecznościowych. Sam pomysł „szkolnego strajku klimatycznego" miał jednak wymyślić inny aktywista klimatyczny – Bo Thorén. Szwedzka dziennikarka Rebecca Weidmo Uvell jako pierwsza opisała genialnie prosty pomysł Thoréna na kampanię włączenia dzieci do walki o zazielenienie zachodnich gospodarek. Thorén długo szukał odpowiedniej kandydatki, aż trafił na Gretę Thunberg, która zajęła akurat drugie miejsce w konkursie na najlepszy tekst ekologiczny zorganizowany przez szwedzki dziennik „Svenska Dagbladet". W ten sposób Thorén i zdolny PR-owiec Rentzhog rozpoczęli akcję, której efekty musiały przerosnąć ich najśmielsze oczekiwania.

Chociaż sam Rentzhog upiera się, że po raz pierwszy spotkał Gretę i jej matkę 20 sierpnia 2018 r., w dniu jej pierwszego protestu pod szwedzkim parlamentem, to w innej części korespondencji z Greenem przyznał, iż spotkał się z jej matką kilka miesięcy wcześniej, na konferencji klimatycznej w Sztokholmie.

Trudno też odmówić talentów do promocji matce Grety, Malenie Ernman, która jest znaną w Szwecji śpiewaczką operową (w 2009 r. reprezentowała nawet swój kraj na konkursie Eurowizji). Tak się bowiem jakoś złożyło, że książka napisana przez matkę i ojca Grety pt. „Scenes from the Heart" na temat ich życia prywatnego i ich walki o klimat miała swoją premierę trzy dni po tym, gdy zdjęcie ich córki pod budynkiem parlamentu stało się wiralem. W pierwszej edycji książki na okładce znalazła się twarz Maleny, ale w kolejnych (książka ukazała się od tego czasu w wielu krajach) na okładki trafiła już Greta.

To jednak tylko ciekawostka w porównaniu z najważniejszym elementem układanki stojącej za wypromowaniem Grety Thunberg.

Równolegle z prowadzeniem platformy We Don't Have Time Rentzhog szefuje think tankowi Global Utmaning (Globalne Wyzwanie), który został założony przez milionerkę Kristinę Persson, socjaldemokratyczną polityk, która jest przy okazji bardzo zaangażowaną członkinią ruchu New Age.

„Kiedy więc Greta poznała Rentzhoga, był on szefem (otrzymywał za to pensję) prywatnego think tanku należącego do byłej socjaldemokratycznej minister z powiązaniami z sektorem energetycznym. Jego zarząd pełen był potężnych interesów tego sektora, zasiadali w nim m.in. socjaldemokratyczni politycy, przywódcy związkowi oraz lobbyści z powiązaniami w Brukseli. Wiceprzewodnicząca zarządu [Catharina Nystedt Ringebord] była członkinią jednej z największych szwedzkich grup inwestycyjnych z sektora zielonej energii" – pisze Dominic Green.

Trzy dni po tym, jak zdjęcie strajkującej Grety podbiło Internet, na rynek weszła książka jej rodziców m.in. o ich walce o klimat

KLUCZOWA ROLA

Jak można ocenić wpływ kampanii prowadzonej przez Gretę Thunberg na interesy prowadzone przez zielony biznes? Bardzo szczerze wypowiedział się w tej sprawie Anders Wijkman, były wiceprzewodniczący Klubu Rzymskiego, który już od lat 70. prowadzi proklimatyczną politykę, i równocześnie członek zarządu think tanku Globalne Wyzwanie. „Mieliśmy wielu naukowców i badaczy klimatu, który wypowiadali się przez wiele lat w bardzo alarmistycznym tonie – powiedział Wijkman w rozmowie z Dominikiem Greenem. – Ale dopiero teraz, przez te ostatnie kilka miesięcy, koncept stanu wyjątkowego został mniej lub bardziej zaakceptowany". Jego zdaniem rola Grety była w tym wszystkim „kluczowa". – Jeszcze pół roku temu młodzi ludzie zdawali się nie przywiązywać do tego większej uwagi, ale teraz już jest inaczej. Tak więc ona była tym piorunem, tym katalizatorem – powiedział Wijkman.

Wpływ Grety Thunberg na młodzież w krajach zachodnich faktycznie trudno przecenić, szczególnie w jej rodzimej Szwecji, gdzie osiągnęła już wśród młodych status ekocelebrytki. Wypromowane przez nią pojęcie „flygskam" (w wolnym tłumaczeniu „wstyd z powodu latania") powoduje coraz większe straty w szwedzkim sektorze lotniczym. Szwedzi coraz mniej chętnie wsiadają do samolotów, ale wszelkie rekordy pobiła ostatnio tamtejsza socjaldemokratyczna młodzieżówka, która domaga się wprowadzenia zakazu lotów między największymi szwedzkimi miastami.

Jednym z postulatów wysuwanych przez 16-latkę jest ogłaszanie przez kolejne rządy „klimatycznego stanu wyjątkowego", co ma się wiązać z ekspresowym przestawianiem ich gospodarek na zielone tory. W maju taką deklarację powziął brytyjski parlament. Wielka Brytania stała się tym samym pierwszym krajem na świecie, który ogłosił na swoim terytorium „klimatyczny strajk wyjątkowy". Doszło do tego kilka dni po wizycie Grety Thunberg w Londynie, która zaktywizowała tamtejszych zielonych. Chociaż samo uchwalenie przez Izbę Gmin „klimatycznego stanu wyjątkowego" nie pociąga za sobą żadnych konkretnych zobowiązań, to tamtejsza lewica – na czele z Jeremym Corbynem – widzi w tym przełomowy moment walki o „zieloną przyszłość".

„Jej ekofani zwiększają szansę na uchwalenie ustaw i pojawienie się inwestycji, które przyniosą olbrzymie profity dla takich instytucji jak Globalne Wyzwanie […] oraz brytyjskich i amerykańskich lobbystów i korporacji, które wgramoliły się na pokład jej kampanii. Dla gigantów energetycznych w Szwecji i gdzie indziej ratowanie planety oznacza hojne rządowe kontrakty. Lobbyści z sektora zielonej energii używają populistycznej taktyki straszenia, a także dziecięcej krucjaty, by ominąć wybranych przedstawicieli społeczeństw. U celu tej drogi jest technokracja, a nie demokracja; zysk, a nie redystrybucja. Greta, dziecko »świadomego kapitalizmu« jest używana do ułatwienia przejścia w stronę zielonego korporacjonizmu" – konkluduje swój tekst Green.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

GAZOWNICY
W OBRONIE WARSZAWY

Teren Gazowni Warszawskiej w 1939 r.
Obecnie znajduje się tu siedziba PGNiG SA.

Pożar Gazowni Warszawskiej po bombardowaniu.

W czasie II wojny światowej na terenie Gazowni Warszawskiej dochodziło do licznych akcji sabotażowych. Działała tam także komórka organizacji podziemnej zajmującej się pomocą Żydom w getcie warszawskim. Po wybuchu powstania warszawskiego gazownia została odcięta od miasta, ale nadal pracowała. Na terenie zakładu znalazło schronienie wielu powstańców i mieszkańców Warszawy, którym wydawano zaświadczenia o zatrudnieniu ze wsteczną datą, aby w razie niemieckiej rewizji nie zostali rozpoznani.

W czasie działań wojennych oraz podczas powstania warszawskiego zginęło wielu pracowników Gazowni Warszawskiej. Ich pamięci poświęcona jest tablica wmurowana w ścianę budynku wieży ciśnień na Woli. Znajduje się na niej 57 nazwisk tych, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych, bądź zostali rozstrzelani na Woli.

Tablica pamięci na terenie Centrali PGNiG SA przy ul. M. Kasprzaka 25 w Warszawie.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

PGNiG

FOT. FORUM

Młode plecy rewolucji

Rafał A. Ziemkiewicz

W próbie zmontowania przez współczesną lewicę swoistej dziecięcej krucjaty „w obronie klimatu" widać istotne podobieństwo do działań sierot po Marksie

Od lat radykalna lewica nie wciągała tak intensywnie w swoje działania dzieci. Dzieci maszerują i strajkują w obronie klimatu, dzieci przykuwają się do drzew, dzieci, w imię „ratowania planety", stawiają pod pręgierzem rządy i opinię publiczną – wszystko to z ogromnym medialnym nagłośnieniem i w atmosferze moralnego szantażu, który ma zamknąć usta wątpiącym i zmusić do zawieszenia zdrowego rozsądku. Wykorzystywanie najmłodszych jako „mięsa armatniego" dla skrajnych rewolucyjnych postulatów jest nie tylko cyniczne i oburzające. Doświadczenie uczy, że jest także bardzo niebezpieczne.

ENTUZJAZM NOWEGO PORZĄDKU

W jednym z najlepszych reportaży o zawojowywaniu Niemiec przez nazizm, „Cywil w Berlinie" Antoniego Sobańskiego, wiele miejsca poświęcono roli, którą odegrali w tym procesie najmłodsi. To właśnie oni pierwsi oddawali z młodzieńczą gorliwością serca Führerowi i oni narzucali jego kult pokoleniu swoich rodziców. Sobański opisywał nierzadkie sytuacje, w których starsi wręcz się bali otwarcie rozmawiać z nim przy młodych, nawet przy własnych dzieciach, i gdy najmłodsi dyscyplinowali starszych w entuzjazmie dla nowego porządku.

Mechanizm tego zauroczenia był prosty: naziści dawali dzieciom poczucie wielkiego znaczenia, przekonywali je, że na ich pokoleniu ciąży obowiązek uratowania świata przed zagładą, na której krawędź popchnęli go starzy. Szczególne znaczenie dla „zhisteryzowania" młodego pokolenia Niemców, jak określił to Sobański, miała właśnie owa zapowiadana zagłada. Nakaz aktywności w ruchu nazistowskim zyskał w ten sposób rangę najwyższego imperatywu. Jeśli się nie włączysz, nie doszlusujesz do marszowego szyku, nie zrobisz wszystkiego, by powstrzymać upadek – to świat zostanie definitywnie zalany przez bolszewizm, utożsamiony w ideologii nazistowskiej z żydostwem. Świat stanął na krawędzi apokalipsy i w takiej sytuacji nie wolno pozostawać biernym!

Propaganda nazistów czerpała z rzeczywistej, uzasadnionej grozy. Zbrodnie rewolucji bolszewickiej, dziś w znacznym stopniu zapomniane, były wtedy świeże, dobrze znane, więc słowo „bolszewik" budziło w całym cywilizowanym świecie słuszną odrazę oraz potępienie – tak samo jak wiek wcześniej słowo „jakobin", a obecnie „faszysta". I tak samo jak obelgą

eprasa.pl e505c478f7

„jakobini" senator Nowosilcow usprawiedliwiał prześladowanie Mickiewicza oraz jego szkolnych kolegów, a „faszystą" jest dziś w mowie lewicowych mediów ten, kto zboczonemu chłopcu odmawia wstępu do damskiej toalety – lęk przed realnym zagrożeniem został przez animatorów nazistowskich nikczemności świadomie i cynicznie użyty do emocjonalnej manipulacji.

„Histeryzowanie" młodego pokolenia, by raz jeszcze użyć określenia hr. Sobańskiego, jest więc zabiegiem równie starym jak rewolucje, pogromy i inne tego rodzaju masowe nikczemności. Zmarły niedawno Maciej Parowski ujął to kiedyś aforyzmem: „Podłość lubi wjeżdżać do historii na młodych plecach". Jednak to, co w czasach dawniejszych wynikało w znacznym stopniu z przypadku, z naturalnych uwarunkowań młodego wieku, sprzyjającego przewadze aktywności i podatności na perswazję nad refleksją i skłonnością do weryfikowania zasłyszanych haseł, w czasach nowożytnych podniesione do rangi metody przez ruchy rewolucyjne wyrosło z nauk Marksa i Engelsa. Nazizm przecież niczego nie wymyślił – był zjawiskiem, którego istotę bardzo trafnie ujął współcześnie Roman Dmowski, pisząc: „Przyszedł Hitler i powiedział bolszewikom: wasz program i metody podobają nam się i przejmujemy je w całej rozciągłości, z jedną tylko zmianą: to nie wy nas wymordujecie, tylko my was".

Porównania do nazizmu i Hitlera są dziś tak nadużywane, że przeciętny odbiorca mediów mocno się na nie znieczulił. Jednak między socjotechniką rewolucji nazistowskiej, opisaną przez Sobańskiego, a próbą zmontowania przez współczesną lewicę swoistej dziecięcej krucjaty „w obronie klimatu" widać naprawdę bardzo istotne podobieństwo, charakterystyczne dla działań sierot po Marksie.

HISTERYZOWANIE

Tym podobieństwem jest właśnie „histeryzowanie" młodych ofiar zmasowanej propagandy. Podobnie jak w reportażach Sobańskiego manipulatorzy stawiają jej adresatów przed wyborem apokaliptycznym, ostatecznym. „Mamy tylko 12 lat na uratowanie Ziemi przed zagładą!" – krzyczą. Jeśli nie zrobimy „czegoś", żeby powstrzymać bliską zagładę, to „miliony ludzi umrą".

Polakom, niepoddanym tak zmasowanej propagandowej indoktrynacji, wydaje się to oczywistym absurdem, „odlotem" jakichś skrajnych radykałów – podobnie jak kilkanaście lat temu nie dowierzaliśmy, że szaleństwa politycznej poprawności i rodzący się wtedy homoterror naprawdę wychodzą poza margines życia publicznego. Histeria „nadchodzącej nieuchronnej zagłady świata" w wielu kręgach zachodnich, a szczególnie w lewicujących elitach, jest już przyjmowana bez sprzeciwu i traktowana jako obiektywna wiedza.

W niedawnej audycji telewizji CNN gość programu Allen Frances, uznany intelektualista z tytułem profesorskim (notabene psychiatra, co nadaje sprawie szczególnego smaczku), perorował ze śmiertelną powagą i z przekonaniem, że Donald Trump jest zbrodniarzem większym od Hitlera i Mao Zedonga razem wziętych, bo w najbliższych latach zginą przez niego setki milionów ludzi. Oczywiście chodziło o „zbrodnię" polegającą na odmowie redukowania przez USA emisji dwutlenku węgla. Trudno o lepszy przykład „histeryzowania" ludzi niż takie właśnie wystąpienia tolerowane w mainstreamie debaty publicznej.

To nie prof. Allen czy inni histerycy, szermujący argumentem o „ostatnich 12 latach" danych nam na „uratowanie istnienia ludzkości", są dziś na cenzurowanym, ale ludzie, którzy starają się zachować zdrowy rozsądek. Już nie tylko kwestionowanie związku pomiędzy działalnością człowieka a „globalnym ociepleniem", lecz także kwestionowanie wziętego z sufitu horyzontu czasowego „12 lat" pozostających jakoby na powstrzymanie zagłady poprzez całkowitą redukcję emisji CO_2, określane jest mianem „negacjonizmu" – czyli stało się, mówiąc Orwellem, surowo zwalczaną „myślozbrodnią".

Zbyt absurdalne? Nie dla najmłodszych. Dlatego właśnie lewica z histerią „12 lat" na powstrzymanie zagłady zwróciła się do nich. Najmłodsi są najlepszym materiałem do indoktrynacji, jako osoby szczególnie podatne na histerię i argumenty emocjonalne, nieobciążone wiedzą i życiowym doświadczeniem, które rodzą sceptycyzm. Aby wpływać na dzieci, nie trzeba tłumaczyć się z oczywistych nonsensów ideologicznego obłędu. Wystarczą mocne, apokaliptyczne hasła.

Dlatego ruchu „strajków klimatycznych", uruchomionego z pomocą Grety Thunberg, nie można zlekceważyć. W Polsce być może skłonni jesteśmy widzieć w nim raczej groteskę. Ot, młodzi ludzie, zamiast iść do szkoły, wagarują na ulicach, w większości zapewne po prostu korzystając z okazji do „laby" i w duchu dystansując się od najbardziej „nawiedzonych", którzy wykrzykują do kamer hasła o bliskiej zagładzie.

TO JEST NIEBEZPIECZNE

Polski odbiór „klimatycznego" strajku dzieci odbiega jednak od tego, jak przyjmowany jest on na Zachodzie. Na redukowaniu emisji CO_2 zarabia się tam miliardy, na fali klimatycznej histerii realizowane są również bardzo istotne interesy polityczne mocarstw. Propaganda wciągająca młodych do „walki o klimat" ma więc potężne wsparcie, a dzieci maszerujące „przeciwko emisji CO_2" kreowane są na współczesnych świętych, budząc entuzjazm analogiczny do średniowiecznej „krucjaty dziecięcej" (co oby nie było prognostykiem, zważywszy na to, jak żałośnie się to wzmożenie sprzed wieków skończyło dla jego uczestników). W atmosferze szaleństwa i skrajnej histerii ruch gorliwie wspomagany przez możnych tego świata ma więc szansę jeszcze bardziej się rozwinąć.

Jest to ruch nie tylko niesmaczny, cyniczny i budzący odrazę, lecz także bardzo niebezpieczny. Poddając po raz kolejny młode pokolenie indoktrynacji w duchu „musimy zapobiec apokalipsie" i zachęcając je do odrzucania racjonalnej argumentacji na rzecz emocji, wychowuje się na przyszłość potencjalnych zbrodniarzy – tak jak lewackie rewolty lat 60., wsparte przez media i uniwersyteckie autorytety, wychowały pokolenie krwawych terrorystów lat 70. Dzieci tych rewolt, rozhisteryzowane, że „kapitalizm zabija", poczuły się rozgrzeszone z zabijania kapitalistów i – by przypomnieć język bandy Mansona – „świń", które z kapitalizmem walczyć nie chcą, tylko pożywają jego bogactwa.

Spośród dzieci, które dziś są wychowywane przez lewicowe media w histerii, że zostało im tylko 12 lat na uratowanie świata i ludzkości przed klimatyczną zagładą, również jakaś część wyrośnie na fanatyków zdolnych w imię „ratowania planety" do popełnienia każdej podłości i każdej zbrodni. Myślmy lepiej o tym już teraz, nie czekając, aż sączona w młode umysły histeria i szaleństwo zbiorą po raz kolejny żniwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Na ostatniej prostej

Piotr Semka

„Wszystko już było – rzekł Ben Akiba. A jak nie było – śniło się chyba" – głosiła niegdyś kabaretowa śpiewka. Dzisiaj nawet mądry rabin Akiba Ben Josef miałby problem z doradzaniem partiom, jak prowadzić kampanię po czterech latach... nieustającej kampanii

Wszystko już wykrzyczano, wszystkie najstraszniejsze klątwy rzucono. Były już marsze, wiece, pikiety pod kancelarią premiera, demonstracje świeczkowe, projekcje rzutnikowe, a nawet diduszkowe udawanie trupa pod Sejmem. Czym jeszcze można zaskoczyć, co obiecać lub podarować? Wszystkie siły prowadzące obecną kampanię szukają na gwałt odpowiedzi. Skończyły się wakacje, wszyscy już się pogrupowali i teraz zaczęła się ostatnia prosta. Do 13 października pozostał nieco ponad miesiąc. Czy ktoś ma jeszcze coś nowego do wystawienia na politycznym rynku?

PIS – WSZYSTKO JUŻ BYŁO... ROZDANE

„Wiarygodność to nasza siła" – brzmi slogan rządzącej partii. PiS jest jak rolnik, który zasiał i czeka teraz na plony. Te plony mają mu przynieść wyborcy zadowoleni z polityki socjalnej i obawiający się, że rywale mogą wszystkie te świadczenia cofnąć. PiS wierzy, że wytworzył się już wyborca dobrej zmiany, podobny do wyborców CDU z czasów Adenauera. Nieprzypadkowo zachodnioniemieccy chadecy używali wówczas hasła: „Keine Experimente!" („Żadnych eksperymentów!"), wyrażającego przekonanie wyborców, że skoro gospodarka się rozkręca, to wszelkie pomysły SPD pod hasłem: „Zachowamy wszystko to, co dobre, ale dodamy jeszcze coś lepszego", to zagrożenie dla uzyskanego dobrobytu. Tak samo sztabowcy PiS wierzą, że beneficjenci „500+" i „piątki Kaczyńskiego" nie uwierzą w zaklęcia opozycji, że ta nie zepsuje osiągnięć Morawieckiego.

PiS nie zapomina też, że to mobilizacja wyborców z prawa w maju była efektem sporu z obozem rewolucji obyczajowej. Od maja tęczowy obóz, który lewica wspiera na całego, a KO tylko częściowo – zrobił wiele, by konflikt nie wystygł. Mieszkańcy Radomska czy Płocka mogli z bliska zobaczyć uczestników parady równości. Ulubiony slogan postępowców, że zwykli Polacy hołdują uprzedzeniom, bo nie stykają się ze społecznością LGBT – w tym przypadku może akurat zadziałać na odwrót.

Na gorącą temperaturę sporów obyczajowych ciężko pracują też sojusznicy obozu lewicowo-liberalnego, tacy jak Jan Hartman rzucający hasło „Krzyż zabija!" czy Ziemowit Szczerek dzielący się swym snem o pielgrzymce na Giewont podczas burzy z piorunami.

Pryncypializm PiS w sporach cywilizacyjnych to z kolei działka zarezerwowana w partii jedynie dla prezesa Jarosława Kaczyńskiego. To on sam co pewien czas decyduje, w jaki sposób przypomnieć o ideologii LGBT czy atakach na hierarchów. Ostatnio przypomniał też o innym froncie polemik PiS – nazwał budżet państwa z rządów Platformy „bankomatem dla aferzystów".

Kolejny element taktyki PiS to konsekwentne działania ministra Jana Ardanowskiego dla pozyskania wsi i wypychania PSL z roli obrońcy interesów wsi. Jest tego sporo: dopłaty za susze, programy premiujące agroenergię, działania na rzecz ustabilizowania przez rolników retencji i biologizowania gleby, zachęty finansowe do zakładania elektrowni wodnych czy wreszcie zbiórka odpadów foliowych i pomoc w wymianie azbestowych dachów. Wszystko to ma nie tylko zjednać rolników przed wyborami, lecz także tworzyć image rządu wrażliwego na ekologię.

Kolejne sondaże wskazują, że dymisja marszałka Marka Kuchcińskiego i afera wiceministra Łukasza Piebiaka, jak się zdaje, nie wpłynęły znacząco na pozycję sondażową PiS. Jednak choć słupki poparcia nie spadły, to oddaliły wizję poszerzenia grona wyborców. Trudno orzec, w jakim stopniu zniechęceni zostali centrowi wyborcy tej partii lub osoby, które cztery lata temu oddały głos na Kukiza, a teraz mogły chcieć

eprasa.pl e505c478f7

FOT. BARTOSZ FRYDRYCH/FORUM

przerzucić się na ugrupowanie Kaczyńskiego.

Przez lipiec i sierpień PiS skupiał się na wiejskich jarmarkach i w wielkich metropoliach był mało widoczny. Jednak kryzys z Ministerstwem Sprawiedliwości Mateusz Morawiecki zaczął rozbrajać z dużą umiejętnością. Ogłoszenie, że budżet nie ma deficytu, czy wywiad dla TVN pokazują, iż szef rządu to dziś polityk coraz bieglejszy w zarządzaniu kryzysami. Za półtora miesiąca zobaczymy, czy Morawiecki wygra z Borysem Budką na trudnym, górnośląskim terenie.

O tym, jak bardzo rywale liczą na jakiekolwiek potknięcie PiS, świadczą natychmiastowe komentarze polityków opozycji, na temat nieobecności w weekend 24–25 sierpnia Jarosława Kaczyńskiego. Trzeba było pospiesznej deklaracji Joachima Brudzińskiego, że prezes jest jedynie zajęty pisaniem programu na jesienną kampanię, by spekulacje zelżały.

Przed tymi wyborami to PiS ma się kojarzyć Polakom ze spokojem, a opozycji trzeba zostawić histerię i propozycje rewolucji obyczajowej. Ma to swoją cenę. W sierpniu PiS nie narzucał nowych tematów kampanii, co ułatwiło opozycji rozgrywać sprawę Kuchcińskiego i sędziów od Ziobry. Tymczasem PiS najbardziej boi się demobilizacji tradycyjnego elektoratu. Wystarczy mniejsza frekwencja o 2–3 punkty procentowe niż w wyborach samorządowych (48,3 proc.) i PiS może stracić parę foteli sejmowych niezbędnych do uzyskania rządowej większości.

Zobaczymy, czy we wrześniu PiS odpali jeszcze parę efektownych rac.

Pierwszą z nich miała być wizyta Donalda Trumpa, która miała wzmocnić wizerunek Polski jako kraju bezpiecznego militarnie. Odwołanie jej przez prezydenta USA popsuło szyki PiS, ale wybuch mściwej radości wśród polityków KO i Lewicy też nie musi wzmocnić prestiżu opozycji.

Wydawałoby się, że w tak ważnym momencie PiS powinien dbać o to, by na wszelkie sposoby demonstrować jedność. A jednak, gdy premier Morawiecki kurtuazyjnie przyznał w wywiadzie dla TVN24, że Jarosław Kaczyński byłby lepszym premierem od niego – Joachim Brudziński, szef sztabu PiS, uznał, że musi zabrać głos. „Świętą prawdę powiedział premier. Też uważam, że Jarosław Kaczyński byłby lepszym premierem, natomiast władza polityczna z samym Jarosławem Kaczyńskim zdecydowała, że dzisiaj premierem będzie Mateusz Morawiecki".

Wypowiedź była niegrzeczna i zdradzająca konflikty. Faktycznie osłabiająca wizerunek PiS jako jednej drużyny.

Jednak jak to w polityce – złe wrażenie szybko przykryło nowe, emocjonujące wydarzenie. „Szambogate" w Warszawie PiS wykorzystał wzorowo. Pokazał się jako siła dbająca o zdrowie Polaków i wrażliwa na ekologię, co staje się coraz ważniejszym tematem kampanii. PiS pomogła fatalna taktyka Rafała Trzaskowskiego, który w pierwszej fazie kryzysu unikał kamer.

KO – WSZYSTKO JUŻ BYŁO... WIĘC WIEJE NUDĄ

Platforma na razie działa najmniej wyraziście w kampanii pozytywnej i zdumiewająco anachronicznie w kampanii negatywnej. Politycy PO zbytnio uwierzyli w spadek sondaży PiS po ostatnich kłopotach tej partii. Klipy z celebrytami czytającymi konstytucję czy apel polityczny o zatrzymanie PiS dinozaurami z rządu Tadeusza Mazowieckiego w roli głównej to dość przeterminowany towar. Na dodatek Ewa Kopacz na Twitterze załamuje ręce nad „społeczeństwem ogłupionym tanią propagandą TVPiS" i dziwi się, dlaczego ludzie „nie zauważają pospolitego złodziejstwa pisowskiej ekipy". A byli ambasadorzy przypomnieli wszystkim, jak „antykaczyzm" może prowadzić do wzywania Donalda Trumpa, aby odwołał wizytę w Polsce. Krótko mówiąc, jeszcze więcej tego samego.

eprasa.pl e505c478f7

Jeśli dodać do tego ślimaczące się rozmowy Koalicji Obywatelskiej z SLD i PO w sprawie wspólnych kandydatów do Senatu, demonstracyjne opuszczanie list, jak to było w wypadku niezadowolonej z przetasowań Elżbiety Radziszewskiej, i wreszcie fiasko idei szerokiej reprezentacji samorządowców na listach KO – to krajobraz w obozie Schetyny nie jest różowy. Platformersi liczą na jakieś nowe afery z udziałem PiS ujawniane przez media. Te, jeśli będą celne, mogą spowodować tąpnięcie notowań PiS. Jeśli jednak teflonowość partii Kaczyńskiego zda egzamin, to Schetyna może liczyć jedynie na wysoką frekwencję w wielkich miastach i demobilizację elektoratu prawicy.

Osobnym problemem dla KO jest wystawienie przez Schetynę Kazimierza Ujazdowskiego w Warszawie do Senatu. Działa on na antyklerykalny elektorat Platformy niczym płachta na byka, a w oczach konserwatystów skompromitował się deklaracjami wsparcia dla związków partnerskich. Dzisiaj jest mało wiarygodny zarówno dla lewicy, jak i prawicy. Na dodatek Schetynie nie będzie łatwo go wycofać z list, bo już raz lider PO zafundował Ujazdowskiemu podobne upokorzenie we Wrocławiu w 2018 r.

LEWICA – WSZYSTKO JUŻ BYŁO... ALE JEST TROCHĘ NOWEGO

Wszyscy zdążyli już nieco odwyknąć od widoku lewicy w dynamicznej akcji, więc sojusz SLD, Wiosny i Razem musi przyciągać sporo uwagi. Koalicję klecono dość długo, ale w końcu to Czarzasty uzyskał najważniejsze – kontrolę nad państwowymi dotacjami w razie wejścia do Sejmu. Nie obeszło się bez brutalnych incydentów. Zgodnie wycięto zbyt pewne siebie feministki, jak np. Martę Lempart. Bez sentymentów wycięto też z list zasłużonego lewicowca Michała Syskę i wsadzono na jego miejsce partnera Biedronia – Krzysztofa Śmiszka. Syska zemścił się uwagą, że listy w Lewicy „ustalane są na randkach" Biedronia. Surrealistyczne jest wykreślnie z list Moniki Jaruzelskiej za „nadmierny konserwatyzm".

Jednak konwencja Lewicy z 24 sierpnia była już być może sztuczną, ale sprawnie zrealizowaną demonstracją jedności. Spotkanie pokazało to, co w tym obozie słabe, i to, co uwidacznia „ciąg na bramkę" nowej formacji.

Nużąca staje się maniera wieców zbudowana na kreowaniu sztucznego podniecenia jak z występów protestanckich teleewangelistów. Styl: „Uwaga, wszystkie ręce na pokład, za chwilę otwieramy nowy rozdział, jesteście gotowi?" – już był przy inauguracji Wiosny. Jak się okazało – nie zagwarantował długotrwałej skuteczności. Na dodatek wieczne zadowolenie z siebie Roberta Biedronia skłoniło nawet Konrada Piaseckiego z TVN do ukucia terminu „wesołkowata lewica".

O wiele atrakcyjniejszy dla wyborców może być nowy przekaz Włodzimierza Czarzastego. Lider SLD podjął licytację z PiS w kwestii obietnic świadczeń socjalnych i chętnie wymachuje konkretnymi wyliczeniami. Przykładowo obiecano, że najmniejsza emerytura w razie zdobycia władzy przez lewicę będzie równowartością tysiąca euro. To wyciągnięcie wniosków z ugrzęźnięcia przez Koalicję Obywatelską w balcerowiczowsko-bankierskim stylu, której symbolem jest postać ekonomisty Andrzeja Rzońcy. Adrian Zandberg potrafił nawiązywać do sugestywnych obrazów staruszki, która odchodzi od aptecznego okienka, bo „nie starczyło", i obiecywać najuboższym każdy lek na receptę za 5 zł. Jednak odziaływanie na najuboższych może być znacznie osłabione obsesją antyklerykalną, od której nie mogą się uwolnić liczni politycy SLD i Wiosny oraz sympatyzujący z nimi celebryci. Joanna Senyszyn strasząca „morderczym krzyżem" na Giewoncie skłoniła nawet Roberta Biedronia do reprymendy. Dla ludzi wierzących to wypowiedzi sto razy bardziej istotne i porażające niż obietnice leków za 5 zł.

Pytanie tylko: Czy Lewica nie ma zbyt mało czasu na zdobycie wiarygodności w kwestii wrażliwości socjalnej? Z cienia wychodzą już byłe gwiazdy SLD od Aleksandra Kwaśniewskiego i Marka Dyducha do Małgorzaty Szmajdzińskiej, którzy za czasów rządów swej formacji jakoś nie wpadli na ideę „500+". Z kolei rys dziwactwa po lewej stronie uosabiać zaczyna Sylwia Spurek z Wiosny, która dywagacjami na temat znaczenia płci krów czy podatku od mięsa żwawo wchodzi w lukę po Ryszardzie Petru.

Lewica próbuje też swoich sił na demonstracjach ulicznych pod kancelarią premiera pod hasłem: „Ziobro musi odejść!". Na razie jednak nie przyciągają one zbyt wiele osób spoza partyjnych młodzieżówek.

PSL I RESZTA – WSZYSTKO JUŻ BYŁO... WIĘC SZAŁU NIE MA

Ludowcy walczą o życie. A każdy desperat szarpie się w różne strony, nie będąc do końca pewnym, co robić, by uciec zagładzie. Stąd zygzaki ideowe. Władysław Kosiniak-Kamysz zachowuje się tak, jakby sam nie wiedział, czy walczyć o klasyczny wiejski elektorat, czy też część czasu poświęcić miastom. Wejście Pawła Kukiza do zielonego bloku na razie nic spektakularnego nie przyniosło. Odwrót fanów promotora JOW-ów z jego facebookowego konta nie wróży Kukizowi nic dobrego.

PSL nic wyrazistego do zaproponowania w kampanii nie ma i może tylko przekonywać, że Polacy nie chcą skrajności. Jeszcze większy chaos występuje w obozie na prawo od PiS. Konfederacja walczy o wpływy z Mariuszem Maxem Kolonko. Były korespondent TVP w Ameryce grzmi w sieci: „ALERT Bracia i Siostry #RuchNarodowy – Robert Slimak Winnicki otrzyma ode mnie ultimatum – wyrwijcie się z krogulczych szponów #конфедерация nim rozjedziemy ich jak czołg – jeszcze nie jest Wam za późno dołączyć do #RREVOLUTION". Całości tego chaotycznego krajobrazu dopełnia Piotr Liroy-Marzec, który chciałby samemu przejąć Kukizowy elektorat. Słowem – wielka smuta na prawicy.

WSZYSTKO JUŻ BYŁO... O ILE NIE POJAWI SIĘ COŚ, CZEGO NIE BYŁO

Jak już pisałem – PiS musi się przygotować na niespodzianki. Sztabowcy rządzącej partii starannie ukrywają nerwowość, ale po końcu marszałkowania Marka Kuchcińskiego i zwolnieniach w Ministerstwie Sprawiedliwości wykorzystano już limit kontrolowanych dymisji.

Mateusz Morawiecki mniej obawiać się może strajku nauczycieli. Sondaże wskazują, że 61 proc. Polaków jest przeciw strajkom, ale szef ZNP ostatecznej decyzji o strajkach jeszcze nie podjął.

Co jeszcze może wywołać burzę przed wyborami? Nadzieje na efekt filmu Patryka Vegi wygasły nawet w obozie najgorętszych antykaczystów po obejrzeniu jego nędznego zwiastuna. Nic nie słychać, by Tomasz Sekielski miał wypuścić w najbliższym czasie zapowiadany film o SKOK-ach. Pozostaje czekać, która z partii ma przygotowaną do odpalenia wymierzoną w rywala aferę na ostatni tydzień przed wyborami. I jak zwykle koszmarem sztabowców są jakieś nieprzewidziane losowe wydarzenia „last minute".

Jak na kampanię, od której zależeć będzie, kto będzie rządzić przez kolejne cztery lata – obie strony sporu wyglądają na lekko wycieńczone. Może to jednak tylko cisza przed ostatecznym zwarciem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl e505c478f7

Wojciech Wybranowski

Janusz Wojciechowski ma spore szanse zostać europejskim komisarzem ds. rolnictwa. Zadanie będzie miał niełatwe – m.in. zrównanie dopłat

Pierwszy rolnik UE?

Kandydatura eurodeputowanego PiS Janusza Wojciechowskiego na fotel komisarza UE ds. rolnictwa pojawiła się niespodziewanie, w ubiegłym tygodniu, po tym jak dotychczasowy kandydat – Krzysztof Szczerski, którego partia widziała w roli komisarza ds. infrastruktury i polityki regionalnej – zrezygnował z ubiegania się o posadę w unijnych strukturach.

– W polityce trzeba być uczciwym. Jeśli pojawiła się propozycja objęcia teki komisarza ds. rolnictwa dla Polski, a ja rolnictwem się nie zajmowałem, to uważam, że uczciwie jest, żeby to miejsce odstąpić komuś, kto może objąć je w sposób odpowiedzialny – mówił dziennikarzom Krzysztof Szczerski, dodając też, że zaproponował na to stanowisko eurodeputowanego PiS Janusza Wojciechowskiego, prawnika.

Polska, tak jak każdy kraj członkowski, ma prawo zgłosić jednego kandydata na komisarza. Rząd mógł liczyć, że dostanie jedną z ważnych tek, bo to głosy eurodeputowanych PiS pomogły Niemce Ursuli von der Leyen dostać stanowisko szefowej Komisji Europejskiej. Nowa komisarz spotkała się nawet ze Szczerskim na naradzie, ale w kolejnych dniach, jak twierdzą nasi informatorzy, przedstawiciele kilku krajów tzw. starej Unii mieli grozić, że nominację dla niego zablokują.

– Na giełdzie pojawiły się propozycje przyjęcia teki komisarzy odpowiedzialnych za inne kwestie, jedne były z polskiego punktu widzenia mniej interesujące, np. transportu, ale była też bardzo istotna teka komisarza ds. rolnictwa. Uznano, że trzeba ją brać, bo to najlepsza oferta, jaką dało się wynegocjować. Szacunek dla Krzyśka, który sam ustąpił i zaproponował Wojciechowskiego – mówi nam jeden z eurodeputowanych PiS.

Janusz Wojciechowski, były wiceprzewodniczący Komisji Rolnictwa Parlamentu Europejskiego, obecnie audytor w Europejskim Trybunale Obrachunkowym zajmującym się m.in. sprawami dotyczącymi żywności, pogłowia zwierząt i polityki rolnej, już w ubiegłym tygodniu spotkał się z von der Leyen. Pod koniec września czeka go przesłuchanie przed komisją ds. rolnictwa PE.

– Czekamy na ostateczne decyzje. Pani przewodnicząca przedstawi kandydatów na komisarzy, Rada będzie podejmować decyzję co do nominowania kandydatów i dopiero po tym jest procedura ich przesłuchiwania w komisjach Parlamentu Europejskiego i ostateczna decyzja PE w październiku – powiedział w środę Wojciechowski, zaznaczając, że na obec-

eprasa.pl e505c478f7

Janusz Wojciechowski, choć sam nie został rolnikiem, podkreśla, że pochodzi ze wsi i dobrze zna jej problemy FOT. CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

nym etapie wciąż jest tylko kandydatem na kandydata.

POLITYCZNIE KORZYSTNE?

„Stanowisko komisarza UE ds. rolnictwa dla Polski to sukces. I to nie tylko sukces Polski, chociaż rolnictwo tego kraju jest jednym z najważniejszych w UE, lecz także sukces sprzeciwiających się imigracji państw Grupy Wyszehradzkiej" – pisał w ubiegłym tygodniu węgierski „Magyar Hirlap".

– Mam nadzieję, że uzyska akceptację i jesienią obejmie fotel komisarza ds. rolnictwa, ma odpowiednie kompetencje, by piastować tę funkcję – mówi o Januszu Wojciechowskim eurodeputowany prof. Zdzisław Krasnodębski (PiS). – Polityka rolna UE jest bardzo ważna z punktu widzenia interesów Polski, a Wojciechowski myśli przełomowo, rewolucyjnie wręcz o gospodarce rolnej, jest zwolennikiem wspierania małych i średnich przedsiębiorstw rolnych – dodaje polityk, który sam mandat europosła otrzymał w rolniczej Wielkopolsce.

Inny z polityków PiS zauważa, że jeżeli Wojciechowski otrzyma fotel komisarza, to dla partii Jarosława Kaczyńskiego będzie to sytuacja bardzo korzystna. – Takie win-win. Przecież polityczna rewolucja, która nastąpiła w Polsce w 2015 r., zaczęła się właśnie w małych miasteczkach i gminach rolniczych. Mamy tam największe poparcie, a jednym z najważniejszych problemów, z którymi borykają się nasi wyborcy na wsiach, są wciąż olbrzymie dysproporcje między sytuacją polskiego rolnictwa a gospodarstw rolnych na przykład we Francji czy w Niemczech.

Janusz Wojciechowski z wykształcenia jest prawnikiem, w latach 80. i 90. pracował najpierw jako asesor w prokuraturze, a później jako sędzia. Orzekał m.in. w Sądzie Rejonowym w Rawie Mazowieckiej i Sądzie Okręgowym w Skierniewicach, a także Sądzie Apelacyjnym w Warszawie. W latach 90. był członkiem Krajowej Rady Sądownictwa. W 1995 r. został wybrany na prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Szefem NIK był do 2001 r.

W latach 80. należał do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, a w latach 2004–2005 pełnił funkcję prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego. Dopiero potem związał się z PiS.

– Myślę, że za moje największe zadanie, jeśli oczywiście otrzymam tę funkcję, uznałbym stworzenie długofalowej wizji rolnictwa w Europie. Mówię o czymś więcej. O potrzebie stworzenia polityki rolnej z perspektywą nie siedem, a 27 lat. Albo nawet więcej, z perspektywą gdzieś do 2050 r. – mówił dziennikarzom Janusz Wojciechowski. Zaznaczył przy tym, że rolnictwo ma we krwi: – Ja jestem ze wsi, z ziemi łódzkiej, z ziemi rawskiej. Wychowałem się na wsi i czuję rolnictwo, chociaż rolnikiem nie zostałem.

– Eurodeputowany Wojciechowski przychodził na posiedzenia sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi, co najmniej raz był inicjatorem takiego posiedzenia. Jest bardzo aktywną, merytoryczną osobą, z którą o tematach polskiej wsi można porozmawiać. Zna się na rolnictwie i – co najważniejsze – dotrzymuje słowa, co niestety wśród polityków jest rzadkością – mówi nam poseł dr Jarosław Sachajko (Kukiz'15), przewodniczący sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Prawdopodobnego komisarza UE ds. rolnictwa doceniają także opozycyjni ludowcy, którzy żartują, że to „ich człowiek w PiS". – Najpierw był w ZSL, później w PSL i z poparcia naszej partii został prezesem NIK. Można więc powiedzieć, że PiS politycznie docenił właśnie i ZSL, i PSL – śmieje się Władysław Kosiniak-Kamysz, lider ludowców. I przypomina, że to PSL zaraz po wyborach europejskich wnioskowało, by Polska zabiegała o komisarza ds. rolnictwa. – Oczywiście, poprzemy Wojciechowskiego pomimo tego, że nie zawsze elegancko wypowiada się o naszym stronnictwie. Mam nadzieję, że z komisarzem z Polski będzie zrozumienie problemów charakterystycznych dla polskiego rolnictwa – deklaruje Kosiniak-Kamysz.

WIĘCEJ DO HEKTARA

Lider ludowców wskazuje jednak, że jako komisarz UE ds. rolnictwa Wojciechowski będzie rozliczany z tego, jak wykona zadania, które mogą wpłynąć na poprawę sytuacji polskiej wsi. Jakie? Kosiniak-Kamysz wylicza: zablokowanie umowy o wolnym handlu z Ameryką Południową, zrównanie dopłat z poziomem średnich francuskich i niemieckich, czyli ok. 280 euro do hektara, a także zabezpieczenie budżetu dla polskiego rolnictwa w wysokości ok. 35 mld euro i odblokowanie rynku ze Wschodem. – Jeśli chodzi o zrozumienie dla polskiego rolnictwa i problemów polskich rolników w UE, to jest to trafna nominacja. Europoseł Wojciechowski doskonale zna funkcjonowanie instytucji unijnych, szczególnie Komisji Europejskiej, i możemy liczyć, że w swoich działaniach będzie uwzględniał interes polskiego rolnictwa – uważa poseł Zbigniew Dolata (PiS), członek sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

Janusz Wojciechowski, który w 2010 r. wstąpił do PiS, a w 2014 r. z listy tej partii uzyskał mandat eurodeputowanego, do tej pory angażował się m.in. w pomoc dla przedsiębiorców borykających się z nadużyciami ze strony wymiaru sprawiedliwości. W 2015 r. wspólnie z Zofią Romaszewską, pod patronatem kandydującego na urząd prezydenta Andrzeja Dudy, prowadził biuro pomocy prawnej osobom skrzywdzonym przez wymiar sprawiedliwości. W ciągu pięciu miesięcy działalności „Dudapomocy" udzielono pomocy 4 tys. osób, interweniowano w ponad 1,2 tys. sprawach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Nienawiść i jej wrogowie

Piotr Gociek

Najgłośniej przeciw „hejtowaniu" krzyczą dziś ci, którzy sztukę bezkarnego oczerniania doprowadzili do perfekcji

Hejt – obraźliwy lub agresywny komentarz zamieszczony w Internecie" – informuje powściągliwie Słownik języka polskiego PWN. Internetowy słownik slangu i mowy potocznej (Miejski.pl) podaje dwa znaczenia: „negatywny pogląd, z którego hejter czerpie przyjemność", oraz „negatywna opinia na tematy związane z wyglądem osoby, zachowaniem danej osoby lub grupy, jej pracą i twórczością, wydarzeniami. Za genezę hejtu uznaje się fora dyskusyjne lub obszary do komentowania w Internecie".

Zaczynam od próby zdefiniowania zjawiska, bo to, w jaki sposób zaczęło funkcjonować w polskiej przestrzeni publicznej, nie ma wiele wspólnego z jego prawdziwym znaczeniem. „Hejt" stał się – podobnie jak wcześniej sformułowanie „mowa nienawiści" – jednym ze słów porwanych. I słów pustych, podobnie jak epitet „faszysta", którym lewica określa nie tych, którzy są zwolennikami włoskiego faszyzmu albo admiratorami dokonań Adolfa Hitlera, tylko po prostu wszystkich, którzy się jej nie podobają, bo mają odmienne poglądy.

Tak naprawdę mówimy o trzech różnych kwestiach. Pierwsza: fałszywe oskarżenia, zniewagi, pomówienia, wulgarne wyzwiska – to materiał na sprawy sądowe. Podobnie jak poniżanie grup narodowościowych, wychwalanie ustrojów totalitarnych czy podżeganie do przemocy. To, jak często polska prokuratura i polskie sądy robią użytek z owych paragrafów, to już inna sprawa (moim zdaniem zbyt rzadko).

Druga kwestia, którą pozwolę sobie nazwać hejtem w znaczeniu oryginalnym. W informacji prasowej fundacji Dzieci Niczyje, która w roku 2015 uruchomiła kampanię edukacyjną przeciw hejtowaniu w sieci, czytam – zgodnie z fachowymi definicjami, że to jeden z objawów cyberprzemocy. Co go

eprasa.pl e505c478f7

FOT. ADOBESTOCK

cechuje? „Termin »hejt internetowy/hejtowanie« stosuje się przede wszystkim do takich wypowiedzi, które są agresywne i nie mają podłoża ideologicznego. Hejtowanie jest przejawem agresji bez ściśle określonego powodu".

Trzecia kwestia to znaczenie, jakie hejtowi próbuje w tej chwili nadać jedna ze stron politycznego sporu. Nagłe wzmożenie w tej sprawie, kolejne czołówki „Wyborczej", z których biją nagłówki o „hejterach władzy" i „farmie trolli", nie wzięły się znikąd. Są naturalną konsekwencją błędnego założenia, które Platforma Obywatelska i jej medialni sojusznicy przyjęli po podwójnie przegranych wyborach roku 2015. Zamiast solidnego rachunku sumienia, analizy popełnionych błędów i zmiany strategii przyjęto wytłumaczenie, że najpierw Bronisław Komorowski, a potem PO stracili władzę, bo przegrali w Internecie z płatnymi trollami czy hejterami właśnie. Że to, co się partii wówczas rządzącej przydarzyło, było efektem oszustwa, na które trzeba odpowiedzieć własną brudną wojną. To przecież wtedy „Rzeczpospolita" donosiła: „Kopacz powiedziała, że zatrudniliśmy 50 hejterów, którzy mają krytykować PiS. Docelowo będzie ich około 100 – zdradza nam jeden z uczestników spotkania w Jachrance". Tomasz Lis w tym samym czasie pisał o „hejterskiej koalicji", która odebrała zwycięstwo Komorowskiemu, i że była to „najbardziej zmasowana operacja zniesławiania i demolowania czyjegoś wizerunku".

PODSYCANIE MITU

Brzmi to zdecydowanie śmiesznie w ustach człowieka, którego tygodnik wyspecjalizował się w okładkach, na których Antoni Macierewicz przedstawiany jest w turbanie jako talib, a Jarosław Kaczyński jako złowrogi Joker z komiksów o Batmanie, pan młody biorący ślub z „panną młodą", którą jest Janusz Korwin-Mikke, grubas, albo – kiedy redakcja nie ma akurat pomysłu na obrażanie obrazkiem – podpisywany jest hasłem „Dzień świra" albo „Zamachowiec" (to à propos smoleńskiej tragedii).

Teza o tym, że PO i Komorowski „przegrali z Internetem", jest absurdalna, bo nie znajduje żadnego potwierdzenia w faktach. Dokładne wyliczenia przedstawiłem w książce „Pogrobowcy", odwołując się do nakładów gazet, oglądalności i słuchalności stacji telewizyjnych oraz radiowych, a także oficjalnych badań zasięgów w Internecie. Stała się jednak jednym z mitów założycielskich opozycji po roku 2015. Aby podsycać wiarę w mit, potrzebne jest wciąż nowe paliwo. Stąd do wrogiego, rzekomo, Internetu dołączyła w roli czarnego luda telewizja publiczna, która zdaniem opozycji specjalizuje się w kłamstwie i hejcie.

Ta opinia z prawdą też nie ma wiele wspólnego, sformułowana jest przez obóz PO wedle prostej zasady: kiedy „Wyborcza", „Newsweek" czy TVN grzeją dowolną manipulacją na temat PiS, mamy do czynienia z rzetelnym dziennikarstwem i patrzeniem władzy na ręce oraz zerwaniem maski władzy. A gdy TVP pokazuje kwity z oficjalnych dochodzeń CBA, przedstawia zarzuty prokuratorskie pod adresem baronów dawnej władzy albo stawia im trudne pytania, mamy do czynienia z hejtem i kłamstwem. Jeżeli to tylko kłamstwa i nagonka, to zapytam, dlaczego krzywdzeni rzekomo i poniżani bohaterowie rozmaitych doniesień nie wygrywają seryjnie procesów o zniesławienie? Dzisiaj pytanie, dziś odpowiedź: jeżeli „Wiadomości" TVP pokazują prawdziwy akt oskarżenia Stanisława Gawłowskiego o korupcję, to nie hejtuje, tylko informuje. Gdy portal TVP ujawnia instrukcje, które dawał poseł PO Krzysztof Brejza, zarządzający tworzeniem w Internecie negatywnych komentarzy, wtedy pokazuje dokumenty, a nie hejtuje.

Spójrzmy zresztą na jedną z tych instrukcji: „Walnijcie plotkę o wewnętrznym sondażu robionym przez zarząd regionu PO w powiecie: można poklepać serię komentarzy [...]. Nie wdawać się w dyskusje, ale klepcie co jakiś czas".

Mało kto dziś pamięta, ale początkiem wielkiej estymy, jaką niektórzy dziennikarze zaczęli swego czasu obdarzać Janusza Palikota (jeszcze gdy należał do PO), były nie tylko informacje o życiu wewnętrznym partii, którymi się chętnie dzielił, lecz także rozpowszechniane przez niego plotki o „wewnętrznych sondażach". Jako osoba majętna uważany był za polityka, który także sam takie zamawia, innym razem opowiadał o sondażach „partyjnych", lecz sekretnych. Plotki te łączyło zwykle to, że nikt nigdy nie miał dostępu do twardych danych, lecz do luźnych omówień dokonywanych na offie przez Palikota. Na ile były prawdziwe – nie wiemy do dziś. Przypuszczam, że niewiele z nich.

Nazwisko Palikota musi pojawić się w tym tekście, bo bez wątpienia był on twórcą nie tyle nowoczesnego hejtu, ile – nazwijmy to wprost – współczesnych kampanii oczerniania. Swój cel formułował wprost: zniszczenie godnościowych fundamentów prezydentury Lecha Kaczyńskiego. Działalność Palikota i jego naśladowców doskonale udokumentował Sławomir Kmiecik w dwóch tomach książki „Przemysł pogardy". Znajdziecie w nich nie oceny, lecz konkretne cytaty z wypowiedzi polityków, dziennikarzy, celebrytów, internetowe komentarze i rymowanki. Efektem aktywności Palikota było połączenie dwóch zjawisk: negatywnej kampanii politycznej (tu sam Palikot występował jako inicjator) i bezmyślnego typowego hejtu, którym trudnili się wyżywający się w żartach z „karłów Kaczyńskich" anonimowi internauci.

eprasa.pl e505c478f7

Tutaj po raz kolejny dochodzimy do pomieszania pojęć. Jednym z elementów walki politycznej i kampanii wyborczych jest szukanie haków na przeciwnika. Haki mają jednak to do siebie, że istnieją. Szukanie haków to kopanie w przeszłości, szukanie w dokonaniach i w deklaracjach kandydata rzeczy, które go obciążają. W tym sensie więc jest to „robienie w rzeczywistości". Kiedy kandydat mówiący o walce z korupcją zostanie przyłapany na braniu łapówek, kiedy okaże się, że przykładny mąż i ojciec rodziny ma pozamałżeński romans, gdy wyjdzie na jaw, że miał kłopoty ze zdrowiem psychicznym albo z narkotykami, że nagiął prawo w interesie zaprzyjaźnionego biznesmena – pisanie o tym (czy wmontowywanie w klipy wyborcze) nie jest hejtem. Jest przedstawianiem niewygodnych dla przeciwnika faktów.

DZIENNIKARSTWO, SATYRA CZY HEJT

Zadajmy więc pytanie: Ile to niewygodnych faktów, powtórzę, faktów o swoich przeciwnikach ujawnił Palikot? Odpowie nam głucha cisza. Specjalizował się w zadawaniu insynuujących pytań, rozpowszechnianiu niesprawdzonych plotek, formułowaniu krzywdzących opinii itd. Przemysł pogardy, próba oczernienia, brudna wojna informacyjna – jak zwał, tak zwał, wiemy, o co chodzi. Generowanie fali hejtu? Tak możemy powiedzieć, bo jak wspomniałem, interesowna działalność Palikota zachęcała innych do bezinteresownego dawania upustu swym frustracjom w Internecie.

Przejrzałem ostatnio osiem godzin materiału archiwalnego z płyt DVD wydanych przez „Newsweeka" „The Best of »Szkło kontaktowe«". Znalazłem tam kilka solidnych dokonań dziennikarskich – kiedy przyłapuje się polityka na mówieniu bzdur i kontrastuje to z wypowiedzią fachowca, jest to bez wątpienia dziennikarstwo. Znalazłem i kilka przykładów niezłej satyry, bo trudno nie było śmiać się w głos, oglądając niektóre klipy. Ale zdecydowana większość szydery była generowana w zupełnie inny sposób. Otóż bierze się na cel polityka (materiały pochodziły z lat 2006–2007), wycina fragmenty często kompletnie nieistotne i przedstawia je jako dowody jego głupoty, niezgulstwa, pychy. Ulubionymi bohaterami byli wtedy (oprócz Lecha i Jarosława Kaczyńskich) Roman Giertych, Ludwik Dorn i Przemysław Gosiewski.

Wyszydzano przejęzyczenia, uśmiechy, spożywanie posiłków, nieodpowiednie krawaty, niewłaściwy ruch brwi (tak, według prowadzących, kiedy Gosiewski mówił o pensjach poselskich, w ten sposób okazywał, jak się cieszy, że dobrze zarabia). Krótko mówiąc – kręcenie bicza z piasku, składan ie nieistotnych drobiazgów i montowanie z nich monotonnego szumu o jednoznacznym przesłaniu: głupek, bufon, nieudacznik. Kolejne pytanie zadam więc znawcom zjawiska: Może jednak możemy mówić tu o zorganizowanej kampanii hejtu?

Podkreślę raz jeszcze różnicę między dziennikarstwem, satyrą a hejtem. Kiedy w programie publicystycznym czy nawet satyrycznym – nie ma znaczenia, czy mowa o „Szkle kontaktowym" czy na przykład „W tyle wizji" – prowadzący emitują klip z politykiem przyłapanym na kłamstwie czy niewiedzy, wszystko jest w porządku. Kiedy komentują jego poglądy (niekoniecznie je chwaląc) – mają do tego prawo. Kiedy zrobił coś głupiego – mają też prawo wybuchnąć śmiechem. Kiedy jednak zaczynają rechotać z tego, że ktoś jest niski, albo z tego, że gdy go poczęstowano obiadem, to ten obiad zjadł – zamieniają się w zwykłych hejterów.

Nie ma usprawiedliwienia dla działania zdymisjonowanego wiceministra Łukasza Piebiaka niezależnie od tego, do jakiej kategorii zakwalifikujemy jego działalność. Współudział w szerzeniu hejtu albo trollowaniu, czarny PR, marketing szeptany, szukanie haków na przeciwników. Obywatel do wymiaru sprawiedliwości idzie po sprawiedliwość. Urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości powinien być ostatnią osobą, która chciałaby być kojarzona z takimi działaniami.

Spójrzmy jednak szerzej, bo zasady powinny obowiązywać wszystkich. Czy aby hejterem nie jest sędzia Igor Tuleya, gdy w stosunku do śledztwa prowadzonego przez CBA używa słów następujących: „Budzi to skojarzenia nawet nie z latami 80., ale z metodami z lat 40. i 50. – czasów najgłębszego stalinizmu"? Czy obywatel idzie do sądu po to, by sędzia wydał bezstronny wyrok, by powstrzymywał się od zbyt daleko idących, krzywdzących sformułowań, czy po to, żeby tenże sędzia w oficjalnym dokumencie, jakim jest uzasadnienie wyroku, oddawał się luźnym skojarzeniom pozbawionym w dodatku podstaw?

Wracając do sprawy Piebiaka i jej konsekwencji. Mamy w tej materii kompletne poplątanie z pomieszaniem. Po kolei: Czy kreowanie przecieków do mediów jest działaniem hejterskim? Jeśli tak, to każda redakcja w Polsce i na świecie jest medium hejterskim, bo każdej zdarza się z takich informacji korzystać. Czy działaniem hejterskim jest publikowanie wiadomości niekorzystnych dla kogoś lub stawiających go w niekorzystnym świetle, kiedy są to informacje prawdziwe? Jeśli tak, to aktem hejtu był każdy artykuł lub telewizyjny materiał o każdej aferze, który w życiu czytaliście lub oglądaliście.

PRZYJEMNOŚĆ NIEBEZINTERESOWNA

Piebiak okazał się niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu, ale jego działalność raczej wpisuje się w kampanię zbierania haków niż w typowe hejtowanie. Spotkała go szybka i zasłużona kara: za nadgorliwość, za głupotę. Nie możemy się jednak zgodzić na to, by jego przewiny stały się przepustką do wystawiania świadectw moralności przez tych, którzy sami prowadzenie kampanii oczerniania, kampanii nienawiści, podsycanie zwykłego hejtu doprowadzili do perfekcji. Znacie ich nazwiska, znacie tytuły, w których pracują, wiecie, jak wiele wysiłku włożyli w generowanie półprawd, ćwierćprawd, domysłów, plotek, z jaką ochotą drukują rynsztokowe rysunki i fotomontaże, krzycząc jednocześnie głośno, jak to oni są bardzo krzywdzeni.

Bez wątpienia z typowymi, klasycznymi hejterami – tymi ze słownikowej definicji – łączy ich jedno: czerpią ze swoich działań przyjemność. Tyle że nie jest to przyjemność bezinteresowna.

A dla polityków Platformy Obywatelskiej, którzy nagle problemem hejtu bardzo się zainteresowali, mam ważną informację. Związana jest z wystawieniem jako kandydatki Koalicji Obywatelskiej do Sejmu znanej hejterki-youtuberki Klaudii Jachiry. Która, jak powiedziała w radiowej Trójce wicemarszałek Małgorzata Kidawa-Błońska: „Ma dużą popularność, jest lubiana wśród swoich słuchaczy czy odbiorców […] na pewno jest to otwarcie się na inne środowiska, poszerzenie elektoratu, do którego możemy dotrzeć". Pani marszałek, nadzieja na zmiany jest tu niepotrzebna. Janusz Palikot pospołu z Tomaszem Lisem dotarli do tego elektoratu już dawno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE

PAKIET ROZPRAW POLITYCZNYCH

„Lech Kaczyński.Odwaga i wizja”
„Rewolucja Franciszka”, „Paragraf 44”
„Sanacja czy demokracja”

~~693 ZŁ~~ > **243,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 450 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl e505c478f7

FOT. ARKADIUSZ ZIÓŁEK/EAST NEWS

Rewolucja hulajnogowa

Łukasz Warzecha

Gdy byłem w te wakacje przez kilka dni w Szczecinie, czułem, że czegoś mi brakuje. Nie od razu wiedziałem czego. Zorientowałem się dopiero po jakimś czasie: obok mnie nie mknęli co chwila ludzie na elektrycznych hulajnogach

To udogodnienie – powiedzą jedni – lub plaga – powiedzą inni – do miasta nad Odrą jeszcze nie dotarło. Tam, gdzie się pojawiło, stało się już elementem krajobrazu, którego brak od razu się wyczuwa.

W kwietniu w Warszawie doszło do jednego z najgłośniejszych wypadków z udziałem elektrycznych hulajnóg – na szczęście nie ze względu na skutki, które nie były tragiczne. Turystka ze Słowacji została potrącona na chodniku przez nastolatka na wspomnianym pojeździe. Z potłuczeniami trafiła do szpitala. Tyle że zanim ją tam odwieziono, dostała od policji mandat. To ją uznano za winną wypadku. W pierwszej połowie lipca, dzięki uporowi redaktora naczelnego pisma „Paragraf na Drodze" Wojciecha Kotowskiego, policja złożyła do sądu wniosek o wycofanie tego mandatu (pisał o tym portal brd24.pl).

W kwietniu policja rozumowała tak: hulajnogi nie są objęte odrębnymi przepisami, więc poruszający się na nich po chodniku nie łamią prawa i są traktowani jak piesi. A wobec tego incydent trzeba rozpatrywać jak zderzenie pieszych. Słowacka turystka się cofała, robiąc zdjęcie, więc to ona nie zachowała ostrożności. A zatem należy się mandat. Rozumowanie to było formalnie poprawne, ale z punktu widzenia zdrowego rozsądku całkowicie absurdalne. Tylko że w sprawie elektrycznych hulajnóg zdrowego rozsądku brakuje.

Nie wiadomo, czy nastolatek jechał na własnej, prywatnej hulajnodze czy też na jednej z prawie 4 tys. należących do kilku firm, wypożyczających w stolicy hulajnogi poprzez aplikacje na smartfony. Tak czy owak sprawa nabrała znaczenia symbolicznego.

HULAJNOGI KONTRA AKTYWIŚCI

Jak to często bywa przy kwestiach z pozoru prozaicznych, mamy tutaj splot kilku fundamentalnych racji i interesów.

Miejscy aktywiści (którym poświęciłem niedawno tekst w „Do Rzeczy") nienawidzą hulajnóg elektrycznych niemal tak samo jak samochodów. W swoich propozycjach uregulowania problemu Miasto Jest Nasze (MJN) – najagresywniejsze z warszawskich stowarzyszeń miejskich – zawarło propozycje całkowicie nieracjonalne. Zażądało między innymi wprowadzenia fabrycznego ograniczenia prędkości urządzeń transportu osobistego (UTO) – mogą to być także np. elektryczne deskorolki albo jednoosiowe pojazdy z żyroskopem – do 20 km/godz. Tyle że rowerzyści, których z kolei aktywiści miejscy ubóstwiają, jeżdżą często o wiele szybciej, również po chodnikach, ale ich prędkości nikt ograniczać nie zamierza. Poza tym UTO miałyby ostatecznie poruszać się również drogami dla rowerów, a tam ograniczenie do 20 km/godz. wydaje się już kompletnym nonsensem. Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że istnieją elektryczne hulajnogi, zdolne do rozwijania prędkości nawet ponad 60 km/godz.

MJN chciałoby, żeby usunięcie ograniczenia stanowiło przestępstwo z art. 306 Kodeksu karnego: „Kto usuwa, podrabia lub przerabia znaki identyfikacyjne, datę produkcji lub datę przydatności towaru lub urządzenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Trzy lata więzienia za odblokowanie elektrycznej

eprasa.pl e505c478f7

hulajnogi! MJN postulowało też, żeby na chodnikach UTO mogły jeździć najwyżej 10 km/godz. Nie wiadomo, ani jak miałoby to być sprawdzane, ani jak się to ma do szaleństw rowerzystów.

Sprzeciw miejskich aktywistów ma korzenie ideologiczne. Aktywistom nie chodzi o bezpieczeństwo, bo gdyby tak było, równie ostro zajmowaliby się zagrażającymi pieszym rowerzystami. Tego jednak nie robią.

Hulajnogi elektryczne pojawiły się w polskich – i nie tylko – miastach na prawach wolnego rynku, poza regulacjami, co jest głęboko sprzeczne z lewicowym paradygmatem organizacji takich jak MJN. Firmy takie jak Lime, Hive czy Bird nie zawierały z miastem żadnej umowy – inaczej niż firma zajmująca się rowerami miejskimi, który to przetarg budził zresztą ogromne wątpliwości. Tutaj sprawa jest prosta: ludzie chcą jeździć – firmy dostarczają sprzęt. Dla lewicowych umysłów miejskich aktywistów to nie do pomyślenia! Oni nie są w stanie znieść, że coś się dzieje poza ich własnym, a przyjmowanym w dużej mierze przez miasto, projektem społecznej inżynierii. Są jak Komitet Centralny PZPR, który nie wyobraża sobie, że może coś działać poza planem 10-letnim.

Aktywiści miejscy uznają też hulajnogi za konkurencję dla ubóstwianych przez siebie rowerów. Rower traktowany jako środek komunikacji w mieście stał się dla stowarzyszeń takich jak MJN ideologicznym obiektem kultu. Fanatyzm części rowerzystów, skierowany również przeciwko posiadaczom samochodów, stanowi dla aktywistów miejskich pożywkę. A tu nagle pojawia się inny środek transportu, alternatywny dla transportu miejskiego, roweru, czasem nawet samochodu, ale dostępny dla każdego znacznie bardziej niż rower, który wymaga kondycji i na którym człowiek się poci. Na elektrycznej hulajnodze można wygodnie dojechać na biznesowe spotkanie, nie uroniwszy ani kropli potu.

SKLEROZA PRAWODAWCY I HIPERREGULACJA

Hiperregulacja jest zmorą naszych czasów. Zdrowy rozsądek jest w defensywie, wszystko musi być ujęte w przepisach, na ogół bez sensu.

Tymczasem polski Kodeks drogowy nie uwzględnia istnienia UTO, choć od paru lat widać było, że takich urządzeń przybywa. Ministerstwo Infrastruktury (MI), poganiane przez media, opracowało w końcu kilka tygodni temu propozycje rozwiązań. Zawarta w nich definicja UTO brzmi: „Urządzenie konstrukcyjnie przeznaczone do poruszania się wyłącznie przez kierującego znajdującego się na tym urządzeniu, o szerokości nieprzekraczającej w ruchu 0,9 m, długości nieprzekraczającej 1,25 m, masie własnej nieprzekraczającej 20 kg, wyposażone w napęd elektryczny, którego konstrukcja ogranicza prędkość jazdy do 25 km/godz.". Nietrudno zauważyć, że przepisy są dziurawe jak sito. Co bowiem z hulajnogą elektryczną przeznaczoną dla dwóch osób? Co z pojazdami, które mają napęd elektryczny i odpowiednie wymiary, ale ich prędkość nie jest ograniczona do 25 km/godz.? Czy to znaczy, że nie są już UTO, zatem muszą się poruszać wśród samochodów? A może prowadzący taki pojazd, rozwijający prędkość 50 km/godz., będą traktowani jak piesi? Mamy tu klasyczny mechanizm gonienia przez prawo własnego ogona: im szczegółowsze przepisy, tym więcej w nich luk, które trzeba będzie pewnie łatać kolejnymi nowelizacjami, które stworzą nowe luki – i tak bez końca.

Użytkownik UTO ma mieć możliwość poruszania się chodnikiem, „gdy szerokość chodnika wzdłuż drogi, po której ruch pojazdów jest dozwolony z prędkością większą niż 30 km/godz. wynosi co najmniej 2 metry i brakuje wydzielonej drogi dla rowerów oraz pasa ruchu dla rowerów". A co, jeśli obok drogi z prędkością dopuszczalną ponad 30 km/godz. chodnik ma półtora metra i nie ma drogi dla rowerów? Wtedy użytkownik UTO ma jechać między pędzącymi autami?

Można też spokojnie założyć, że urzędnicy MI nie przeprowadzili analizy użyteczności i pojemności dostępnej infrastruktury rowerowej, która po wejściu w życie przepisów miałaby przecież przejąć wszystkie hulajnogi elektryczne. Wziąwszy pod uwagę, że wiele polskich miast przeprojektowano pod wpływem rowerowej ideologii tak, że drogi dla rowerów tworzą zagrożenie i dla rowerzystów, i dla kierowców, nie sposób sobie wyobrazić skutków, gdy nagle wyjadą na nie tysiące hulajnóg.

Piesi chcą mieć na chodnikach prawo do bezpiecznego poruszania się. Kierowcy mają dość dyskryminacji i spychania ich do narożnika przez antysamochodową ideologię. Rowerzyści czują się świętymi krowami, a polska legislacja drogowa w ciągu kilku ostatnich lat jeszcze ich w tym przekonaniu utwierdziła, dając im absurdalne przywileje w ruchu. I teraz w ten miszmasz i narastający konflikt włączają się jeszcze hulajnogi. Co ciekawe – przy bierności firm zajmujących się ich udostępnianiem, które w ogóle głosu nie zabierają. Ot, udostępniają sprzęt i tyle.

CZYJE JEST MIASTO?

Jeśli ktoś sądzi, że to tylko polska specyfika, ten niech przeszuka Internet. Zatargi między rowerzystami a kierowcami są udokumentowane dziesiątkami tysięcy filmów na YouTube, zrobionych w Wielkiej Brytanii czy we Francji. Wściekłość na elektryczne hulajnogi także rozlewa się w błyskawicznym tempie. W San Francisco radni zaczęli w tej sprawie alarmować w pierwszej połowie tego roku – działają tam te same firmy co w Polsce. We Francji w wypadkach z udziałem elektrycznych hulajnóg w 2018 r. zginęło pięć osób. Inna rzecz, że tę liczbę trzeba by odnieść do liczby pojazdów i przejechanych przez nie kilometrów. W Warszawie w maju było prawie 4 tys. takich pojazdów oferowanych przez wypożyczalnie. Ile jest prywatnych – nie wiadomo.

Zakazy i restrykcje to jednak najgorszy sposób. Przecież na elektrycznych hulajnogach jeżdżą ludzie, którzy płacą podatki na publiczną przestrzeń – drogi i chodniki – tak samo jak rowerzyści, piesi czy kierowcy (ci ostatni nawet dużo więcej). Hulajnoga elektryczna okazuje się znacznie bardziej demokratycznym środkiem transportu indywidualnego niż rower. Walka z nią ma mniej więcej taki sens jak walka z Uberem. Przypomina to XIX-wieczny ruch luddystów, którzy atakowali manufaktury i fabryki, na ogół nocą. Rozbijali maszyny, niszczyli i podpalali budynki. W pozostawianych listach podpisywali się jako bojownicy Neda Luddy. Luddyści rekrutowali się spośród rzemieślników, których spokojne i względnie dostatnie życie zburzyło powstanie fabryk. Rewolucji przemysłowej, rzecz jasna, nie powstrzymali, tak jak aktywiści miejscy czy oderwani od rzeczywistości legislatorzy nie powstrzymają dzisiaj rozwoju wygodnych środków indywidualnego transportu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Radosław Wojtas

Lekcja pokory

Pół godziny przed uderzeniami piorunów w Giewont w Tatrach było już słychać grzmoty. Mimo tego turyści nadal wchodzili na górę. Do tragedii doszło w czasie, gdy TOPR prowadził inną skomplikowaną akcję w Jaskini Wielkiej Śnieżnej. Teraz oboma wydarzeniami zajmuje się prokuratura

Nawet ratownicy TOPR, którzy przecież już niejedno widzieli, do opisania tego, co się działo w Tatrach 22 sierpnia, używają mocnych, emocjonalnych słów. „Kilkadziesiąt osób leżących pod krzyżem to był widok przerażający, straszny – mówił na antenie TVN24 pilot śmigłowca TOPR Andrzej Śliwa. – Zdecydowałem się lecieć, jeszcze gdy grzmiało i padało intensywnie […]. Staraliśmy się pomóc tym ludziom. Kto, gdzie, to już działaliśmy po prostu intuicyjnie. Wpierw do reanimowanych dzieci, później do połamanych leżących, którzy nie mogli się poruszać o własnych siłach. Ile lotów wtedy wykonałem, to nawet trudno policzyć".

Podczas burzy z 22 sierpnia rannych zostało 157 osób, a cztery, w tym dwoje dzieci, zginęły. Śmierć poniósł też turysta z Czech, który przebywał po słowackiej stronie Tatr. Naczelnik TOPR Jan Krzysztof podkreślał, że liczba rannych i skala działań były wyjątkowe i nigdy w Tatrach nienotowane. – To jest sytuacja, którą można porównać do zamachu terrorystycznego – mówił mediom.

KSIĄDZ PORAŻONY TRZYKROTNIE

To nie było pojedyncze uderzenie, ale cała seria wyładowań. Nie tylko w Giewont. Pierwszą informację o rażeniu piorunem TOPR odbiera o godz. 13.06. Poparzony i pokaleczony jest turysta w okolicach Chudej Przełączki. Po 10 minutach ratownicy dostają informację o porażeniu na Giewoncie. Trzy osoby, w tym dwoje dzieci, są reanimowane. Burza trwa, ratownicy nie mogą wystartować śmigłowcem. O godz. 13.37 z centrali na Kondratową wyjeżdża 12-osobowa ekipa ratowników. Śmigłowiec, mimo wciąż trudnych warunków, startuje o godz. 14. Pięć minut później informacja o kolejnym uderzeniu pioruna w Giewont i następnych rannych. Ratownicy przejmują reanimację na tej górze o godz. 14.23. Śmigłowiec transportuje najpoważniej poszkodowanych na dół, a wracając, zabiera kolejnych ratowników. Do akcji włączają się inne służby. W tym cztery śmigłowce Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Jeden działa bezpośrednio w górach, trzy zajmują się transportowaniem rannych do dalej położonych szpitali. Po godz. 15.11 ratownicy informują, że resuscytacja trzech osób na Giewoncie (kobiety i dwojga dzieci) się nie powiodła. O 16.18 porażony zostaje turysta na Siodłowej Przełęczy. Informację o ostatnim śmiertelnym uderzeniu pioruna w Żlebie Kirkora TOPR odbiera o godz. 17.13. Ponad cztery godziny od pierwszego poważnego porażenia.

Ranni są poparzeni, niektórzy mają zaburzenia neurologiczne (np. słuchu lub wzroku), rany od upadków, ale również te odniesione z powodu wybuchu paniki. Giewont w sezonie w pogodny dzień odwiedza nawet ok. 2 tys. turystów. Do wejścia i zejścia ustawiają się kolejki. Szacuje się, że w feralny czwartek do czasu rozpętania się burzy przez szczyt przewinęło się tysiąc osób.

Relacje poszkodowanych na Giewoncie są wstrząsające. – Wydaje mi się, że po pierwszym uderzeniu były największe straty ludzkie, bardzo dużo ludzi było porozrzucanych, niektórzy pospadali – opisywał dziennikarzom TVN24 jeden ze świadków. – Zaczęło się wyciąganie ludzi, niektórzy byli w stanie krytycznym. […] Wyciągnęliśmy z dołu jedną kobietę, która też nie przeżyła – dodawał. Pozostałe opisy są równie dramatyczne. – Mnóstwo rannych, niektórzy nadzy z popalonymi ubraniami, jedna pani wyglądała jak w agonii. Koszmar, którego nie zapomnę – relacjonowała pewna kobieta dla Polsat News. – Piorun uderzył w krzyż za mną. Żyję tylko dlatego, że nie zdążyłam dotknąć łańcucha. Pamiętam przerażający krzyk i księdza gdzieś za mną, udzielającego ogólnego rozgrzeszenia – opisywała.

Kapłan udzielający zbiorowego rozgrzeszenia rannym na Giewoncie to ks. Jerzy Kozłowski. – Gdy byłem już pod krzyżem, w oddali było słychać grzmoty, od razu bardzo się zaniepokoiłem. Miałem złe przeczucia – mówił ekipie programu „Interwencja", która odwiedziła księdza w zakopiańskim szpitalu. – Kiedy piorun uderzył, musiało mną rzucić i uderzyłem w skałę. Prawy but został rozerwany, lewy został na stopie, ale noga była niewładna – relacjonował ks. Jerzy. Wspominał ogromny ból i iskry, które pojawiły się przed jego oczami. – W takim impulsie wstałem i na głos rozgrzeszyłem ludzi, którzy byli wokół, bo podejrzewałem, że może być źle, że mogą być jacyś umierający. Zrobiłem

eprasa.pl e505c478f7

FOT. MAREK PODMOKLY/AGENCJA GAZETA

to, co do mnie należało – powiedział „Interwencji".

W obawie przed kolejnymi wyładowaniami nawoływał, by ludzie schodzili jak najniżej. Sam również próbował zejść, ale sił wystarczyło mu na przejście zaledwie kilku metrów. I wtedy piorun trafił go po raz drugi. – Porównałbym to do działania respiratora. Taki skurcz, nic więcej. Nie było bólu – opisywał. Ale to nie był koniec koszmaru. Niebawem został porażony po raz trzeci. – Moje morale upadło wtedy zupełnie. Myślałem, że jestem spalony. Prosiłem Boga, żeby mnie zabrał, ból był tak ogromny – powiedział. – My byliśmy blisko krzyża i przeżyliśmy, a ci, którzy byli dalej, zginęli – dodawał kapłan. Dzisiaj jego życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo.

– Taka sytuacja, żeby naraz było tak wielu rannych, nigdy wcześniej w historii TOPR się nie wydarzyła. Porażenia piorunem zdarzają się niemal co roku z różnym, także śmiertelnym skutkiem, ale nigdy wcześniej na taką skalę – mówi nam Beata Sabała-Zielińska, autorka książki „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć". Dodaje, że dotychczas najtragiczniejsze w skutkach było porażenie na Giewoncie z 15 sierpnia 1937 r., kiedy zginęły cztery osoby, a 13 zostało rannych.

PROKURATOR ZAJRZY DO JASKINI

W czasie, gdy z Giewontu ewakuowano rannych, w Jaskini Wielkiej Śnieżnej ratownicy TOPR już szósty dzień próbowali dotrzeć do uwięzionych w niej grotołazów. Czterech mężczyzn weszło do jaskini w czwartek 15 sierpnia ok. godz. 20. Dwóm z nich woda, której poziom nagle się podniósł, odcięła drogę ucieczki. Jeszcze w nocy z piątku na sobotę był z nimi kontakt głosowy. W sobotę 17 sierpnia po południu grotołaz, który wydostał się z jaskini, wezwał TOPR na pomoc.

Od tego czasu trwała walka z czasem. Ratownicy przy wsparciu strażaków, których wcześniej szkolili, próbowali dotrzeć do grotołazów. W tym celu używano nawet materiałów wybuchowych, by poszerzać przejście. Poszukiwania trwały dzień i noc. A w i tak niebezpiecznej akcji nie pomagali grotołazi, którzy na własną rękę próbowali szukać zaginionych. W środę po godz. 8 toprowcy wyprowadzili dwóch mężczyzn, którzy bezprawnie weszli w rejon poszukiwań.

W czwartek późnym wieczorem, w dniu feralnej burzy w Tatrach, ratownicy dotarli do ciała pierwszego z grotołazów, a za nim dostrzegli coś, co zidentyfikowali jako (najprawdopodobniej) fragment kombinezonu drugiego z mężczyzn. Akcja z ratowniczej zmieniła się w mającą na celu wydobycie ciał. Naczelnik TOPR Jan Krzysztof poinformował, że działania nie są już tak pilne, co nie oznacza, że ratownicy wyszli z jaskini.

Koledzy uwięzionych mężczyzn z Sekcji Grotołazów Wrocław nie kryli niezadowolenia. Apelowali nawet do premiera, by wpłynął na decyzję TOPR, na Facebooku opublikowali komunikat, w którym napisali m.in.: „Informacje napływające z Tatr nie pozwalają nam dłużej trzymać się nadziei na szczęśliwe zakończenie. Szczególnie w obliczu tak trudnej do zrozumienia decyzji TOPR o zaniechaniu akcji ratunkowej. Pomimo nieodnalezienia jednego z naszych kolegów TOPR wycofuje się z działań w jaskini i nie dopuszcza innych organizacji ratowniczych przebywających na miejscu". Po fali krytyki komentarz został usunięty.

– Rozgoryczenie rodziny i przyjaciół jest zrozumiałe, ale wiem, jak działa TOPR, wierzę tym chłopakom i jestem pewna ich profesjonalizmu oraz zaangażowania. Zawsze robią wszystko, by jak najszybciej dotrzeć do poszkodowanego, ale ta presja czasu jest wtedy, kiedy jest cień nadziei, że idą po żywego człowieka – mówi Beata Sabała-Zielińska. – Oni o tym nie mówią, ale wiem od osób, które tam były, że w momencie, kiedy w jaskini była słaba wentylacja, a ratownicy dokonywali strzałów poszerzających korytarze, ratownicy wychodzili na powierzchnię podtruci, wymiotowali, mdleli. Naprawdę robili wszystko, by dotrzeć do grotołazów, z narażeniem własnego życia – dodaje.

Ktoś złożył jednak doniesienie do prokuratury, która podjęła czynności sprawdzające pod kątem ewentualnego nieudzielenia pomocy osobom, które znalazły się w bezpośrednim zagrożeniu życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Śledztwo zostało też wszczęte w sprawie wydarzeń na Giewoncie. Prokuratura przyjrzy się działaniom służb, w tym odpowiedzialnym za informowanie o zmianach pogodowych, ale sprawdzi również, czy opiekunowie dzieci dopełnili swoich obowiązków, wchodząc z nimi na Giewont tuż przed burzą.

NOCĄ NA GIEWONT

Szef TOPR mówił, że grzmoty było słychać w Tatrach pół godziny przed uderzeniami w Giewont. Niektórzy rezygnowali z wejścia, bo wyraźnie słyszeli nadchodzącą burzę, a podczas drogi w dół mijali ich ludzie, którzy mimo grzmotów decydowali się na wejście. Jedna z rannych turystek relacjonowała dla Polsat News: „Kilka chwil przed piorunem zrobiłam tzw. selfie pod krzyżem. Przeraża mnie myśl, że to mogło być moje ostatnie zdjęcie".

Trudno o bardziej dobitną i działającą na wyobraźnię lekcję, że w górach są rzeczy ważniejsze od selfie, dobrego kadru i zaliczenia kolejnego szczytu. Jednak nie wszyscy potraktowali ją poważnie. Jeszcze czwartkowej nocy uszkodzonym, zamkniętym i niebezpiecznym szlakiem na Giewont weszło dwóch młodych mężczyzn, którzy podpisali się na krzyżu, a swoim wyczynem pochwalili się w mediach społecznościowych.

– Szlak został zamknięty, bo po burzy zostały uszkodzone kotwy i łańcuchy, zalegały na nim też odłamki skalne. Te największe już zostały częściowo uprzątnięte, ale na kopule podłoże może być kruche i bardzo niebezpieczne. 2 września rozpocznie się zaplanowany wcześniej remont, który teraz będzie miał zmieniony zakres. Ma on potrwać około dwóch tygodni – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Paulina Kołodziejska z Tatrzańskiego Parku Narodowego. I przestrzega, by zakazu wejścia nie lekceważyć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

FOT. ROBERT STACHNIK/REPORTER

Agnieszka Niewińska

Fundacja, która zorganizowała akcję „Różaniec do granic", w tym roku zaprasza na spotkanie modlitewne „Polska pod krzyżem". Odbędzie się ono 14 września na lotnisku Włocławek-Kruszyn

Polska pod krzyżem

Wspólny Różaniec, msza święta, droga krzyżowa i adoracja, a także konferencje o niezwykle popularnym w Polsce świętym ks. Dolindo Ruotolo czy na temat walki duchowej we współczesnym świecie. To czeka pielgrzymów, którzy zdecydują się przybyć 14 września do Włocławka. To tam fundacja Solo Dios Basta, znana z takich wydarzeń jak „Wielka pokuta" czy „Różaniec do granic", wraz z diecezją włocławską organizują ogólnopolską akcję modlitewną „Polska pod krzyżem".

– Idea, aby zgromadzić Polaków pod krzyżem, zrodziła się dwa lata temu, mniej więcej miesiąc po „Różańcu do granic". Zwróciliśmy uwagę na rosnącą nienawiść do Kościoła katolickiego oraz na brak duchowej odpowiedzi na te ataki zarówno w Polsce, jak i na świecie – opowiada Lech Dokowicz z fundacji Solo Dios Basta. – W tamtym czasie zrozumieliśmy, że Kościół idzie na Golgotę, więc jedyną sensowną odpowiedzią będzie stanięcie z Maryją pod krzyżem, a nie ucieczka. Wydarzenia ostatnich dwóch lat jasno potwierdziły tę intuicję. Po filmie Sekielskich nastąpiła prawdziwa erupcja nienawiści do wszystkiego, co święte. Dzisiaj w Polsce niemal każdego dnia mamy do czynienia z zachowaniami, które do niedawna można było zobaczyć tylko w krajach zachodnich: od profanacji, bluźnierstw, niszczenia katolickich symboli aż do słownych i czynnych ataków na kapłanów.

Biskup włocławski Wiesław Mering, zapraszając na wydarzenie w Polskim Radiu, zwrócił uwagę, że wierni muszą

eprasa.pl e505c478f7

wrócić pod krzyż, by przypomnieć sobie, iż ataki na chrześcijan, Kościół i instytucje katolickie to nic nowego. – Poprzez takie liczne zgromadzenie poznajemy swoją siłę. Jest nas wielu. To właśnie dodaje nam mocy, bo wiara rodzi się zawsze we wspólnocie Kościoła – dodał hierarcha.

Lech Dokowicz zwraca uwagę, że oprócz codzienności życia religijnego potrzebujemy uczestnictwa w wydarzeniach duchowych, które umacniają i formują. – Gdyby tak nie było, to po co św. Jan Paweł II odbyłby tyle pielgrzymek? Po co organizować rekolekcje, pielgrzymki czy odpusty? Każde z tych działań ma na celu ożywienie i umocnienie wiary – podkreśla.

W INTENCJI KOŚCIOŁA

Zapisy na wyjazd na wspólną modlitwę do Włocławka już ruszyły. Przyjazd zadeklarowali wierni zarówno z dużych miast wojewódzkich, jak i z mniejszych ośrodków, takich jak Andrychów, Czersk, Kartuzy czy Wyszków.

– Na wydarzenie „Polska pod krzyżem" zebraliśmy już trzy autokary chętnych wiernych, którzy 14 września pragną modlić się za Kościół. Kolejne osoby mogą wysyłać swoje zgłoszenia poprzez stronę dlamaryi.pl – mówi Aneta Krupińska z Warszawy, która od kilku lat organizuje wyjazdy na wydarzenia katolickie oraz pielgrzymki. – Pięć lat temu odnalazłam Boga w moim życiu i postanowiłam iść za Jego głosem. Usłyszałam wezwanie Maryi, która zapraszała mnie na Jasną Górę w pierwsze soboty miesiąca. Zaczęłam organizować wyjazdy pielgrzymkowe do Częstochowy na zawierzenia Matce Bożej. Bardzo szybko dołączyło do nas grono ludzi, którzy również mieli pragnienia podobne do moich. Dzisiaj wyjazdy te są regularne, a grono pielgrzymów powiększa się z miesiąca na miesiąc.

Przed trzema laty zorganizowała wyjazd na „Wielką pokutę", przed dwoma laty na „Różaniec do granic". – Bóg wzywa nas do modlitwy, która może wiele zmienić. Może zmieniać ludzi, przyszłość, sytuacje. Modlitwy, która daje nadzieję na zbawienie i ratunek dla świata, dlatego trzeba wyjść z domu i z ogromną miłością oddać Bogu ten czas. W grupie są siła i ogromna łaska. Wspólną modlitwą możemy wyprosić cuda – przekonuje Aneta Krupińska, przytaczając słowa Ewangelii wg św. Mateusza: „Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyczy im mój Ojciec, który jest w niebie".

– Chcemy modlić się wspólnie podczas wydarzenia „Polska pod krzyżem", bo nie możemy przejść obojętnie obok tego, co obecnie dzieje się w naszej ojczyźnie, gdzie Kościół jest tak bardzo atakowany przez złego ducha. Jesteśmy uczniami Chrystusa i on sam powołał nas do ewangelizacji i modlitwy. Musimy bronić Kościoła i modlić się za tych, którzy go niszczą, aby Bóg przemienił ich serca i skierował na drogę nawrócenia – podkreśla Aneta Krupińska.

Ile osób może przybyć 14 września do Włocławka? Lech Dokowicz zaznacza, że trudno to oszacować. – Wydarzenie jest otwarte i niebiletowane, a większość ludzi decyduje się na wyjazd w ostatnich dniach. Natomiast lotnisko Włocławek-Kruszyn może potencjalnie przyjąć ponad milion pielgrzymów, więc dla nikogo nie zabraknie miejsca pod krzyżem – zaznacza.

Fundacja Solo Dios Basta już pokazała, że potrafi wokół swoich wydarzeń skupić milionową rzeszę wiernych. W 2017 r. w akcji „Różaniec do granic" wzięło udział ponad milion Polaków. Tylu ich zdecydowało się stanąć wzdłuż polskich granic z różańcem w ręku. Wielu też przyłączało się do modlitewnego wydarzenia w swoich miejscach zamieszkania i to pomimo tego, że wydarzenie było w wielu mediach dyskredytowane.

Publicysta katolicki Tomasz Wiścicki zwraca uwagę, że w Kościele w Polsce przybywa inicjatyw, które gromadzą dziesiątki czy nawet setki tysięcy wiernych. – I nie chodzi tu o tradycyjne uroczystości, takie jak procesje Bożego Ciała, ale o wydarzenia organizowane często przez osoby świeckie – takie jak „Wielka pokuta", „Różaniec do granic" czy spotkania z charyzmatykami, np. Johnem Bashoborą czy Jamesem Manjackalem. To nowe zjawiska kulturowe. O ile nie wymykają się one spod kontroli duszpasterskiej i są organizowane pod auspicjami Kościoła, nie widzę powodu, żeby nie miały się odbywać. Skoro tyle osób chce uczestniczyć w takich wydarzeniach, to najwyraźniej są one wierzącym potrzebne – podkreśla publicysta.

HEJT ZA RÓŻANIEC

Akcja „Różaniec do granic" zyskała międzynarodowy rozgłos, a zdjęcia modlących się na granicach Polaków obiegły wiele światowych mediów. Wzorując się na Polakach, akcję „Rosary on the Coast" zorganizowali Irlandczycy. W USA w ramach wydarzenia „Rosary Coast to Coast" modlono się we wszystkich stanach, a także w Puerto Rico i na wyspie Guam. Amerykanie swój „Różaniec do granic" zdecydowali się organizować cyklicznie. W tym roku odbędzie się 13 października.

Do wzięcia udziału w „Różańcu do granic" zachęcało wiele osób publicznych, m.in. dziennikarze Katarzyna Olubińska, Przemysław Babiarz, aktorzy Dominika Figurska, Cezary Pazura, czym narazili się na ataki w mediach i internetowy hejt. „Jesteśmy wyzywani na każdym portalu społecznościowym. Wyśmiewa nas Saramonowicz, Korwin-Piotrowska czy Jerzy Stuhr. Każdy ich wpis wywołuje lawinę kolejnego hejtu. Ich profile społecznościowe zalewa upadlająca mieszanka wyzwisk w naszą stronę, a my zaczynamy dostawać na skrzynki mailowe groźby ataku czy śmierci" – relacjonowała na swoim blogu Edyta Pazura.

Czy znane postaci będą zapraszać wiernych także na wydarzenie „Polska pod krzyżem"? – Na razie w tej grupie ludzi nie znaleźliśmy ochotników, którzy zechcieliby ponieść krzyż. Albo jeszcze się znajdą, albo Pan Bóg poradzi sobie w inny sposób – mówi Lech Dokowicz.

Tomasz Wiścicki zwraca też uwagę, że w obliczu coraz częstszych przejawów nienawiści wobec Kościoła i jego wiernych polscy katolicy odczuwają potrzebę pokazania, iż nie są ani marginesem, ani dinozaurami, które zaraz wyginą. – Mamy zupełnie inną sytuację niż jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy koszulka z napisem: „Nie płakałem po papieżu" wzbudzała kontrowersje. Dzisiaj, kiedy wprost życzy się chrześcijanom śmierci, tamten napis wydaje się wręcz łagodny. Obecnie jedyną nienawiścią, którą się można szczycić, jest nienawiść do chrześcijan – zaznacza publicysta. I dodaje: – W tym kontekście z szacunkiem patrzę na publiczne przyznawanie się do wiary. To zawsze był fenomen polskiego Kościoła, ale wciąż np. na Jasną Górę pielgrzymują tysiące wiernych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej informacji o wydarzeniu „Polska pod krzyżem" można znaleźć na stronie internetowej: www.polskapodkrzyzem.pl.

eprasa.pl e505c478f7

Piotr Gociek

„Sztuka we krwi" to udana kontynuacja opowieści o słynnym detektywie. Co ciekawe, utrzymana w duchu oryginalnych opowiadań Conan Doyle'a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sherlock nieśmiertelny

Pod koniec lat 90. ubiegłego stulecia kanadyjski autor fantastyki Robert. J. Sawyer opowiadał mi, jak długo starał się o pozwolenie na napisanie opowiadania o Sherlocku Holmesie. Praw do postaci pilnie strzegło Conan Doyle Estate Ltd., które dbało zarówno o to, by nie ukazywały się pirackie edycje kanonicznych opowieści o słynnym detektywie, jak i o to, by mieszkańca Baker Street 221B nie przedstawiano w niewłaściwym świetle.

Krótko mówiąc, gdy ktoś wówczas miał ochotę napisać własną książkę z Holmesem w roli głównej, musiał najpierw uzyskać zgodę spadkobierców Conan Doyle'a. A gdyby chciał w niej przedstawić Sherlocka jako seryjnego mordercę albo niemieckiego szpiega, pewne było, że takiej zgody nie uzyska. Kanadyjski fantasta należał do nielicznych szczęśliwców, na których projekty Conan Doyle Estate spojrzało przychylnie. Swoje jednak odczekał.

Od tamtych czasów sporo się zmieniło. Książki o Holmesie stały się częścią domeny publicznej, gdy minęło 70 lat od śmierci autora (Arthur Conan Doyle zmarł w roku 1930). Oznacza to, że nie tylko każdy może je wydawać i na tym zarabiać. Ważniejsza zmiana miała miejsce w roku 2014, kiedy to w wyniku głośnej (choć nie u nas) sprawy sądowej oznajmiono, że do domeny publicznej trafiają nie tylko prawa do oryginalnych utworów Conan Doyle, lecz także same postacie Holmesa i Watsona. Pieczołowicie strzeżony model biznesowy runął w gruzy, chętni do tworzenia własnych historii o najsłynniejszym z detektywów nie muszą się już ustawiać w kolejce do Conan Doyle Estate.

DETEKTYW Z WAMPIRAMI

Efekt widać w księgarniach (choć jeszcze nie naszych). Jak świat długi i szeroki amatorzy oraz zawodowcy zakochani w Holmesie, i ci tylko szukający szybkiej popularności, zaczęli wymyślać jego nowe przygody. Daniel D. Victor, autor kanadyjski, wysłał na przykład do Londynu młodego Raymonda Chandlera i kazał mu u Holmesa terminować. W innych tytułach swej serii „Sherlock Holmes and the American Literati" skrzyżował ścieżki detektywa także z Markiem Twainem, Stephenem Cranem (autorem powieści „Szkarłatne godło odwagi") i Jackiem Londonem.

Inni poszli dużo dalej – wmontowują Holmesa w światy fantastyki i horroru. Niekiedy bardzo zręcznie, jak choćby w serii komiksów, które w Polsce wydaje Egmont. Już same tytuły mówią wiele: „Sherlock Holmes i wampiry z Londynu", „… i Necronomicon", „… i podróżnicy w czasie". Nawet pozornie niewinna seria zaczynająca się od enigmatycznego tytułu „Sprawa w Keelodge" to tak naprawdę początek cyklu o zmaganiach detektywa z zombi.

To samo wydawnictwo przedstawiło polski przekład innej komiksowej serii, którą zresztą uważam za uroczą i bardzo

eprasa.pl e505c478f7

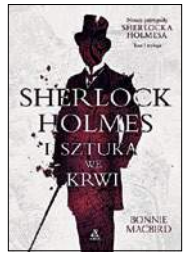

★★★★☆☆

BONNIE MACBIRD „SHERLOCK HOLMES I SZTUKA WE KRWI" WYDAWNICTWO AMBER 2019

pomysłową, bo łączy finezję francuskiej kreski z brytyjskim klimatem jak z powieści Karola Dickensa. Bohaterowie to mali pomocnicy Sherlocka Holmesa rozwiązujący kryminalne zagadki Londynu na własną rękę, a rzecz nosi tytuł „Czwórka z Baker Street". Sam Holmes pojawia się tu incydentalnie.

A skoro już mowa o otoczeniu Holmesa, a nie o nim samym, niespełna rok temu z przyjemnością recenzowałem w „Do Rzeczy" (48/2018) pierwszy tom cyklu o nieznanej dotąd młodszej siostrze Sherlocka i Mycrofta Holmesów, rezolutnej Enoli Holmes (seria Nancy Springer liczy już sześć tomów, będzie i wersja filmowa). Nieco poniżej radaru fanów wielkiego detektywa przemknęła też swego czasu u nas powieść Carole Nelson Douglas „Dobranoc, panie Holmes" otwierająca serię książek o przygodach Ireny Adler, kobiecej nemezis Sherlocka i zarazem obiekcie jego fascynacji.

To tylko garść wybranych przykładów. Fala wzbiera i przyniesie – jestem tego pewien – mnóstwo kolejnych dzieł rozmaitej jakości. Niekoniecznie płodzonych z miłości. W końcu, cynicznie mówiąc, Holmes to jedna z najbardziej rozpoznawalnych marek w dziejach świata (nie tylko literatury kryminalnej). A w czasach, gdy informacyjny szum osiągnął poziom dotąd w dziejach niespotykany, możliwość takiego oznakowania własnych dokonań to rzecz bezcenna.

FOT. GETTY IMAGES

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Na tym tle wyróżnia się przedsięwzięcie Amerykanki Bonnie MacBird, reklamowanej jako scenarzystka i producentka z Hollywood (jakby to akurat było w świecie książek właściwą rekomendacją…), której kariera bardziej związana była jednak ze światem teatru. MacBird odcisnęła jednak swe piętno na historii fabryki snów, bo to ona napisała scenariusz, na podstawie którego powstał filmu „TRON" (1982).

Jej powieść „Sherlock Holmes i sztuka we krwi" (właśnie ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwo AMBER) to pierwsza część trylogii (tom drugi „Unquiet Spirits" już się ukazał na Zachodzie, tom trzeci – „The Devil's Due" – będzie miał światową premierę w październiku). MacBird, opowiadająca w wywiadach, że zakochała się w opowiadaniach o Holmesie, gdy miała 10 lat (rzeczywiście, idealny wiek, by zacząć – potwierdzam!), podeszła do kwestii kontynuacji w sposób konserwatywny. Zamiast kombinować, jakby tu w jak najdziwniejszy sposób rozciągnąć uniwersum Holmesa, zamiast na siłę uwspółcześniać albo wysyłać przeciw niemu Drakulę (bywały już i takie pastisze), postanowiła wrócić do źródeł. Do prozy Arthura Conan Doyle'a.

Wszystkim miłośnikom klasyki (i dobrej rozrywki) polecam sięganie co jakiś czas do holmesowskiego kanonu. Trzeba, co prawda, uważać, bo wśród wydawnictw szukających łatwego zysku zdarzają się i takie, które by obniżyć koszty wydania sięgają po najstarsze, wątpliwej jakości (za to darmowe), często niepełne przekłady. Przytłoczeni kontynuacjami, reinterpretacjami i niezliczonymi wersjami telewizyjnymi czy kinowymi często zapominamy, jak dobrym pisarzem był Arthur Conan Doyle. Jego holmesowskie opowieści były napisane jasnym, lekkim stylem, bez niepotrzebnych wtrętów i stylizacji. Zaskakujące, inteligentne, z dobrymi puentami. Conan Doyle sprytnie rozsiewał po swych utworach okruchy biografii Holmesa, zawsze budując w odbiorcach rzecz rzadko spotykaną, a cenną – poczucie niedosytu.

Bonnie MacBird (na co dzień wykładająca sztukę pisania na kalifornijskim uniwersytecie) dobrze odrobiła lekcję. Historia jest manuskryptem doktora Watsona, niestrudzonego kronikarza przygód Holmesa. Akcja rozgrywa się w roku 1888, zaś atmosfera jest odpowiednio wiktoriańska. W intrygę zamieszane jest towarzystwo, które łatwo wyobrazić sobie na kartach oryginalnych opowiadań Conan Doyle'a. Mamy zatem bogatych arystokratów i ich rodzinne tajemnice, niezwykłe dzieło sztuki, przebieranki w wydaniu Holmesa, sporo scen akcji, w których przydatne są laski, noże i rewolwery. Pewnym zaskoczeniem jest postać kabaretowej śpiewaczki z Paryża szukającej pomocy u detektywa. Wprowadzenie na scenę francuskiego osobnika podającego się za potomka słynnego Vidocqa przyjąłem natomiast jako hołd… francuskiemu hołdowi złożonemu niegdyś Conan Doyle'owi. To bowiem klasyk francuskiej rozrywki – Maurice Leblanc – kazał kiedyś na łamach swoich opowiadań zmierzyć się Arsenowi Lupinowi (swojej najsłynniejszej kreacji) z Holmesem właśnie.

Zaskoczeniem dla współczesnego czytelnika mogą być króciutkie sceny i rozdziały (czasem ledwie parostronicowe), ale to także powrót do źródeł. Do czasów, kiedy rozrywki kryminalne nie zamieniały się jeszcze w opasłe tomiszcza, kiedy liczyło się tempo, niespodziewane zwroty akcji, kunszt podłych intrygantów i lotność umysłu tropiącego ich detektywa. Co ciekawe, tę ostatnią w przypadku Sherlocka autorka tłumaczy jego francuskimi korzeniami rodzinnymi.

Podobnie jak w młodzieżowych opowiastkach o Enoli Holmes u Bonnie MacBird w drugiej połowie książki mocno wybrzmiewa ton krytyki społecznej, rodem z Dickensa. Podobnie jak we współczesnych kobiecych thrillerach psychologicznych widać, że relacje rodzinne zajmują pisarkę bardziej od czysto kryminalnych machinacji. Ostatecznie otrzymujemy jednak bardzo zgrabną podróbkę detektywistycznej prozy w starym stylu. Gdyby książka MacBird była szynką, reklamowano by ją hasłem „Taka jak dawniej". Tyle wokół nas w świecie kultury kopii kiepskich, że warto zwrócić uwagę na tę udaną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Sztuka na potrzeby czasu

Monika Małkowska

Jednym z ubocznych efektów transformacji jest rozmnożenie uczelni prywatnych o profilu artystycznym. Parcie na karierę „plastyka" jest tak silne jak nigdy wcześniej: co roku polskie uczelnie i wydziały sprofilowane na sztuki wizualne opuszcza ok. 2 tys. absolwentów

W dobie PRL było tych szczęśliwców dziesięciokrotnie mniej. A byłoby jeszcze mniej, gdyby nie przywilej związany z ukończeniem studiów artystycznych: nie trzeba ich było odpracowywać. Kiedyś to wydawało się luksusem. Teraz większość postawiona przed wyborem – przymusowy etat po dyplomie czy prekariat – wybrałaby to pierwsze.

TYSIĄCE RĄK

W tej dekadzie armia dyplomowanych absolwentów sztuki powiększyła się o kolejne 20 tys. Nagły a niespodziewany urodzaj talentów plastycznych? Nie, stało się tak z dwóch powodów: braku jakichkolwiek kryteriów kwalifikujących przydatność i uzdolnienia kandydatów na artystów (na większość kierunków przyjmowani są wszyscy chętni, choćby mieli dwie lewe ręce i brak bazowej wiedzy o historii kultury) oraz ogólnego zagubienia młodych, którzy nie bardzo wiedzą, co po maturze ze sobą począć. Ten narybek słabo rokuje. Według wyliczeń na rynku sztuki da sobie radę najwyżej promil tego narybku, zaś do historii przejdzie najwyżej jedna setna promila.

Czy autolans na forach społecznościowych to szansa, by ktokolwiek z autorów promujących się w sieci wszedł do gwiazdorskiego grona? Okazuje się, że wcale nie. Sito jak było, tak pozostaje gęste. Najważniejsza jest bodaj bariera psychologiczna: ludzkość nie potrzebuje zbyt wielu idoli. Ich nadmiar prowadzi do dewaluacji „glorii artis". Przecież tego nie chcemy! A jak wiadomo, historię piszą zwycięzcy. Także historię sztuki. Pozostają w niej jedynie ci, którzy usunęli w cień setki tysięcy konkurentów. To nie przesada. Proszę przeliczyć: przez całe ostatnie millennium do superligi weszło zaledwie kilkudziesięciu, może trochę ponad setka twórców.

Tylko oni figurują w każdym podręczniku historii sztuki, kompendium i encyklopedii. Ich nazwiska znają wszyscy uważający się za jako tako wykształconych. Ten megasukces udał się garstce twórców, podczas gdy inni polegli – za życia lub po śmierci.

eprasa.pl e505c478f7

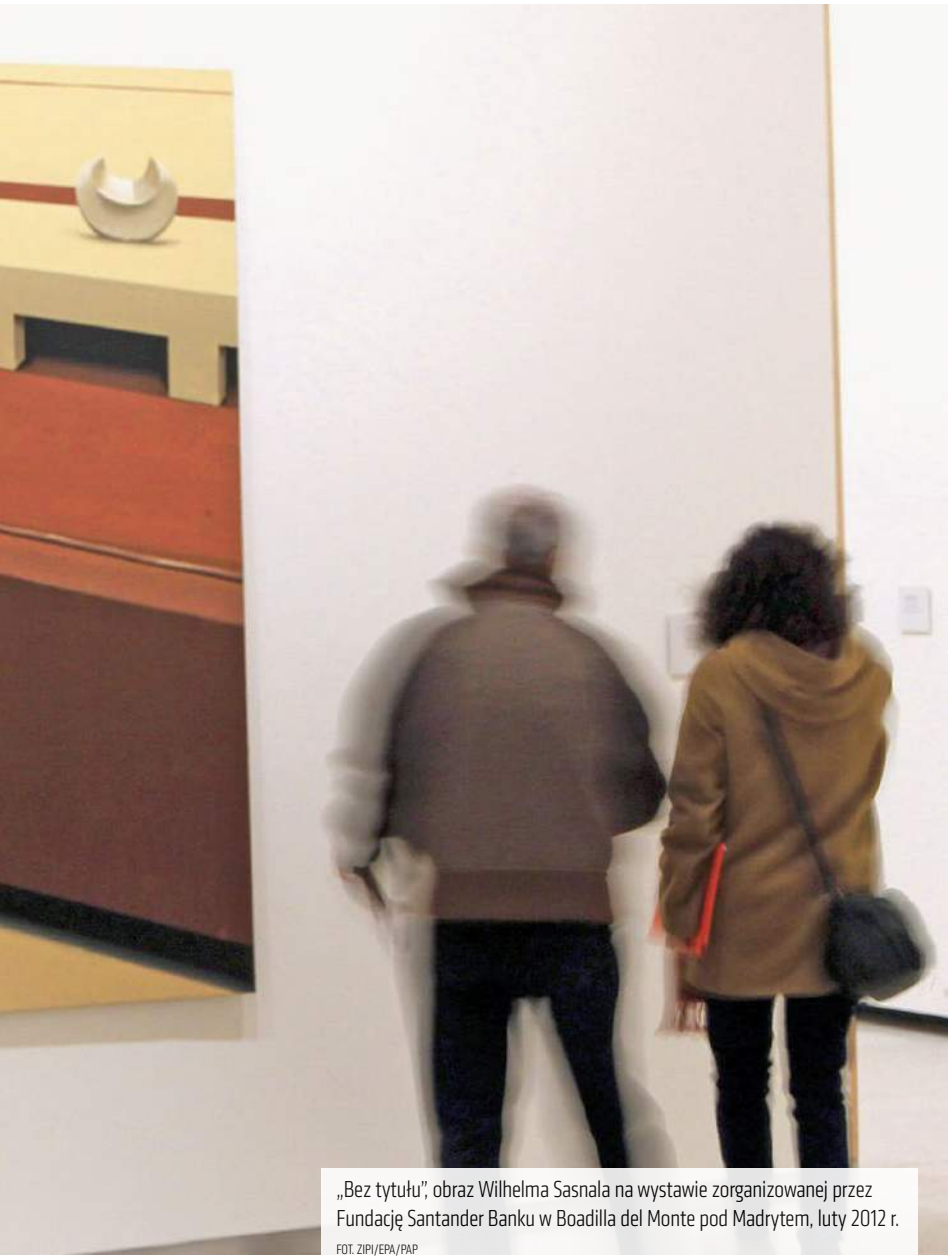

„Bez tytułu", obraz Wilhelma Sasnala na wystawie zorganizowanej przez Fundację Santander Banku w Boadilla del Monte pod Madrytem, luty 2012 r.
FOT. ZIPI/EPA/PAP

Jednak dawniej ci, którzy w stopniu zadowalającym opanowali tajniki warsztatowe i manualną sprawność, mogli dzięki temu utrzymać siebie i rodzinę. Złotnik, malarz czy tkacz mieli zapewniony byt, o ile pokornie wykonywali zlecenia. Gwarancję zarobkowania dawała też przynależność do pracowni słynnego artysty. Mistrz firmował „wyroby" malarskie czy rzeźbiarskie, choć niekoniecznie był ich autorem. Na sławę i wydajność Belliniego, Rubensa, Rembrandta pracowali uczniowie, których nazwisk nikt nigdy nie poznał.

Czy byli mniej utalentowani od mistrzów? Nie sposób rozpoznać ich indywidualnego stylu – ucząc się, musieli podporządkować się szefowi. Bunt groził utratą klientów i zarobków.

Daniele da Volterra, zatrudniony w pracowni Michała Anioła jako jeden z podwykonawców, niespodziewanie zaistniał samodzielnie w historii sztuki z racji… zamalowania genitaliów postaciom na fresku „Sąd Ostateczny". Volterra, posłuszny ustaleniom soboru trydenckiego, przyjął tę robotę miesiąc przed śmiercią swego mistrza. W efekcie po wsze czasy zyskał niechlubny przydomek „majtkarz".

Kto chciałby podobnej sławy?

Z NIEWIELKĄ (LECZ ISTOTNĄ) POMOCĄ PRZYJACIÓŁ

„Prawdziwy talent zawsze się przebije". Trudno o bardziej rozmijające się z rzeczywistością porzekadło. Przeszkód na drodze do sukcesu jest wiele. I większość nie zależy od delikwenta, lecz od czynników zewnętrznych. Można uwzględnić czynnik zwany szczęściem, lecz szczęście też ma kontekst historyczny. Każdy wie, że aby odnieść sukces, trzeba się wstrzelić we właściwe miejsce i czas. Gdybyśmy wiedzieli, ilu geniuszy odpadło z zupełnie niezawinionych przez nich przyczyn, łkalibyśmy nad ich losem jak nad tragedią Janka Muzykanta.

Na pozór żyjemy w czasach, gdy nowoczesne technologie pozwalają zweryfikować talenty bez zewnętrznego wsparcia. Nic bardziej złudnego. Dzisiaj z tych samych powodów co 500 lat temu ktoś zostaje wyniesiony na piedestał, a ktoś inny wykreślony z celebryckiej elity. To tzw. przyczyny obiektywne. Co zadziwiające – zawsze te same.

Zmieniają się czasy, geopolityczne układy i ekonomiczny kontekst, a sukcesami w sztuce rządzą te same mechanizmy.

Zacznijmy od handicapu (lub jego braku) w postaci sytuacji rodzinnej. Nie ma takiej epoki, w której trudna sytuacja materialna nie stanowiłaby przeszkody na drodze do artystycznej kariery, czasem nie do pokonania.

Przeciwieństwem nieszczęsnego bohatera noweli Sienkiewicza była choćby Sofonisba Anguissola (1532–1625), dziecko szczęścia i włoskiego arystokraty, który – co niecodzienne w XVI w.! – wspierał (czytaj: opłacał) intelektualny i artystyczny rozwój córek. Ot, fanaberia tatusia. Kto bogatemu zabroni?

Sofonisba zrobiła karierę dzięki nadzwyczajnemu talentowi, ale bez wsparcia rodziny i układów mogłaby rysować patykiem na piasku, w chwilach wolnych od np. haftowania obrusów.

Przeskoczmy w XIX stulecie. Podobnie jak Sofonisba bezstresowo „marnotrawili" czas przy sztalugach Édward Manet czy Edgar Degas, podczas gdy inni, gorzej urodzeni impresjoniści uwijali się jak mrówki, żeby zarobić na życiowe potrzeby i pasję. Nawet Paul Cézanne, syn bankiera, tkwił po uszy w biedzie, czekając na zejście protoplasty, po którym odziedziczył majątek i prawo do niedochodowego zajęcia, czyli malowania.

Kolejna istotna kwestia: w pojedynkę artysta niewiele może. Musi być wspierany przez wpływowego mecenasa oraz/lub mechanizmy służące nagłośnieniu. Skandal? Czemu nie. Fatalna opinia decydenckich środowisk? Nie szkodzi, byle była upowszechniona. Co jasno wyraził Artur

eprasa.pl e505c478f7

Rubinstein: „Dobrze czy źle, pisz pan Rubinstein, tylko nie pomyl nazwiska".

POP – BROŃ ZIMNEJ WOJNY

Są artyści, którzy – jak się zwykło mówić – wyprzedzają epokę. Doceniają ich i stawiają im pomniki dopiero potomni. Są jednak równie smutne przypadki, gdy twórcy nie zauważają upływu czasu i idą w zaparte z tym, co kiedyś przyniosło im uznanie. Taki Jean-Baptiste Greuze w ciągu 80 lat życia zaznał wielkiej popularności na paryskich salonach, a zmarł w biedzie i samotności. W szczytowym okresie kariery malował ślicznie zasmucone dziewczątka i erotycznie rozmarzone dziewczyny. A nagle klap! Rewolucja francuska, potem dojście do władzy Napoleona przerwały pasmo powodzenia. Całą rokokową stylistykę zaczęto uważać za pretensjonalny i niegustowny wykwit zdegenerowanej arystokracji.

Zmiana estetycznych upodobań często szła w parze z przetasowaniami politycznymi. Koronny przykład to awangarda rosyjska, popierana, i popierająca rewolucję, zaś wyrzucona na śmietnik przez stalinizm. Mniej więcej po półwieczu wygrzebano z wysypiska sztuki szczątki ich dorobku i wyniesiono na pomniki – już nie Międzynarodówki, lecz międzynarodowej awangardy. Analogiczny los spotkał polskich pionierów konstruktywizmu, Władysława Strzemińskiego i Katarzynę Kobro. Tyle że było to z dużym czasowym poślizgiem i w odmiennych okolicznościach przyrody. Jednak polityczny kontekst podobny.

Żeby nie było tylko smutno, przypomnę radosną karierę pop-artu i championów tego kierunku. To oni uczynili Amerykę „wielką" w kategorii kultury wizualnej. Estetyczny przypadek, za którym stali John F. Kennedy i inni polityczni przeciwnicy komunizmu. Dodajmy do tego przetasowania na rynku sztuki (coraz więcej galerii, coraz bardziej wpływowi marszandzi zza wielkiej wody, coraz bogatsi kolekcjonerzy), a otrzymamy światowy boom amerykańskiej sztuki. I ostateczną detronizację Francji, której nawet rok 1968 nie pomógł w odzyskaniu kulturalnej buławy.

WSPARCIE NA ZAPLECZU

Myli się ten, kto sądzi, że współczesna liberalna demokracja (o ile zgodzimy się na ten termin) otworzyła przed twórcami tęczowe perspektywy. Tęcza, owszem, często pojawia się na firmamencie sztuki, lecz w pakiecie z orientacją seksualną, a ta – w aliażu z neoliberalnym światopoglądem.

Jednak związki sztuki z polityką to żadna nowość. Bodaj jedyną nowością jest… hipokryzja. Odbiorcom wtłacza się do głów, że twórczość to domena wolności; że w sztukę nie wolno ingerować, bo grozi to paraliżem kreatywności. I że dopiero we współczesnym świecie możliwa jest całkowita niezawisłość artystów.

Współczesna sztuka doskonale się kamufluje. „Rozpuszcza się" w codzienności, upodabnia do innych twórczych dziedzin, a także do działań całkowicie spoza jej obszaru. Do XX w. sztuka wizualna była takich możliwości pozbawiona. Dopiero ready made i ich pochodne pozwoliły na mimikrę. Ogromnie utrudnia to widzom ocenę zjawisk, dając tym samym przewagę decydentom z art worldu. Ci zaś mają jeszcze najemne wojsko: ludzi mediów.

Jeśli ktoś ma wypromowane nazwisko, to jest asekurowany przez kuratorów, teoretyków i apologetów. Komuś ze statusem gwiazdy nikt nie podskoczy, bo grozi to środowiskowym ostracyzmem. Gdy np. Wilhelm Sasnal namaluje słabiutkie płótno czy zaprezentuje banalną wystawę, nikt nie odważy się powiedzieć tego głośno. Natychmiast uaktywniają się obrońcy tzw. uznanych wartości: przywołany będzie zakup do kolekcji Charlesa Saatchiego, przynależność do „stajni" Fundacji Galerii Foksal i obecność we wszystkich krajowych liczących się zbiorach. Nikt nie sięgnie po argumenty pozamerkantylne – bo duchowy wymiar dzieł czy ich walory estetyczne przegrywają w starciu z wyrokami rynku.

Sasnal to niejedyny artysta, którego kariera opiera się na spektakularnych zakupach. Oczywiście te kwoty robią wrażenie w kontekście polskiego ubóstwa, jednak w zestawieniu z transakcjami zachodnimi to gra w pchełki.

O tym zaś, kto ma u nas wysokie notowania, decydują pospołu kuratorzy i marszandzi, jak również – o czym większość zapomina – publiczne instytucje. To od nich zależą dotacje, granty, zakupy do państwowych zbiorów; to publiczne instytucje z MKiDN i Instytutem Adama Mickiewicza na czele wybierają oficjalnych reprezentantów Polski na międzynarodowe fora i konfrontacje. A kto im doradza? Eksperci, którzy są powiązani wpływami i interesami z rynkiem sztuki. Nieduża grupa, sami swoi. Tym łatwiej o ustalenia. I tym skuteczniej dociera się do mediów, które są niezbędne, by utrwalić pewne nazwiska w powszechnej świadomości.

KARIERA Z TĘCZĄ

Gdy nazwisko staje się marką, płaci się nie za jakość towaru, lecz za podpis.

Tego, kto nie rozumie, dlaczego np. Wojciech Fangor wielkim artystą był, przekonają niedawne aukcyjne rekordy. W grudniu ub.r. zespół pięciu prac tego artysty wylicytowano do 7 mln 11 tys. (polski rekord). Przedtem na polskie szczyty cenowe wspiął się Roman Opałka, którego trzy kompozycje (sprzedane w pakiecie) uzyskały 1 mln 270 tys. dol. Te sukcesy wykorzystują handlarze sztuką – sprzedają byle szkic któregoś z dwóch powyżej wzmiankowanych autorów za kwoty rozmijające się z realną wartością danej pracy.

Ciekawe, do jakich wysokości wzniosą się dzieła zmarłego niecały rok temu Edwarda Dwurnika, na którego schedzie rękę położyła Galeria Raster. To też prestiżowa firma galeryjno-handlowa, z którą współpraca gwarantuje artystom wysoką pozycję na międzynarodowej scenie. Dzisiaj bardziej niż autor liczy się reprezentująca go galeria. Taka potransformacyjna nowość, pochodna wolnego rynku. Jednak nawet siłowe windowanie ceny ma swój „zdrowy rozsądek", czyli reguły rynkowe. Paradoksalnie obowiązuje to w prywatnych galeriach, zaś nie funkcjonuje w galeriach publicznych.

Za przykład może posłużyć konkurs „Spojrzenia", co dwa lata ogłaszany przez Zachętę, z finansowym wsparciem Deutsche Banku (główna nagroda – 60 tys. zł).

Obserwuję to wydarzenie od początku, od 2003 r. Tegoroczna edycja, której ostateczny wynik jak zwykle poprzedzała kilkutygodniowa prezentacja pięciorga finalistów w stołecznej narodowej galerii, skręciła w stronę sekspoprawności. Jedna z finalistek, zdeklarowana lesbijka, zaprezentowała wywiady z leaderami ruchu LGBT+ oraz opublikowała rodzaj manifestu, w którym dała wyraz negatywnym emocjom wobec osób heteroseksualnych. Przypadek „zawłaszczania" przez sztuki wizualne zjawisk z innych obszarów życia, tym razem – publicystyki. Jednak to osobny problem.

Nie sądzę, żeby za rok czy dwa lata ktokolwiek pamiętał nazwisko owej tęczowej damy. Podobnie jak wielu innych, którzy usiłowali nadążyć za potrzebą – czasu. A to nie gwarantuje wpisania się w ponadczasowość.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

MFF TOKIO
GRAND PRIX

MFF WENECJA
NAGRODA LATERNA MAGICA

CEZARY 2019
VINCENT LACOSTE

★★★★★
Nie chowa emocji
Bernadetta Trusewicz /FDB.pl

★★★★★
Uczciwy i z głębi serca
The Guardian

★★★★★
Urzekający i delikatny
Variety

Vincent **LACOSTE** Isaure **MULTRIER** Stacy **MARTIN**

NA ZAWSZE RAZEM

W KINACH

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

STOPKLATKA sens wprost KropkaTV LAVIE AKTIVIST KOBIETA.PL Platform Channel

eprasa.pl e505c478f7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Trzy oblicza zemsty

★★☆☆☆☆

REŻ. ANDREA BERLOFF
„KRÓLOWE ZBRODNI" („THE KITCHEN")
USA 2019

wyst. Melissa McCarthy, Elisabeth Moss, Tiffany Haddish

Jaka przyszłość czeka naszą cywilizację? Przetrwają najsilniejsi. A raczej – najsilniejsze. Ameryka wyrosła na przemocy, więc nic dziwnego, że dziś feministki zza oceanu szukają swych antenatek w kręgach kryminalnych.

Film Andrei Berloff startuje przy dźwiękach „It's A Man's World", żeby nawet największy tłumok zrozumiał, że akcja rozgrywa się w mrocznej epoce patriarchatu. Jest styczeń 1978 r., nowojorską dzielnicą Hell's Kitchen rządzą zakapiory z irlandzkimi korzeniami. Wrodzona tępota nie pozwala im dostrzec, że świat się zmienia. W ich mieszkaniach wciąż wiszą portrety prezydenta Kennedy'ego.

Nadchodzi jednak dzień, w którym damski bokser Rob, domowy tyran Kevin i mięczak Jimmy trafiają do paki. Pomiatane małżonki nie wiedzą, czy się z takiego obrotu spraw cieszyć czy smucić. Na horyzoncie majaczy widmo biedy, zaś niewykształcone kury domowe w wieku balzakowskim szans na znalezienie uczciwej pracy nie mają żadnych. Lepiej już zbierać haracze w zastępstwie leniwych ziomków.

Kathy, Ruby i Claire tak dobrze „troszczą się o dzielnicę", że imponują nawet przemądrzałym rabinom i szefowi włoskiej mafii z Brooklynu. Niestety, męskie szowinistyczne świnie nie potrafią się z nową sytuacją pogodzić. W obronie własnej twarde laski z Przedpiekla muszą przejść do ataku i pobrudzić sobie rączki krwią adwersarzy.

Z tezą, że na bezwarunkową miłość zasługują tylko dzieci, zaś źle rokującego partnera można (a czasem wręcz należy) odstrzelić, zetknęliśmy się już w oscarowym „Chicago". Tutaj została ona doprowadzona do skrajności. Trzy mścicielki bezwzględnością przebijają Ala Capone, nawet ćwiartowanie zwłok im nie straszne. Humor, który początkowo przykrywał mielizny fabuły, znika jak kamfora.

Przemianę ofiary przemocy domowej w zimnokrwistego kata, jakkolwiek mało prawdopodobną, dałoby się jeszcze jakoś przełknąć. Gorzej, że władza i pieniądze źle wpływają na tytułowe królowe. Babska solidarność pęka, zaczyna się jatka. Moralny striptiz bohaterek, w połączeniu z apoteozą zorganizowanej przestępczości i przerysowaniem niemal wszystkich postaci, skutecznie pozbawia ten filmowy manifest „Girl Power" wiarygodności i siły rażenia. Ekranizować komiksy trzeba umieć.

Kobiety mają teraz w Hollywood z górki. W ramach ekspiacji za lata molestowania i lekceważenia, fabryka snów finansuje projekty o charakterze genderowo-terapeutycznym. Na dłuższą metę nikt jednak do interesu dokładał nie będzie. Rok temu okrągłą sumkę zarobiły, oparte na podobnym pomyśle, „Wdowy". Tak się jednak pechowo składa, że wyreżyserował je mężczyzna. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „TO: ROZDZIAŁ 2"

Ciąg dalszy ekranizacji jednej z najgłośniejszych powieści Stephena Kinga. Małoletni mieszkańcy miasteczka Derry (oczywiście w stanie Maine, jak to u mistrza horroru), którzy w roku 1988 stanęli oko w oko z krwiożerczym Pennywisem, teraz są już dorośli. Koszmar z przeszłości jednak powraca, bo rozgrywka nie jest jeszcze skończona. W Derry znów zaczęły znikać dzieci. Pięknie rozrasta się obsada, bo w rolach starszych o 27 lat bohaterów występują m.in. Jessica Chastain, Bill Hader i James McAvoy. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„To: Rozdział 2", reż. Andres Muschietti, wyst. Bill Skarsgård, Finn Wolfhard, Sophia Lillis, USA 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Polityka", reż. Patryk Vega, Polska 2019***
- ***„Sztuka ścigania się w deszczu", reż. Simon Curtis, USA 2019***
- ***„Między morzem a oceanem", reż. Isaki Lacuesta, Hiszpania 2018***
- ***„Kwiaty miłości", reż. David Stubbs, Nowa Zelandia 2019***

eprasa.pl e505c478f7

Zima żywych trupów

Oglądając filmy mrożące krew w żyłach, łatwiej przetrwać kolejną falę upałów. Niestety, „Antologia duchów miasta" tylko udaje horror, w rzeczywistości będąc żałobną elegią na koniec świata peryferii.

Rzecz dzieje się we francuskojęzycznej części Kanady, w miasteczku liczącym 215 mieszkańców (niebawem ta liczba znacząco się zmniejszy). Lokalsi nieufnie traktują obcych. „Tutaj rozwiązujemy nasze problemy sami" – słyszy wścibski przybysz z Montrealu. Rutynę zakłóca śmierć 21-letniego Simona. Z pochówkiem trzeba czekać aż do wiosny, co wzmaga ogólną nerwowość, która bardzo długo wydaje się nieuzasadniona.

Jedni się boją, drudzy na coś czekają. Nawet pani mer, tryskająca urzędowym optymizmem, wierzy w „złą energię". A gdy już kupimy minimalistyczno-egzystencjalną konwencję i zaczynamy godzić się z myślą, że nic więcej się tu nie wydarzy, groza się materializuje. Prowincjusze przyjmują to z całkowitym spokojem, jakby kamień spadł im z serca.

★★★☆☆☆

REŻ. DENIS CÔTÉ
„ANTOLOGIA DUCHÓW MIASTA"
KANADA 2019

wyst. Robert Naylor, Larissa Coriveau, Diana Lavallée

Jak na mój gust Côte po prostu przeholował. Ewentualnie ma duszę satyryka, który dobrze wie, że dowcipy należy opowiadać ze śmiertelnie poważną miną. Końcowa informacja, że film jest swobodną adaptacją debiutanckiej powieści kanadyjskiej pisarki Laurence Olivier, również brzmi jak dobry żart. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NA ULICACH BOSTONU

★★★★★☆

SEZON 1
„MIASTO NA WZGÓRZU"
USA 2019, DYSTR. HBO

wyst. Kevin Bacon, Aldis Hodge, Jonathan Tucker

Kto przegapił, ten niech nadrabia. Serial „Miasto na wzgórzu" oglądać możemy w Polsce dzięki HBO (dostępny też w HBO GO), ale jest to oryginalna produkcja Showtime, sieci znanej z tak udanych seriali jak „Ray Donovan" czy „Homeland". „Miasto na wzgórzu" to rasowy kryminał, którego akcja rozgrywa się w Bostonie lat 90. I który klimatem przypomina powieści Dennisa Lehane'a, których kinowe wersje dostaliśmy dzięki Clintowi Eastwoodowi („Rzeka tajemnic") i Benowi Affleckowi („Gdzie jesteś, Amando?"). W serialu, którego współtwórcą był właśnie Affleck, mamy wszystko, czego oczekujemy od tego typu opowieści: wciągającą intrygę, ładnie nakreślone społeczne tło, element walki politycznej (z nieodłączną biurokracją). Przede wszystkim lśni tu jednak Kevin Bacon jako doświadczony, skorumpowany i uzależniony na wiele sposobów agent FBI. Jego ekranowym partnerem w śledztwie jest wzór cnót wszelakich oddelegowany z prokuratury – dobra rola Aldisa Hodge'a. Sezon drugi już w produkcji.

PAN ZAMA WYCZEKUJE

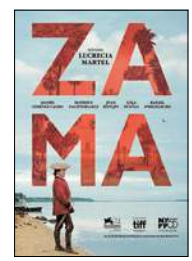

★★★★★☆

REŻ. LUCRECIA MARTEL
„ZAMA"
ARGENTYNA 2017, DYSTR. MONOLITH

wyst. Daniel Giménez Cacho, Lola Dueñas, Matheus Nachtergaele

Samotny mężczyzna wypatruje z brzegu statku, który nie przypływa, i wieści, które nie nadchodzą. Mamy XVIII stulecie. Diego de Zama (świetna rola Daniela Giméneza Cacho) jest urzędnikiem w służbie imperium hiszpańskiego. Na południowoamerykańskiej prowincji czeka na dawno obiecany awans. Promocja nie nadchodzi. Dlaczego? Zama nie jest rdzennym Hiszpanem, urodził się w Ameryce, co nie przeszkadza mu z góry patrzeć na tubylców. Jednak jako „Americano" może być przedmiotem pogardy na dworze w Madrycie. Zama niby szuka sposobu na poprawę swego losu, ale tak naprawdę zaczyna się rozsypywać. Film Lucrecii Martel, jednej z najciekawszych reżyserek argentyńskich, to opowieść trochę jak z Kafki, trochę jak z Borgesa, mnie jednak przypomina twórczość naszego Wojciecha Jerzego Hasa. Ekranizacja klasycznej powieści Antonia Di Benedetto, która ukazała się w Polsce w 1976 r. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „ION FURY"

Druga połowa lat 90. przynajmniej w świecie pecetowych strzelanek stała pod znakiem produkcji studia 3D Realms. Połączenie krwistości, humoru i nieustannej akcji sprawiło, że tytuły takie jak „Duke Nukem 3D" nawet dwie dekady później doczekują się swoich odświeżonych reedycji. „Ion Fury" to gra tych samych twórców, która poszła o krok dalej. Zmieniono fabułę, poprawiono sterowanie, płynność animacji i rozległość map. Niestety gdzieś po drodze między jednym a drugim kosmitą, którego likwidujemy, ratując Ziemię, rodzi się pytanie: Czy ja tego już gdzieś nie widziałem? „Ion Fury" grzeszy wtórnością. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE/Switch*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Voidpoint/3D Realms*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl e505c478f7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Czarna sobota na Woli

Zadziwiająca książka ukazała się nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka. Budzić może skrajne reakcje, od aprobaty do odrzucenia. Oto mamy współczesny kryminał, dziejący się w ciągu niecałych dwóch tygodni na przełomie lat 2016 i 2017 w Warszawie, w atmosferze świąt Bożego Narodzenia, swoimi korzeniami sięgający jednak w przeszłość, do II wojny światowej, a konkretnie do rzezi Woli dokonanej przez Niemców w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. Masakry ponad 40 tys. kobiet, mężczyzn, dzieci – ludności c y w i l n e j. Nie było w dziejach narodu polskiego większej hekatomby. Nie było w latach wojny 1939–1945 w Europie większej jednorazowej eksterminacji c y w i l i.

Cóż jednak tamta masowa zbrodnia ma wspólnego z tajemniczymi morderstwami w warszawskich mieszkaniach dokonanymi po ponad 72 latach?

Jak sprawca współczesnego mordu może być osobiście związany z II wojną światową? Psycholog Iza Rawska, współpracująca z komisarzem Lorenzem z Pałacu Mostowskich, wskazuje, że może to być „jakaś stara historia rodzinna, która odcisnęła na nim piętno. Ludzie doświadczali podczas wojny takich tragedii, których my nie potrafilibyśmy sobie wyobrazić nawet w najbardziej fantastycznych scenariuszach. Niektórzy nie uciekli od wspomnień do końca życia. Być może sprawca wychował się właśnie w takim domu, gdzie tragedia pozostała wiecznie żywa. Takie rzeczy nie pozostają bez wpływu na osobowość. Niby żyje sobie spokojnie jak inni i niczym się nie wyróżnia. Chodzi do szkoły, potem do pracy. Jest kulturalny i uprzejmy. Nikt nie zwraca na niego uwagi. A potem dzieje się coś, co wywraca cały

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jego świat do góry nogami i nagle to wszystko, co chłonął od urodzenia, wybucha z całą mocą”.

A skąd się wziął tytuł powieści „Pchła” – nienasuwający przecież skojarzeń martyrologicznych? A z tego, że w tamtych dniach pogardy człowiek sprowadzony został do roli insekta. „Kiedy widzimy pchłę skaczącą po grzbiecie naszego psa, łapiemy ją w palce i miażdżymy między paznokciami – powiada jedna z postaci powieści Potyry, której dane było przeżyć piekło czy raczej przejść wszystkie jego kręgi. – My wszyscy byliśmy pchłami – mówiła. – Niczym więcej. Ale wie pan, minęło już dość czasu. Rany się zabliźniły, odchodzą ostatni świadkowie tamtych wydarzeń. Życie już dawno wróciło do normy. I dobrze! Proszę mi uwierzyć, że daleka jestem od tego, żeby pielęgnować obraz męczeństwa, szukać winnych, żądać zadośćuczynienia. Nie pora na to. Cieszę się, że dziś ludzie mogą być szczęśliwi, że mogą chodzić ulicami, nie oglądając się ze strachem przez ramię, że mogą spać spokojnie. Tak powinno być. Złości mnie tylko jedno. Brak pokory. Gdyby ludzie choćby przez jeden dzień zaznali tamtego piekła, zrozumieliby, że mają wszystko”.

Trudno uwierzyć, ale z takich słów zbrodniarz, którego poszukują w Warszawie, bo nie tylko na Woli, komisarz Lorenz i profilerka Rawska, wyciągnął najdalej idące wnioski. Oto wystawia swoje ofiary na ostateczną próbę, urządza im ich prywatny Auschwitz. Makabra.

A jak to było w tamte dni, w tamten dzień? „Szybko dowiedziałam się – wspomina ta sama, wiekowa już kobieta – czego doświadczyli mieszkańcy Woli w czarną sobotę. Oczywiście wtedy nikt jeszcze nie znał bilansu tamtego potwornego dnia, ale dziesiątki zasłyszanych relacji składały się na obraz niewyobrażalnego bestialstwa i wszechobecnej śmierci. Niemcy powoli posuwali się naprzód, starannie wypełniając rozkaz Führera, by zburzyć całą Warszawę i wymordować wszystkich jej mieszkańców. Nie istniało prawo wojenne, nie było żadnych świętości. […] wtargnęli nawet do szpitali. Strzelali do lekarzy, sanitariuszek, rannych i chorych, żołnierzy i cywilów, dorosłych i dzieci. Ze Szpitala Wolskiego wyciągnęli i zaprowadzili na egzekucję ponad trzysta osób. Ludzi ze Świętego Łazarza nawet nie prowadzili na miejsce kaźni. Wyciągali ich na dziedziniec i zabijali strzałem w tył głowy. Ci, którzy nie mieli tyle szczęścia, zostali spaleni żywcem wraz z całym szpitalem. Razem zginęło tysiąc dwieście osób […]”.

Podobnych opisów jest w „Pchle” znacznie więcej. I choćby dla nich warto przeczytać tę książkę. Wciąż o rzezi Woli wiemy zadziwiająco wręcz mało. Każda okazja jest dobra, by wiedzę tę szerzyć. Jeśli może do tego posłużyć kryminał, nie mnóżmy obiekcji. I, wbrew cytowanym słowom, żądajmy zadośćuczynienia. Ono należy się tym, którzy polegli w sierpniu 1944 r. na Wolskiej i Górczewskiej. Także tym nielicznym, którzy przeżyli własną śmierć pod zwałami trupów. ©℗

★★★★☆
ANNA POTYRA
„PCHŁA”
ZYSK I S-KA 2018

eprasa.pl e505c478f7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wioska przeklętych

W latach 90. XX w., kiedy zachodni dziennikarze mogli już podróżować po krajach dawnego bloku sowieckiego, szczególnie szerokim echem odbijały się w ich państwach publikacje o codziennym życiu sierocińców oraz zakładów dla umysłowo chorych. „Najlepszy ustrój pod słońcem" pozostawił po sobie ponure dziedzictwo: świat, w którym ze szczególną pogardą i z bezwzględnością traktowano słabych lub chorych.

Przypomniały mi się tamte artykuły podczas lektury książki Yana Lianke „Sen wioski Ding", bo nieoczekiwanie znalazłem się w nowym wymiarze dawnego koszmaru. Lianke wychodzi od wydarzeń prawdziwych, co czyni jego prozę jeszcze bardziej przerażającą. W modernizujących się szybko Chinach przełomu XX i XXI stulecia goniący za dodatkowym groszem wieśniacy znajdują nowe źródło dochodów – sprzedaż krwi. Dzieje się to jednak w chwili, kiedy w Chinach zaczyna się rozprzestrzeniać epidemia wirusa HIV. Nieświadomi zagrożenia ochotnicy za grosze oddają krew, która ma ratować innych, nie wiedząc, że jednocześnie sami infekowani są śmiercionośną chorobą.

Gdy tragedia wychodzi na jaw, władze odwracają się od ofiar. Nic nie może przecież zbrukać idealnego wizerunku chińskiego państwa. Pozostawieni sami sobie mieszkańcy setek wiosek takich jak tytułowa Ding stają w obliczu nieuchronnej śmierci. I radzą sobie z tym wyzwaniem na bardzo różne sposoby.

Wielu recenzentów widziało w powieści Yana Lianke (często zresztą cenzurowanego lub zakazywanego w Chinach) wielką polityczną metaforę, w której pogoń za zyskiem za wszelką cenę kończy się ostateczną destrukcją. Warto spojrzeć na tę niezwykłą powieść szerzej. Tak jak w „Dżumie" Alberta Camusa epidemia była tylko symbolem zła, z którym w swej duszy zmaga się każdy człowiek, tak i choroba w powieści chińskiego pisarza jest probierzem naszego człowieczeństwa. Okrutnych, małostkowych i bezdusznych czyni jeszcze bardziej odrażającymi, innym zaś pozwala odejść z godnością, a nawet z wielką miłością w sercu i nadzieją na lepszy los w zaświatach.

To bolesna, szarpiąca trzewia proza, która zachwyca precyzyjną frazą i poetycką wręcz wrażliwością autora, a jednocześnie brutalnie wyrywa czytelnika ze strefy komfortu, zmuszając go do niewesołych przemyśleń. To pierwsza u nas książka niezwykłego pisarza.

Jak to dobrze, że wkrótce nakładem PIW ukażą się kolejne. ©℗

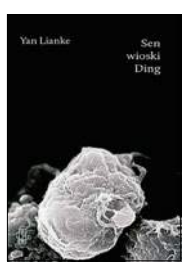

★★★★★☆
YAN LIANKE „SEN WIOSKI DING"
PIW 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Szwedzki dyplomata Wallenberg uratował w okupowanym przez Niemców Budapeszcie tysiące Żydów. Po wejściu Armii Czerwonej został aresztowany i rozstrzelany w niejasnych do dziś okolicznościach. Oto jego historia.

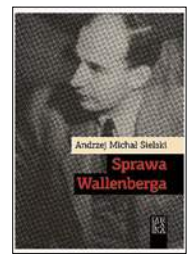

ANDRZEJ MICHAŁ SIELSKI „SPRAWA WALLENBERGA" ARCANA

Zgrabna powieść kryminalna, której akcja rozgrywa się w połowie XIX w. w Edynburgu. Tajemnicę zabójcy, który wziął na cel młode prostytutki, wyjaśniają doktor Simpson oraz jego pomocnicy (w tym energiczna gosposia).

AMBROSE PARRY „I SPRAWISZ, ŻE WRÓCĘ DO PROCHU" ZYSK I S-KA

Kapitalna opowieść o mniej znanych, omijanych przez radiostacje, ale wciąż fascynujących wykonawcach z lat 1968–1976. W złotych latach rocka blaskiem biły także formacje, o których dziś pamiętają jedynie najwięksi fani.

RA'ANAN CHELLED „W BOCZNEJ ULICY" VESPER

Zima 1941 r. nie była ostrzejsza niż zwykle, Włosi nie byli miłymi okupantami, to nieprawda, że Hitler eksterminował homoseksualistów równie zaciekle jak Żydów – francuscy historycy prostują tzw. prawdy obiegowe. ©℗

poleca Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „MITY II WOJNY ŚWIATOWEJ. CZĘŚĆ 2" BELLONA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
2. ***Remigiusz Mróz „Listy zza grobu" (Filia) – pierwszy tom nowej serii poczytnego autora. Główny bohater – patomorfolog Seweryn Zaorski.***
3. ***Blanka Lipińska „Kolejne 365 dni" (Agora) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego produkcji polskiej, wkrótce niestety także film.***
4. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***
5. ***Jo Nesbø „Nóż" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – 12. powieść o Harrym Hole'u, który znów tkwi po uszy w kłopotach, także osobistych.***

(Najchętniej kupowane tytuły na Matras.pl)

eprasa.pl e505c478f7

FOT. YOUTUBE

Będzie głośno

Jej nazwisko warte jest zapamiętania. Sara Kordowska właśnie wygrała organizowany od trzech lat przez Polskie Radio plebiscyt dla debiutantów, w którym nagrodą jest wydanie płyty, nagranie promującego album teledysku i udział w profesjonalnej sesji foto. Jeśli poziom i klimat materiału będzie podobny do tego, z czego Sara dała się do tej pory poznać, to jest na co czekać.

Gdzie mogliśmy ją już słyszeć? Nie ma tego niestety dużo. Trudno oceniać jej potencjał po epizodycznej współpracy z raperami. Jednak już na podstawie piosenki „Dom 2.0", w której Sara wychodzi z tła, jest jej współautorką, można wyrobić sobie zdanie o tej młodej artystce. Sara ma w głosie magnetyzm, jest świeża, czarująca... I dobrze dobiera producentów, którzy – przynajmniej w przypadku „Domu 2.0" i „Cynamonowego challenge'u" – z wyczuciem potrafią zmieszać ten dziewczęcy wokal z nutami.

Chociaż głos Sary jest jej niekwestionowanym atutem, to ona sama ma do sprawy nieco inne podejście. – Bardziej czuję się na pewno pisarką niż muzykiem. Dla mnie tekst to jest fundament, a to, co się dzieje z nim później, to, że robimy z niego utwór, to jest zupełnie inna sprawa – mówiła niedawno na antenie radiowej Czwórki. Sara pisze wiersze, bierze udział w poetyckich slamach, angażuje się w teatr, pracuje z dziećmi... Artystyczna, wrażliwa dusza.

Do plebiscytu „Wydaj płytę z Będzie Głośno" trafiła za sprawą swojej współpracy z raperem Jacobem Flâneurem. Brał on udział w ubiegłorocznej edycji (wygrał ją), a z Sarą w studiu Czwórki wykonywał piosenkę „Dom 2.0" (Sara stworzyła utwór „Dom", kiedy Flâneur go usłyszał, zaproponował dogranie do niego swojej partii, i tak Sara, która zwykle bywała w gościnie, miała pierwszego gościa).

Kolejna edycja konkursu należała już do niej. – Spodobało mi się to miejsce, kiedy miałam okazję tutaj śpiewać – mówiła o radiowym studiu. – Mam swój materiał i chciałabym, żeby świat mógł go usłyszeć, żeby wyszedł spoza tej szufladki – dodawała.

„Zrodził mi się pomysł okrutny, byś przyprawił mnie o dreszcz" – śpiewa w „Cynamonowym challenge'u". Czy przejdą i nas? ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Sezon czas zacząć

Nakłady albumów i singli niespełna 30-letniej Amerykanki przekroczyły 200 mln egzemplarzy. Do tego zdobyła 10 nagród Grammy. Jako pierwsza sprzedała w pierwszym tygodniu cztery kolejne albumy w ponad milionowych nakładach. Zapewne wraz z „Lover" ustanowi nowy rekord. Taylor Swift regularnie znajduje się na listach najbardziej wpływowych osób, najlepiej zarabiających artystek, najsilniejszych kobiet…

Zaczynała jako 14-letnia gwiazda muzyki country. Dzisiaj nagrywa prosty, ale perfekcyjnie wyprodukowany pop o sile masowego rażenia. Nienarzucający się feminizm miesza się z miłosnymi cierpieniami, które tonowane są przez wiarę w nowe uczucie. W jedynej piosence o lekkim posmaku country, modlitewnej „Soon You'll Get Better" (gościnnie Dixie Chicks), pojawia się obowiązkowy Jezus. Na szczęście pomiędzy muzyczną gumą do żucia są utwory o głębszym przesłaniu („Miss Americana & the Heartbreak Prince").

W wywiadzie dla „Vogue'a" Taylor Swift określiła album jako „list do miłości opisujący ją w całej swojej irytującej, namiętnej, ekscytującej, czarującej, przerażającej, tragicznej, cudownej chwale". Taylor, śpiewając o aspektach swej złożonej osobowości, przede wszystkim udowadnia, że wraz z producentem Jackiem Antonoffem tworzy duet wysokiej klasy rzemieślników. I może dlatego „Lover" jest kolorowym albumem mogącym słuchaczy wprowadzić w pogodny, bujający nastrój. ©℗

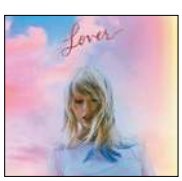

★★★★☆☆

TAYLOR SWIFT
„LOVER"
REPUBLIC

★★★★☆☆

TANYA TUCKER
„WHILE I'M LIVIN'"
FANTASY

Miała 13 lat, gdy w 1972 r. oczarowała świat muzyki country i nigdy go nie porzuciła. Dzisiaj to prawdziwa legenda, a zarazem kobieta po przejściach mocno stojąca na nogach. Prawdziwe emocje i doświadczenia zaśpiewane bez ściemy.

★★★★☆☆

JAZZMEIA HORN
„LOVE AND LIBERATION"
CONCORD

28-letnia, czarnoskóra mieszkanka Nowego Jorku na drugim albumie potwierdza wielki talent. Inspiruje ją zarówno Sarah Vaughan, jak i Erykah Badu, a jednocześnie fenomenalnie śpiewa scatem. Świeży powiew dobrego, starego jazzu wokalnego. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

OTO KSIĄŻKA O ŻOŁNIERZACH Z WESTERPLATTE

Powieść oparta na najnowszych pracach historycznych, odsłaniających dramatyczne i nieznane dotąd szczegóły siedmiodniowej, bohaterskiej obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Gdańsku. Miejsca, gdzie padły strzały rozpoczynające II wojnę światową. Miejsca szczególnego dla wszystkich Polaków – gdzie żołnierz polski pokazał, że honor i godność nie mają ceny, a Niemcy słono zapłacili za swoją butę i pewność siebie.

JACEK KOMUDA

WESTERPLATTE

MIAŁO SIĘ BRONIĆ KILKA GODZIN, A WYTRZYMAŁO SIEDEM DNI!

PATRONI MEDIALNI

eprasa.pl e505c478f7

Niemcy zniewoleni

Cezary Gmyz z Berlina

Niemcy, którzy tak chętnie pouczają innych o standardach demokracji czy wolności słowa, mają z nimi znacznie większy problem niż Polska. Widać to zwłaszcza w świecie mediów

Mathias Döpfner, prezes zarządu koncernu medialnego Axel Springer i jednocześnie przewodniczący Federalnego Związku Wydawców Prasy, ma chyba największą wiedzę o rynku medialnym w Niemczech. Przemawiając na forum dorocznego zjazdu tej organizacji, przyrównał sytuację w Niemczech do sytuacji w… Korei Północnej. – W Internecie nieustannie mamy do czynienia z zalewem bezpłatnych tekstów finansowanych z abonamentowych środków publicznych, które są niczym innym jak tylko finansowaną prasą państwową, co pozostawia nam, wydawnictwom, ograniczone możliwości rozwoju – stwierdził Döpfner. Zdanie to doskonale oddaje istotę problemu. W Niemczech, w odróżnieniu od państwa Kima, nie ma bowiem instytucjonalnej cenzury, jednak potęga mediów publicznych będących w służbie państwa niemieckiego de facto ustanowiła monopol państwowy. Państwo ze zbieranego z żelazną konsekwencją abonamentu zasila media państwowe ogromną kwotą 8 mld euro rocznie. Dla porównania – w Polsce wpływy z abonamentu to niespełna 700 mln zł, czyli ok. 160 mln euro rocznie. I choć sumy, którymi dysponują niemieccy nadawcy komercyjni, są też duże, to w Niemczech jest tak duża przewaga mediów publicznych, że faktycznie istnieje tam monopol informacyjny.

Oczywiście w Niemczech mamy do czynienia z silnym rynkiem prasy prywatnej oraz istnieją nadawcy komercyjni. Jednak ich pozycja w porównaniu z siłą informacyjnego rażenia Polsatu czy TVN jest nieporównywalna. Koncern Springera utrzymuje komercyjną stację N24 i stosunkowo popularny portal welt.de. Jednak w porównaniu z TVN24 czy Onetem ich znaczenie jest o wiele mniejsze. Inna sprawa, że wymienione prywatne niemieckie przedsięwzięcia medialne niezmiernie rzadko bywają krytyczne wobec niemieckich władz. A już z całą pewnością nie da się tego porównać do ofensywy, którą prowadzą polskie prywatne koncerny medialne przeciwko rządowi PiS. Owszem, media zarówno prywatne, jak i publiczne ostro krytykują polityków, ale ta krytyka jest ograniczona wyłącznie do polityków największej w Bundestagu partii opozycyjnej – AfD.

Absolutnie dominującą pozycję na rynku ma kanał informacyjny Phoenix, który utworzyły dwie największe stacje publiczne ARD i ZDF. Podobnie zresztą funkcjonu-

eprasa.pl e505c478f7

je inna publiczna inicjatywa medialna, czyli Deutsche Welle, której jednak głównym zadaniem jest oddziaływanie na zagranicznego odbiorcę. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze bardzo silny kanał informacyjny należący do ARD – tageschau24.de.

RADIO I RADIA

Jest jednak obszar, w którym wszelkie porównania z sytuacją w Polsce biorą w łeb. To rynek radiowy. Trzeba by bowiem sobie wyobrazić Polskę, w której komercyjne stacje radiowe mają prawo do nadawania tylko na terenie pojedynczego województwa. Tak właśnie jest w Niemczech. Jedyną stacją, która nadaje na obszarze całego kraju, jest państwowa Deutschlandfunk. Warto dodać, że w poszczególnych niemieckich landach rynek radiowy, ale również telewizyjny, zdominowany jest przez sieć radiostacji i telewizji publicznych. Dodajmy, że wszystkie te media publiczne dysponują również bardzo silnymi portalami internetowymi, które zabijają inne inicjatywy w sieci, co doprowadziło do szału wspomnianego Döpfnera.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w Niemczech istnieją przecież silne prywatne koncerny prasowe, które również dysponują swoimi portalami – takie jak choćby „Der Spiegel" i „Die Welt". To prawda. Tylko że o ile jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku istniało rozróżnienie na media konserwatywne i lewicowe, o tyle dziś ten podział został unieważniony. Znowu oddajmy głos Döpfnerowi, który niedawno udzielił wywiadu „Neue Zürcher Zeitung". Wspominał czasy, kiedy był jeszcze redaktorem naczelnym dziennika uważanego za najbardziej konserwatywny w Niemczech – „Die Welt". – Kiedy zostałem naczelnym, chciałem się dowiedzieć, jak w rzeczywistości funkcjonuje redakcja. Przeprowadziliśmy tajne głosowanie i okazało się, że absolutną większość naszych pracowników uzyskali czerwono-zieloni – mówił Döpfner. A mowa o wydawnictwie, które w 1968 r. było najbardziej znienawidzonym przez lewackie bojówki niemieckim koncernem. Dzisiaj sytuacja, w której dziennikarz najbardziej lewackiego medium w Niemczech, jakim jest „TAZ", przechodzi do „Die Welt", nie należy do rzadkości.

Nie sposób nie wspomnieć o najpotężniejszej bulwarówce – „Bild". Gerhard Schröder, gdy był kanclerzem, powiedział: „Żeby rządzić, potrzebuję »Bilda« oraz jego niedzielnego wydania, a także telewizji". Kanclerz Angela Merkel ma te wszystkie atuty w ręku. Wdowa po Axelu Springerze – Frieda – należy do jej najbliższego kręgu towarzyskiego, mąż pani kanclerz Joachim Sauer jest zaś członkiem kuratorium Fundacji Friedy Springer. W 2015 r., kiedy Merkel znalazła się w ogniu krytyki na skutek kryzysu uchodźczego, „Bild" z całą siłą stanął po jej stronie, publikując łzawe historyjki o biednych imigrantach.

POGLĄDY DZIENNIKARZY

Hans Mathias Kepplinger, niemiecki badacz mediów, na zlecenie rządowej Centrali Politycznego Kształcenia przeprowadził badania preferencji politycznych wśród dziennikarzy. 36 proc. z nich zdeklarowało się jako wyborcy Zielonych, 25 proc. jako zwolennicy SPD, a zaledwie 11 proc. wsparło CDU/CSU, 6 proc. zaś FDP. Żaden nie opowiedział się za AfD. Przypomnijmy, jak wyglądały wyniki ostatnich wyborów do Bundestagu: CDU/CSU – 32,9 proc., SPD – 20,5 proc., AfD – 12,6 proc., FDP – 10,6 proc., Zieloni – 8,9 proc. To doskonale obrazuje obecny rozziew między poglądami dziennikarzy a społeczeństwem. Lewicowy przechył ludzi mediów to tendencja ogólnoświatowa. W niemieckich mediach jest to jednak gigantyczne i widoczne. Obecni szefowie Zielonych (Annalena Baerbock i Robert

REKLAMA

Prestige MJM REGENT WARSAW HOTEL wprost DO RZECZY WP cgm.pl STRÖER VIXON pap PRESS SERVICE CTV

eprasa.pl e505c478f7

DIE ZEIT

Ist Grün jetzt die Hoffnung?

Wer hat die Macht?

Heikler Rat

Habeck) niemal zamieszkali w programach publicystycznych mediów prywatnych i publicznych, a okładki największych niemieckich gazet, również tych konserwatywnych, wręcz się zazieleniły. Ma to oczywiście wpływ na opinię publiczną. W stosunku do ostatnich wyborów Zieloni zwiększyli sondażowy stan posiadania aż o 16 punktów procentowych i dziś są potencjalnie drugą, a w niektórych sondażach pierwszą siłą polityczną w Niemczech.

PRAWICA JAK OBELGA

Nie da się ukryć, że do niemieckich mediów najbardziej pasuje słowo pochodzenia niemieckiego – są one zglajchszaltowane. Poglądy lewicowe są do tego stopnia wszechobecne, że określanie „konserwatywny", „prawicowy" czy „narodowy" w niemieckiej debacie publicznej stały się obelgami, niemal synonimami „nazizmu" czy „faszyzmu". A poglądy inne niż prezentowane przez medialny mainstream są zwalczane. Były już szef Federalnego Urzędu Konstytucji Hans-Georg Maaßen na skutek nagonki medialnej został zmuszony do rezygnacji ze służby publicznej tylko dlatego, że ośmielił się skrytykować medialny obraz zamieszek w Dreźnie po zamordowaniu przez imigranta mieszkańca tego miasta. Wbrew przekazowi medialnemu utrzymywał, że z informacji podległych mu służb oraz prokuratury wynika, iż nie doszło w Dreźnie do wystąpień na tle rasistowskim. Ostatnio zaś na Twitterze pochwalił szwajcarski „NZZ" za artykuł o tym, że są już w Niemczech miasta, w których liczba ludzi pochodzenia imigranckiego przewyższa liczbę Niemców. „Dla mnie »NZZ« jest czymś w rodzaju zachodniej telewizji" – napisał. Była to dla wszystkich jasna aluzja do sytuacji, kiedy mieszkańcy NRD łapali sygnał telewizyjny z Niemiec Zachodnich, by poznać prawdziwe informacje. To zresztą bardzo ciekawe zjawisko. Coraz więcej Niemców chce bowiem poznać inne opinie od tych oficjalnie obowiązujących w kraju i sięga po prasę np. z Austrii. Austriacki „Der Standard" i szwajcarski „NZZ" uruchomiły nawet specjalne oferty dla rosnącej liczby czytelników z Niemiec.

W Niemczech po prostu pewne poglądy nie są dopuszczalne w debacie publicznej. Jak stwierdził w wywiadzie „NZZ" Döpfner: „Wielu dziennikarzy zachowuje się niedziennikarsko, zamiast dla czytelników piszą dla kolegów". Wyjaśniał w ten sposób np. przypadek Claasa Relotiusa zatrudnionego w „Spieglu", ale piszącego wcześniej dla wielu mediów w Niemczech i Szwajcarii. Młody reporter zrobił niesamowitą karierę i został obsypany najbardziej prestiżowymi nagrodami dziennikarskimi. Jego teksty o Guantánamo, pograniczu amerykańsko-meksykańskim, czy syryjskim chłopcu doskonale wpisywały się w lewicową wizję świata. Tymczasem okazało się, że w znacznej części zostały one zmyślone. Ostatecznie został zdemaskowany i wyrzucony.

Jednak w niemieckich mediach to nie zmyślanie jest głównym problemem, lecz autocenzura. Niewyobrażalne jest, by ktoś napisał krytycznie o środowisku homoseksualnym. No, może z wyłączeniem homoseksualnej pedofilii. Chociaż jeszcze nie tak dawno lewacki „TAZ" propagował legalizację stosunków z małoletnimi, to okazało się to przekroczeniem pewnej granicy nawet dla bardzo liberalnej opinii publicznej w Niemczech.

Tematem tabu jest też kwestia imigrancka. Chociaż trzeba przyznać, że skandal, jakim było przemilczanie masowego molestowania i gwałtów w Kolonii podczas sylwestra, sytuację trochę zmienił. Stosunkowo często pojawiają się więc informacje o arabskich klanach przestępczych. Jednak kiedy imigrant kogoś zarżnie maczetą bądź siekierą, media są już bardziej wstrzemięźliwe. Powołują się na zapis kodeksu prasowego, który mówi, że nie powinno się podawać narodowości czy wyznania sprawcy, jeśli to nie ma nic wspólnego z przestępstwem. Co ciekawe, nie dotyczy to np. polskich złodziei samochodów. Przemilcza się nie tylko to. W najbardziej znanym miejscu w Monachium przed katedrą Najświętszej Marii Panny podpalił się Niemiec. Wszystko wskazuje na to, że był to protest przeciw zaplanowanym w tym miejscu modłom wyznawców islamu, którzy chcieli zaprotestować przeciw zbyt małej liczbie islamskich miejsc modlitwy w tym mieście. Sprawa została skwitowana kilkuzdaniowymi notkami, w których nie było ani słowa o tym, że człowiek ten protestował przeciw islamizacji Niemiec. Ot, wariat i tyle.

BRONIĆ POLSKI

Nie przeszkadza to wszystko Niemcom ustawiać się w roli strażników wolności mediów. Jedną z najbardziej znanych w Polsce organizacji niemieckich są Reporterzy bez Granic. Nazwa oczywiście nawiązuje do słynnej organizacji lekarzy jeżdżących z pomocą do najodleglejszych miejsc świata, by pomagać ofiarom wojen czy klęsk żywiołowych. Jest jednak pewna subtelna różnica. Wśród Reporterów bez Granic nie ma właściwie ani jednego czynnego dziennikarza. Ludzie na co dzień tworzący tę organizację mają mizerne lub wręcz żadne doświadczenie zawodowe, choć zadbano, by w tzw. kuratorium znalazły się znane nazwiska. Nie mają one jednak żadnego wpływu na codzienną pracę tej organizacji. O jej niezależności też ciężko mówić, skoro lwią część jej funduszy stanowi dotacja federalnego Ministerstwa Współpracy Gospodarczej i Rozwoju oraz senatu (czyli rządu) Berlina. To oczywiście nie przeszkadza rzekomym reporterom sporządzać na podstawie nieznanej metodologii rozmaitych rankingów wolności prasy. Polska oczywiście stale w nich dołuje, od kiedy władzę objął PiS. Chociaż podobno ranking sporządzany jest m.in. na podstawie informacji od organizacji dziennikarskich, dziwnym trafem nigdy żadna ankieta nie dotarła do największej i najstarszej organizacji dziennikarskiej, którą jest Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. W identyczny sposób powstają w niemieckich mediach teksty o Polsce. Szukać kogoś, kto powie w nich coś dobrego o obecnej sytuacji w naszym kraju, to mission impossible. Skala zaś manipulacji jest ogromna. Sam dowiedziałem się z „Die Zeit", że wyjazd na placówkę TVP do Berlina był dla mnie olbrzymim skokiem w karierze zawodowej, ponieważ wcześniej prowadziłem program kulinarny. Podobnie z nieznacznymi wyjątkami wygląda pisanie o Polsce. Niby prawda, ale strasznie wybiórczo.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest korespondentem TVP w Berlinie.

eprasa.pl e505c478f7

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Supermoc

Pewien mój znajomy gustuje w hot dogach ze stacji benzynowych. Tak już ma. I pewnego razu wstąpił na taką stację, ustawił się grzecznie w kolejce i czekał.

Okazało się, że amatorów podobnych przysmaków jest znacznie więcej. Czekając cierpliwie na swoją parówkę, zauważył, że pracownik stacji nie żałuje sosów i pompuje je do kolejnych bułek ze szczodrością godną programu „Sos Plus", który pewnie powstanie w czwartej albo piątej kadencji PiS.

Kiedy więc nadeszła jego kolej, kolega złożył zamówienie, po czym ośmielił się wypowiedzieć z grubsza te słowa: „I jeśli można, to poproszę mniej sosu, bo widzę, że pan nie żałuje. Ja bardzo proszę mało".

Na co pracownik stacji podniósł głowę znad bułek i parówek i powiedział tak: „Panie, ja nie mam miarki w oczach i nie wiem, ile to jest mało".

Z wielu rozmaitych supermocy zawsze marzyłem o jednej. I nie była to ogromna siła, możliwość wnikania do czyichś umysłów (nawet umysłu Zbigniewa Hołdysa, choć to niebywała gratka), panowanie nad metalem czy zatrzymywanie czasu. Ze wszystkich supermocy całego uniwersum Marvella pożądałem zawsze tylko umiejętności błyskotliwej reakcji na gburowate zachowanie sprzedawców.

Niestety, mutacja genetyczna mnie ominęła. Owszem, jestem raczej wygadany. Nie tracę języka w gębie w obecności bardzo ładnych kobiet (acz i tak nie zwracają na mnie uwagi), publicystów politycznych (acz oni słuchają jedynie tego, co sami mówią), a nawet czołowych polskich polityków (z wyjątkiem Antoniego Macierewicza – on mnie onieśmiela). Kiedy jednak przychodzi mi zmierzyć się z chamowatym sprzedawcą, nigdy nie wiem, co powiedzieć. Zazwyczaj baranieję, nabzdyczam się urażony, gulgoczę coś bez większego sensu. Po czym umykam w upokorzeniu. A błyskotliwa, miażdżąca riposta przychodzi mi do głowy wiele godzin później. Zazwyczaj w nocy, gdy już leżę w łóżku. W wyobraźni przygważdżam wtedy gbura wymyślonym tekstem, snuję rozmaite scenariusze, a w efekcie ekscytuję się, no i nie mogę zasnąć. Dlatego bardzo nie lubię nieuprzejmej obsługi.

A co to ma wspólnego z moim znajomym i ze stacją benzynową? Ano to, że on ma taką supermoc, o której marzę. Potrafi gasić chamowatych sprzedawców, co prawda tylko na stacjach benzynowych pewnej konkretnej firmy. Jest w niej bowiem dyrektorem odpowiedzialnym za obsługę klienta. Czyli jeżeli na świecie istnieje jedna osoba, której pan od sosów nie powinien źle traktować, to jest nią właśnie mój znajomy.

Z czego płynie wniosek, że wszyscy powinniśmy być dla siebie mili. Przecież przypadkowo spotkany rozmówca może się okazać przebranym Jarosławem Kaczyńskim, który incognito szuka ministrów do następnego rządu. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wiek wojen

Niezależnie od tego, czy uznamy, że druga wojna światowa była jedynie odłożoną w czasie dogrywką pierwszej, czy stanowiła zupełnie wyjątkowe wydarzenie historyczne, oba konflikty zmieniły kompletnie bieg ludzkiej historii. I nie chodzi tu o nieprawdopodobną wręcz liczbę ofiar (moja babcia twierdziła, że ta pierwsza z hiszpanką i widmem głodu była straszniejsza od drugiej, mimo udziału w powstaniu i pobytu w obozie) ani o skokowe przyśpieszenie rozwoju techniki – zasługi zimnej wojny w tym procesie są porównywalne.

Wiek wojen zniweczył dominację Europy, a szerzej – zatrzymał rozwój cywilizacji białego człowieka. W bezsensownych zmaganiach na frontach zakończył żywot etos rycerski budowany od ponad 10 wieków. Wielka wojna zegalitaryzowała społeczeństwa, schamiła je, przewracając istniejący porządek. Kobiety poszły masowo do pracy, szybciej emancypowały się dzieci, utracił swą rolę porządek patriarchalnej rodziny.

Demokratyzacja przy okazji uruchomiała populizm i demagogię, które dzięki mediom zyskały ogromne pole do popisu. Dzięki wielkiej wojnie zrodziły się totalitaryzmy – komunizm i próba odpowiedzi na niego: faszyzm i hitleryzm.

Oczywiście wszystkie procesy, które widzimy – sekularyzacja społeczeństw dobrobytu, uzyskiwanie podmiotowości przez narody Trzeciego Świata – zapewne nadal by zachodziły, ale spokojniej, w sposób cywilizowany. Można wyobrażać sobie świat, gdyby Gawriło Princip nie trafił w Sarajewie w arcyksięcia. Może konflikt rozszedłby się po kościach, pojawiliby się inni przywódcy… Rosji zabrakło dekady, żeby stać się potężną gospodarczo monarchią konstytucyjną. Można sobie wyobrazić demokratyczne Cesarstwo Rosyjskie z 400–500-milionową populacją faktycznie dominujące w świecie. Akurat w tym wariancie los Polaków byłby zdecydowanie gorszy. A Austro-Węgry? Czy po śmierci Franciszka Józefa nie dałoby się ich bardziej sfederalizować? A co z Niemcami? Może uznałyby, że ekspansja ekonomiczna daje lepsze wyniki niż militarna i włączywszy się w federacyjny model c.k. Austrii, podporządkowałyby sobie resztę Zachodu, stając się niekwestionowanym władcą Starego Kontynentu, w dodatku z dwukrotnie większą populacją.

To prawda, program kosmiczny rozwijałby się wolniej, nie doszłoby do tak szybkiej rewolucji cybernetycznej. Więcej, bez dwóch wojen, które naruszyły tradycyjne normy, nawet eksplozja seksualności następowałaby wolniej. Niestety, w historii – w odróżnieniu od nauk ścisłych – nie istnieje możliwość powtórzenia eksperymentu. „Co by było, gdyby" pozostaje wyłączną domeną alterhistorycznych fantastów. Mogłoby też stanowić naukę na przyszłość dla apolityków. Jak jednak powiedział ktoś mądry, historia uczy jednego – że nikogo niczego nie uczy. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

Marek Jurek

Dziennikarze dyscyplinujący partie, będący rzecznikami „ścisłej kontroli nad partią", ignorujący tłumienie opinii publicznej – to fenomen charakterystyczny dla cywilizacji postkomunizmu

Wolność to nie luksus

Spierać się można o słowa i spierać się można o rzeczy. Polemika Ziemkiewicz-Gociek (w „Do Rzeczy" z 29 lipca oraz 5 sierpnia) nie dlatego jest ważna, by rozważać znaczenie luźno rzuconego przez Jarosława Kaczyńskiego konceptu „monowładzy", którego Rafał A. Ziemkiewicz użył jako argumentu ad hominem wobec prezesa PiS. Ważny jest rzeczywisty przedmiot. Czy nasza wolność polityczna jest pewna? Czy nasza demokracja zachowuje cechy republikańskie? Czy opinia publiczna ma jeszcze znaczenie? I tych pytań nie wolno omijać.

Piotr Gociek twierdzi, że wszystko jest w porządku. Prawo i Sprawiedliwość działa zgodnie z naturą demokracji. „Rządy jednej partii to nie »monowładza«, tylko demokratyczna norma. Ścisła kontrola przywódcy nad swoją partią także nie jest niczym niespotykanym". Oczywiście materialnie to racja. Warto jednak uświadomić sobie, co to jest partia, co to jest przywództwo i co to jest demokracja.

PARTIA, PRZYWÓDZTWO, DEMOKRACJA

Demokracja bez opinii publicznej, bez aktywnego życia politycznego i społeczeństwa obywatelskiego łatwo zamienia się w demokrację sterowaną, taką jak w Rosji. Wówczas debatę zastępuje propaganda, a władza łatwo podlega koncentracji. Społeczeństwa posttotalitarne, wskutek odobywatelnienia i pauperyzacji, z zasady łatwo poddają się oligarchicznej władzy. U nas, na szczęście, oligarchia polityczna jest spluralizowana, bo mieliśmy wobec komunizmu silną opozycję. Opinia społeczna jest pasywna, ale na szczęście – jest.

W republikańskiej demokracji silne przywództwo potrzebne jest nie po to, by skuteczniej uprawiać propagandę, ujednolicać opinię, ale by scalać z natury różnolite obozy polityczne. Zróżnicowane nie tylko w sensie póz czy „wrażliwości", lecz także po prostu politycznie. Wszyscy śledzimy losy brexitu. Ciekaw jestem, czy redaktor Gociek zakłada, że Boris Johnson po wyborach – za przeproszeniem, bo to nie mój język – „wytnie" swoich wczorajszych oponentów, z Jeremym Huntem na czele? Z pewnością powinien, Hunt był przecież przeciw brexitowi, po co trzymać go w partii? Boris Johnson nie może ich „nie wpuścić na listy", bo list tam nie ma. Powinien więc „nie wpuścić ich do okręgów". Tego chyba wymagałaby aprobowana przez Piotra Goćka „ścisła kontrola nad partią". Taka jest właśnie norma w Polsce. Jarosław Gowin, który w wyborach partyjnych stawił czoło Donaldowi Tuskowi, szybko znalazł się poza partią. Jarosław Kaczyński w partii w ogóle nie ma oponentów.

Niedługo zacznie się kampania wyborcza w Stanach Zjednoczonych. Trumpowi też można zarzucić brak „poweru". Będąc przywódcą Partii Republikańskiej (prezydent jest liderem swojej partii z urzędu), toleruje w niej ciągle kontrkandydatów z prawyborów,

eprasa.pl e505c478f7

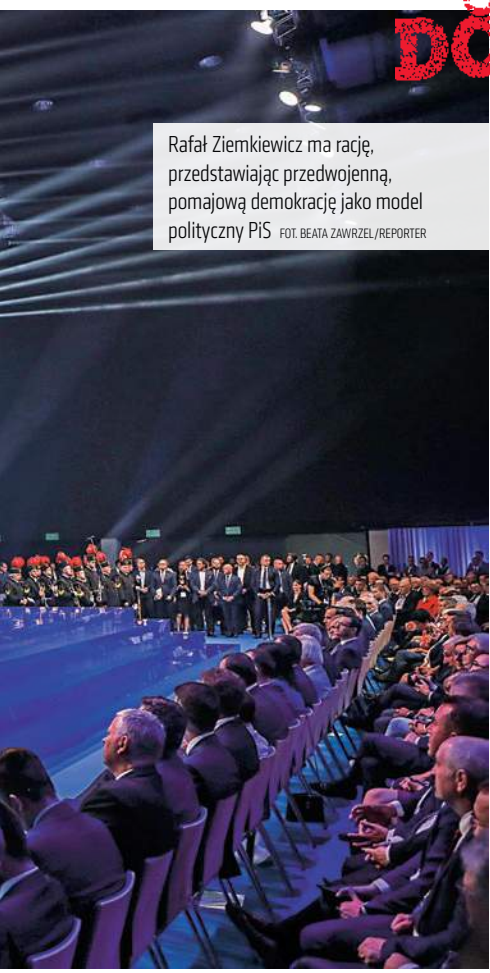

Rafał Ziemkiewicz ma rację, przedstawiając przedwojenną, pomajową demokrację jako model polityczny PiS FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

nie mówiąc o samej instytucji. Bądźmy poważni. Najmocniejsze przywództwo, w krajach o ugruntowanych praktykach republikańskiej demokracji, nie ma nic wspólnego z tyranią moralną, którą liderzy tacy jak Kaczyński lub Tusk sprawują wobec swoich partii.

Rafał Ziemkiewicz ma oczywiście rację, pokazując przedwojenną, pomajową „demokrację sterowaną" jako model polityczny PiS. Model jednak nie jest przedmiotem. Stanisław Cat-Mackiewicz miał rację, gdy pisał, że sanacja to był obóz ludzi, którzy stawiali na Marszałka. Stawiali jednak nie jedynie (a często w ogóle nie) swoje osobiste ambicje, ale swoje polityczne nadzieje. Między Ruchem Narodowo-Państwowym a neokonserwatystami z „Buntu Młodych – Polityki" były fundamentalne różnice geopolityczne. Podobnie jak w polityce społecznej – między lewicą z PPS, dawnej Frakcji, a konserwatystami księcia Janusza Radziwiłła. Wszyscy mieli nadzieję, że nawet jeśli nie w idealnym, to jednak w istotnym stopniu rządy Piłsudskiego ich polityczne ideały przybliżą. Nawet jednak zgadzając się na to, że to Marszałek zdecyduje o stopniu ich realizacji, poglądy te głosili otwarcie, postulowali je, dążyli do ich realizacji. Byli zdolni do nonkonformizmu, tak jak wielokrotny minister prof. Witold Staniewicz, który otwarcie protestował przeciw hańbie brzeskiej, a w proteście przeciw ograniczeniu autonomii uniwersyteckiej złożył mandat. Sanację otaczał duży wieniec prasowych tytułów i legion publicystów (!) postulujących politykę, a nie jedynie ujadających na prawicę narodową i Centrolew. W tym miejscu jakiekolwiek analogie do PiS się kończą.

PROBLEM DZIENNIKARSTWA

Cały ten stan rzeczy Piotr Gociek uzasadnia przede wszystkim „monizmem" wcześniejszej władzy liberalnej. Ma dużo racji. Tusk wielokrotnie demonstrował tyranię moralną wobec swojej partii. Tyranię tym większą, że PO w coraz większym stopniu przeciwstawiała się nie tylko poglądom niektórych posłów, lecz także porządkowi społecznemu jako takiemu: lekceważyła prawo i suwerenność, przyjmując pakt fiskalny, zmuszała posłów do głosowania przeciw prawu do życia, forsowała politykę gender.

Warto jednak widzieć całą rzeczywistość, a nawet jej paradoksy. Jarosław Gowin w gabinecie Tuska wytrwale i skutecznie blokował ratyfikację konwencji stambulskiej. To jedno z jego największych politycznych dokonań. W gabinecie Morawieckiego natomiast konwencję tę szybko zaakceptował, a racje, których wczoraj bronił, zrelatywizował jako „światopoglądowe". Tak to właśnie działa.

Prawdziwą jednak osobliwością jest nie tyle stan życia politycznego, ile niektóre odruchy polskiego dziennikarstwa. Dziennikarze z zasady powinni być rzecznikami poglądów i nonkonformizmu. Dziennikarze dyscyplinujący partie, będący rzecznikami „ścisłej kontroli nad partią", broniący, a przynajmniej ignorujący, tłumienie opinii publicznej – to fenomen charakterystyczny dla (parafrazując Tyrmanda) cywilizacji postkomunizmu.

Tym, co degradację rzeczywistości hamuje, co ład polityczny chroni, są zasady i wzory społeczne, których znaczenie jako kryteriów politycznych powinno gwarantować właśnie dziennikarstwo. Wzory choćby takie jak będąca prawdziwym współczesnym mitem brytyjskiej demokracji historia wewnętrznej opozycji w Partii Konserwatywnej przeciw polityce ustępstw wobec Hitlera. Tej czterdziestki posłów, przeciwstawiających się nie tylko swojemu partyjnemu premierowi, lecz także opinii publicznej, niechcącej przyjąć do wiadomości groźby wojny. Jeden z liderów tej grupy, Ronald Cartland, mówił wtedy: „Wolność każdego obywatela zależy od tego, czy członkowie Izby mają wolność słowa i prawo do niezależnych opinii". Mówił to serio, bo to, że nie była to tylko parlamentarna retoryka, potwierdził zaraz potem zgłoszeniem do wojska i śmiercią na polu walki we Francji.

Może takie standardy demokratyczne warto propagować. Tym bardziej jeśli zajadle zwalczające się partie, tak sprawnie „kontrolowane przez swoich przywódców", potrafią tak zgodnie głosować za traktatem lizbońskim, za postlizbońskimi władzami Unii (we Włoszech to nazywają „koalicja Ursula") albo zgodnie unieważniać wczorajszy spór o genderową konwencję stambulską. Wszystkie te przykłady pokazują, że wolność polityczna to nie kwestia prawa każdego z nas do „własnego zdania", ale warunek realizacji racji stanu, która zawsze może być pogrążona na rzecz wyborczej taktyki „przywódców ściśle kontrolujących swoje partie".

Ogromna rola w promocji i ochronie dobra wspólnego narodu przypada właśnie mediom. To od nich zależy realne funkcjonowanie opinii publicznej. Parafrazując bowiem mjr. Cartlanda, można powiedzieć, że „wolność każdego obywatela (i bezpieczeństwo kraju) zależy od tego, czy dziennikarzy będą cokolwiek obchodzić niezależne opinie polityków", czy będzie ich w ogóle obchodzić cokolwiek oprócz fascynującej gry o tron wyborczych warlordów.

Obumieranie opinii publicznej jest zagrożeniem dla państwa, bo już Arystoteles wiedział, że oligarchia służy przede wszystkim własnym interesom. Jest również zagrożeniem dla partii, a nawet dla jej liderów. Jarosław Kaczyński jest wybitnym przywódcą, który zbudował wielką i (jak na polskie warunki) trwałą partię. Najbardziej jednak szkodzą mu najbardziej zapaleni zwolennicy, owi polityczni i medialni „żołnierze", powtarzający lub milcząco zakładający, że „Prezes ma zawsze rację". Racja stanu jest bowiem niezależna od opinii każdego z nas, nawet od prezesów. Definiować ją codziennie musimy wszyscy. I wszyscy musimy walczyć o to, by była polityką państwa. Biada narodom, w których nawet dziennikarze rację stanu sprowadzają do gry partyjnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym posłem, byłym europosłem, politykiem Prawicy Rzeczypospolitej.

eprasa.pl e505c478f7

Z prof. Markiem Kornatem, historykiem Polskiej Akademii Nauk
rozmawia Marcin Makowski

Ukrywanie planów sowieckiego ciosu w plecy

eprasa.pl e505c478f7

Podpisanie paktu Ribbentrop-Mołotow, 23 sierpnia 1939 r. FOT. HEINRICH HOFFMANN/ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

MARCIN MAKOWSKI: „To jest oszałamiający cios. Kurs całej światowej polityki uległ nagłej zmianie" – zanotował w swoim dzienniku 23 sierpnia 1939 r. rumuński pisarz Mihail Sebastian. Czy podobnie na sojusz niemiecko-sowiecki zareagowali polscy politycy i dyplomaci? Czy rozumieli jego wagę i konsekwencje?

PROF. MAREK KORNAT: Niestety, spod pióra i z ust żadnego z naszych dyplomatów nie wypłynęła podobna myśl. Powiem więcej – kierownictwo polskiej polityki zagranicznej starało się bagatelizować znaczenie paktu Hitler-Stalin. Uważano, że jest to porozumienie, które służy wyłącznie ułatwieniu Niemcom operacji wywołania wojny.

A Rosjanie nie będą jej aktorami?

Tak jest. Sądzono, że zachowają neutralność zbrojną do momentu, w którym państwa kapitalistyczne będą na tyle wymęczone konfliktem, że Związek Sowiecki wkroczy do wojny, zadając ostatni cios i niszcząc przy okazji ład wersalski. Uważano również, że dla Stalina układ podpisany z III Rzeszą jest głównie gwarancją zachowania stanu posiadania i nieuczestniczenia w wojnie, a nie polem do dalszej ekspansji terytorialnej. Głębszej refleksji po wydarzeniach sierpniowych u elity politycznej II Rzeczypospolitej właściwie nie było. Zresztą nie było na to czasu. Od podpisania paktu Hitler-Stalin do niemieckiej napaści na Polskę minął tylko tydzień.

Niemniej ambasador w Londynie Edward Raczyński już 22 sierpnia ostrzegał MSZ, że Ribbentrop i Mołotow zawarli dodatkowy, tajny układ, na mocy którego „Łotwa, Estonia i Finlandia wchodzą w sferę interesów sowieckich". Czy coś z tą informacją zrobiono?

Nie wyciągnięto z niej żadnych wniosków, a przynajmniej takich, które znalazłyby odbicie w źródłach dyplomatycznych i aktach MSZ. To dziwne, bo telegram ambasadora Raczyńskiego, o którym pan wspomniał, choć w niepełnym wymiarze, wskazywał, że Rosjanie mają apetyt na coś więcej niż tylko patrzenie, jak Hitler atakuje Polskę.

W jaki sposób Raczyński dotarł do tych informacji?

To do tej pory niejasne, bo treść depeszy sugerowała, że mógł je otrzymać od brytyjskiego Foreign Office. Użył zwrotu „źródło oficjalne", a nie z „korpusu dyplomatycznego". Moim zdaniem Londyn nie dotarł jednak na własną rękę do precyzyjnych ustaleń tajnego protokołu paktu, który został podpisany następnego dnia. Proszę jednak zauważyć, że „przecieki" Raczyńskiego nie mówiły też nic o podziale Polski między III Rzeszę a Związek Sowiecki.

Dlaczego w takim razie przemilczano najważniejsze dla nas ostrzeżenie, zapowiedź czwartego rozbioru Rzeczypospolitej?

To Francuzi dysponowali najprecyzyjniejszymi informacjami o tajnym protokole, pozyskanymi z dwóch źródeł. Na marginesie dodajmy, że ambasada Francji w Moskwie działała dużo lepiej niż brytyjska – w każdym razie tak było, jeśli chodzi o jakość analiz polityki Sowietów. Ambasadorzy francuscy w Berlinie (Robert Coulondre) i Moskwie (Paul-Émile Naggiar) donieśli bowiem do Paryża, że dokona się wielki przewrót w geopolityce Europy Wschodniej. Już 21 sierpnia francuski minister spraw zagranicznych Georges Bonnet dostał raport ambasadora w stolicy ZSRS, że nastąpi „podział Polski i Rumunii" oraz zabór państw bałtyckich. Francuzi mieli również swoje wiadomości w otoczeniu szefa Kancelarii Rzeszy w Berlinie Hansa Lammersa. To nasuwa podejrzenie, że Niemcy sami mogli się zdecydować na przeciek kontrolowany, aby pogłębić defetyzm u Francuzów. Zależało im przecież na tym, aby Francja zachowała się biernie. Pyta pan, dlaczego z tą wiedzą nic nie zrobiono w Paryżu? Powód jest banalny i brutalny jednocześnie: sądzono, że gdyby Polska się dowiedziała, załamałaby się moralnie i psychologicznie, a przez to straciłaby wolę walki. Rozumiejąc brak perspektyw zwycięstwa w wojnie na dwa fronty, armia znalazłaby się w kryzysie, a to oznaczałoby klęskę II Rzeczypospolitej wcześniej, niż zakładano w Londynie i Paryżu.

Czyli zamiast wywiązać się z traktatów, sojusznicy chcieli kupić naszym kosztem więcej czasu na przygotowanie się do własnej obrony?

Wszystkie fakty, które są nam w tej chwili znane, przemawiają za postawieniem takiej tezy. Skoro już 21 sierpnia z Moskwy do Paryża napływa telegram z zarysem ugody niemiecko-sowieckiej w kontekście Polski, a po jej podpisaniu dodatkowe szczegóły dostarczono z ambasady w Berlinie, każda godzina milczenia była skutkiem świadomej decyzji. To stawia pod znakiem zapytania – jeszcze przed wybuchem wojny – całą aliancką wiarygodność. Kalkulacje Francuzów, że dłuższa kampania w Polsce da czas mocarstwom alianckim na dozbrojenie się, były rzeczywistością.

Nie posiadano jednak żadnego skutecznego planu ofensywnego wystąpienia przeciw Niemcom, wierzono w skuteczność Linii Maginota. Francja nie mogła też pozwolić sobie na „prewencyjną" okupację Belgii, bo nastąpiłoby pogwałcenie neutralności tego kraju. W każdym razie głównodowodzący armii francuskiej gen. Gamelin zakładał, że byłoby optymalne, aby Polacy walczyli mniej więcej przez pół roku przeciw Niemcom.

Był chyba jeszcze jeden moment, w którym Francuzi mogli nas ostrzec. 31 sierpnia, w ostatnich godzinach pokoju, ambasador Juliusz Łukasiewicz rozmawiał z ministrem Bonnetem, szukając potwierdzenia informacji Raczyńskiego o przesądzeniu losu Bałtów w dodatkowym protokole paktu Hitler-Stalin.

eprasa.pl e505c478f7

I również wtedy, z pełną świadomością konsekwencji, nasz sojusznik nie zdobył się na wspomnienie choćby słowem, że Związek Sowiecki zamierza uderzyć na Rzeczpospolitą. To przemyślana taktyka Francuzów, a nie efekt pomyłki czy niewiedzy. Po rozmowie, o której pan mówi, Łukasiewicz poinformował Warszawę w szyfrowym telegramie o wyniku rozmów, choć jego raport był niezwykle lakoniczny. Pamiętajmy, że to były gorące chwile, w których trwały desperackie i ostatnie próby ocalenia pokoju. W ostatnich godzinach pokoju polskie MSZ dowiedziało się zatem, że „w razie wojny polsko-niemieckiej Sowiety mają podobno zająć Łotwę, Estonię i Finlandię. W obu informacjach nie było żadnych wiadomości co do nas lub Rumunii".

Jest jeszcze jedna strona, która według naszej aktualnej wiedzy archiwalnej „wiedziała, ale nie powiedziała". Ambasador Łukasiewicz potwierdził wersję o inwazji na państwa bałtyckie u swojego amerykańskiego odpowiednika w Paryżu Williama Bullitta, ale on również milczał o rozbiorze Polski.

Tak. Łukasiewicz nazywał Bullitta „naszym przyjacielem". A trzeba dodać, że Stany miały pierwszorzędne informacje niezdobyte bynajmniej drogą wywiadowczą, ale poprzez dyplomację. O wszystkim decydował przypadek. Jak obecnie wiadomo, dyplomata niemiecki w Moskwie Hans von Herwarth, kierujący się poglądami antynazistowskimi, dopuszczając się zdrady stanu, przekazał tajemnicę o tajnym protokole swemu amerykańskiemu koledze Charlesowi Bohlenowi, który służył jako chargé d'affaires w Moskwie. Ten sprawił, że ambasador USA w Moskwie Laurence Steinhardt posłał do Waszyngtonu stosowny telegram już 24 sierpnia, a więc niecałą dobę po zawarciu paktu. Departament Stanu nie podjął jednak żadnych kroków, aby wiedzą tą podzielić się z Polakami. To zagadkowe posunięcie, ponieważ USA teoretycznie nie miały ku temu powodu. Ameryka była wtedy mocarstwem neutralnym, więc można było sobie wyobrazić, że w jej interesie powinno być działanie nieskrępowane europejskim teatrem wojennym. Jednak polityka amerykańska, przynajmniej od roku 1938 – czyli od konferencji w Monachium i nocy kryształowej w Niemczech – coraz bardziej utożsamiała się z Francją i Wielką Brytanią, tak politycznie, jak i moralnie. Jest jednak jeszcze jeden fakt dość smutny.

Jaki?

Polski ambasador w Moskwie Wacław Grzybowski zapytał wprost Laurence'e Steinhardta, czy według wiedzy Amerykanów pakt Ribbentrop-Mołotow coś znaczy i jak widzi go opinia amerykańska. Steinhardt w odpowiedzi ograniczył się jedynie do stwierdzenia, że to coś, co wywołało „głęboki wstręt".

Nazwijmy to po imieniu: zataił kluczową dla Polski informację.

Nie powiedział prawdy w całości. Znamy jego słowa z listu Grzybowskiego do ministra Becka z 29 sierpnia 1939 r. To pokazuje niesłychanie szczelną, międzynarodową taktykę izolowania rządu polskiego od wiedzy o skali katastrofy, która zawisła nad nami.

Można zatem powiedzieć, że Polska w 1939 r. była podwójnie zdradzona – dyplomatycznie i militarnie?

Niezależnie od słów, jakich tu użyjemy, wygląda to niezmiernie niekorzystnie. Jak sądzę, wszystko zostało podporządkowane tezie, że należy zostawić rzeczy swojemu biegowi: niech Polska walczy, licząc, że od wschodu nic jej nie zaatakuje, i wówczas zobaczy się co dalej. To moim zdaniem jedyna racjonalna teoria, za pomocą której da się objaśnić ówczesne zachowanie dyplomacji mocarstw Zachodu. Co ciekawe, prawdopodobnie oprócz wspomnianych już państw o detalach protokołu do paktu Hitler-Stalin wiedziały również Włochy Mussoliniego. Wspomniany już Hans von Herwarth informował ambasadę włoską w Moskwie (na jej czele stał wybitny dyplomata Augusto Rosso) o tajnych rozmowach niemiecko-sowieckich, a w ich konsekwencji o rozbiorze Polski. Kalkulował on, że rząd w Rzymie, dowiedziawszy się o tajnym pakcie niemiecko-sowieckim, wystąpi z nową inicjatywą pokojową, a II wojna światowa zostanie udaremniona w podobnym stylu, jak to się stało w roku 1938, a więc na drodze „drugiego Monachium". Cztery mocarstwa uchwaliłyby zabór Gdańska i Pomorza przez Niemcy. Bez konfliktu zbrojnego.

Czy to był realny scenariusz?

Oczywiście, że nie. Polska nigdy nie oddałaby tych terytoriów bez walki, przecież decyzja o odrzuceniu żądań niemieckich w sprawie eksterytorialnej autostrady i cesji Gdańska zapadła w Warszawie w styczniu 1939 r. Tu mówię teraz jednak o wyobrażeniach i kalkulacjach zagranicznych dyplomatów. Wracając do Włochów, trzeba powiedzieć, że zamiast rozegrać sprawę po swojemu, nie zachowali w dyskrecji. Dotarło to do Niemców i dlatego Herwarth, w obawie przed dekonspiracją, zerwał kontakt z ambasadą Italii w Moskwie. W międzyczasie, co jest wysoce prawdopodobne, również Stolica Apostolska mogła zostać wprowadzona w tematykę zapisów tajnego protokołu do traktatu niemiecko-sowieckiego. Na potwierdzenie tego tropu będziemy musieli poczekać do momentu zadeklarowanego przez papieża Franciszka otwarcia archiwów watykańskich dla historyków za okres pontyfikatu Piusa XII w przyszłym roku.

Pora zadać kluczowe w tym kontekście pytanie: Czy gdyby polska dyplomacja wiedziała dokładnie, jaki los czeka nas 1, a potem 17 września, Polska mogłaby skuteczniej przygotować się do wojny?

Nie sądzę. Uniknąć jej nie było można – to oczywiste. Pod koniec sierpnia pewnych tendencji w myśleniu polskich polityków i generalicji nie dało się już odwrócić. Sądzono, że informacje o zbliżeniu Berlina z Moskwą są celowo produkowane jako element wojny psychologicznej, aby zastraszyć Polskę i sparaliżować jej zdolność do walki. Tak diagnozowali pogłoski o zbliżeniu Hitler-Stalin polscy przywódcy: Beck i marszałek Śmigły-Rydz. Zastanawiam się oczywiście, co można było zrobić lepiej, gdyby polskie kierownictwo państwowe wiedziało o nieuchronnie zbliżającym się sowieckim ciosie w plecy. Można było uniknąć pewnych decyzji, choćby takich jak znany apel płk. Umiastowskiego z Naczelnego Dowództwa, wzywający przez radio do relokacji młodych mężczyzn z ziem Polski centralnej i zachodniej na Kresy Wschodnie, aby tam oczekiwać na wezwanie mobilizacyjne. Może należało – przewidując wystąpienie drugiego nieprzyjaciela ze wschodu – zaplanować przeniesienie rządu z Warszawy do Lwowa, jak doradzał Beck. Uniknięto by tej wędrówki ku rumuńskiemu „przedmościu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Marek Kornat – historyk, sowietolog, kierownik Katedry Historii Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.

eprasa.pl e505c478f7

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Brytyjska pułapka

Ależ to jest kapitalna książka! Konserwatywny brytyjski pisarz i dziennikarz Peter Hitchens zajął się jednym z najbardziej pasjonujących tematów dotyczących II wojny światowej. Czyli jej genezą. Skomplikowaną polityczną grą, która doprowadziła do tego, że konflikt zbrojny rozpoczął się akurat 1 września 1939 r., a pierwszą ofiarą Hitlera padła Polska.

Hitchens – podobnie jak polscy realiści – nie ma wątpliwości, że stało się tak na skutek intrygi Wielkiej Brytanii. To Londyn, udzielając nam 31 marca 1939 r. swoich wiarołomnych gwarancji, skierował furię Hitlera na Wschód. Chodziło oczywiście o zyskanie na czasie. Atak Niemiec na Polskę odsuwał bowiem o kilka bezcennych miesięcy atak na Zachód. I dawał Anglii czas na przygotowanie się do konfrontacji.

Drugim celem udzielenia Polsce gwarancji było uniemożliwienie sojuszu między Warszawą a Berlinem. A trzecim celem – uwikłanie Hitlera w długotrwały, wyczerpujący konflikt na wschodzie Europy, ale oczywiście nie z Polską. Już w 1939 r. Wielka Brytania liczyła bowiem na to, że w przyszłości uda jej się wciągnąć do koalicji antyniemieckiej Związek Sowiecki.

„Widać było jak na dłoni, że gwarancje te skierowane są wyłącznie przeciw Niemcom, zostały zaś tak przebiegle sformułowane, że nie dotyczyły sytuacji zaistniałej, gdy Polskę najechali również Rosjanie – pisze Hitchens. – Było to celowe i świetnie przemyślane. Chodziło bowiem o zachowanie furtki umożliwiającej nawiązanie w przyszłości porozumienia ze Stalinem. […] Wojska radzieckie znalazły się teraz znacznie bliżej Berlina niż przed wybuchem wojny. Tak oto wyłaniał się z mroku zarys przyszłego porozumienia ze Stalinem. W ostatecznym rozrachunku Polskę można było poświęcić na ołtarzu dalekosiężnych interesów Anglii i Francji. Lecz ZSRR nadal pozostawał potencjalnym sojusznikiem. A zatem nie wolno go było poważnie urazić, bo uniemożliwiłoby to w przyszłości nawiązanie przymierza. Niewskazane byłoby bodaj tylko symboliczne potępienie Moskwy za inwazję na Polskę, nie wspominając już o wypowiadaniu jej z tego powodu wojny".

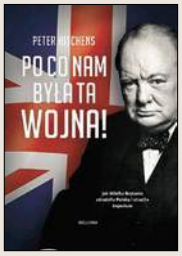

★★★★★★

PETER HITCHENS
„PO CO NAM BYŁA TA WOJNA?"
BELLONA

Książka Petera Hitchensa rozwiewa naiwne iluzje, w które nadal wierzy spora część polskiego społeczeństwa. To nie Polska wciągnęła Wielką Brytanię do wojny. Było dokładnie odwrotnie. I już w 1939 r. Brytyjczycy przygotowywali grunt pod Jałtę. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Hrabina Cosel Antczaka

Oglądając filmy i seriale historyczne z czasów PRL, można dostrzec, że na ich realizację przeznaczano znacznie większe środki niż na „Koronę królów". Nie żałowano na scenografię, na tłumy statystów, a w głównych rolach i epizodach występowali najlepsi polscy aktorzy, nawet tacy, którzy nie przepadali za filmami historycznymi.

Niektórzy krytycy uważali, że reżyser nie miał prawa zatrudniać żony

Jednym z najkrótszych polskich seriali historycznych była „Hrabina Cosel" w reżyserii Jerzego Antczaka (premiera kinowa 6 września 1969 r.). Reżyserowi udało się uzyskać zgodę na kręcenie na terenie pałacu w Łańcucie, a sporo ujęć powstało na zamku w Książu na Dolnym Śląsku, którego pomieszczenia doprowadzono do porządku siłami ekipy filmowej. Nie obyło się jednak bez problemów, a jednym z najważniejszych był odtwórca roli Augusta II – Marcin Dmochowski. Ten ogromny mężczyzna (blisko 2 m wzrostu) bał się bowiem koni, a scenariusz przewidywał kilka scen z udziałem wierzchowców. Reżyser namówił go na kilka lekcji jazdy konnej, co nie przyniosło efektów. Chociaż na planie dostał bardzo łagodnego wierzchowca, nie potrafił nad nim zapanować i jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zdenerwowany aktor kategorycznie odmówił dalszych zdjęć, wobec czego postanowiono filmować, posadziwszy go na beczkowozie. Skoncentrowano się wyłącznie na zbliżeniach, a resztę miał załatwić dubler. Jednak członkowie ekipy postanowili zrobić dowcip Dmochowskiemu oraz Antczakowi i rano podstawili na plan nie beczkowóz na wodę, ale beczkę asenizacyjną, do tego w ogóle nieumytą. Gdy zirytowany aktor odmówił pracy, dopiero wówczas dowcipnisie przyholowali właściwy beczkowóz, dzięki czemu zdjęcia mogły być kontynuowane.

Problemów nie było natomiast z Danielem Olbrychskim (król Szwecji, Karol XII), który sceny z własnym udziałem sam wyreżyserował i zagrał efektowną scenę upadku z konia podczas musztry żołnierzy…

Innym problemem Antczaka był udział jego żony, Jadwigi Barańskiej. Niektórzy krytycy uważali, że reżyser nie miał prawa zatrudniać żony, a Zygmunt Kałużyński podawał w wątpliwość nawet urodę Barańskiej, twierdząc, że oryginalna hrabina Cosel była znacznie ładniejsza. Widzom jednak kreacja Barańskiej się podobała, aktorka dostała też zaszczytne wyróżnienie, na festiwalu filmowym w Phnom Penh w Kambodży przyznano jej Złotego Aspara za najlepszą rolę kobiecą. Niestety, nagroda nigdy nie trafiła do Barańskiej, gdyż w Kambodży wybuchła rewolucja i nikt nie miał już głowy do spraw filmowych. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

Piotr Semka
z Bukaresztu

Jak Niemiec z Rumunem

Koloniści z Niemiec i ich potomkowie żyją na terenie dzisiejszej Rumunii od blisko 900 lat. Dziś z tej znaczącej przez wieki wspólnoty pozostała resztka. Jej losy próbuje opowiedzieć wystawa w Narodowym Muzeum Historii w Bukareszcie

Niemiecki ród, siedmiogrodzka baranica i romantyczna fryzura – portret wojewody hr. Johannesa Sachsa von Hartenecka (1664–1703) z 1887 r.

REPROD. PIOTR SEMKA

Bukareszt – stolicę Rumunii – zostawiłem sobie na sam koniec mojej wyprawy po niegdysiejszym państwie komunistycznego wodza Nicolae Ceaușescu. Droga do rumuńskiej stolicy wiodła przez najstarsze miasta Siedmiogrodu – Kluż, Sybin, Sighișoarę i wreszcie Braszów. Wszystkie te miasta, szczególnie trzy ostatnie, wyglądają dziś jak miasteczka żywcem przeniesione ze średniowiecznej Saksonii. Wielkie gotyckie fary zamienione na protestanckie zbory, kamieniczki i rynki przypominające Morawy czy górnicze miasta na Słowacji i umieszczane na równi z rumuńskimi niemieckie nazwy na tablicach wjazdowych do miasta.

Kluż to Klausenburg, Sybin to Hermannstadt, Sighișoara to Schäßburg, a Braszów to Kronstadt. Pod tymi nazwami znali je często nasi dziadowie, odwiedzając je jako miejskie centra Transylwanii. Większość Niemców na terenie dzisiejszej Rumunii (choć nie wszyscy, jak pokaże to dalsza część tekstu) to bowiem potomkowie saskich kolonistów, których osiedlali tu królowie Węgier, a potem Habsburgowie, do 1918 r. władający tymi ziemiami. I o nich opowiada wystawa „Europejskie doświadczenie – historyczne i kulturalne dziedzictwo Niemców w Rumunii".

KOLONIŚCI W KRAJU DRACULI

Ta epopeja zaczęła się wraz z saskimi wojownikami – najemnikami w drużynach królów z dynastii Arpadów i ich wodzów zasiedlających siedmiogrodzkie połoniny. Uważano ich za doskonałych wojowników i chętnie kaperowano na wyprawy wojenne. Pamiątką po nich na bukareszteńskiej wystawie są zachowane tarcze pomalowane w biało-czerwone pasy – symbol Arpadów – i ich doskonałe kusze, których siła potrafiła zwalić wroga z konia. Władcy węgierscy musieli potem zagospodarować zdobyte ziemie i przywilejami zachęcali do osiedlania się niemieckich speców od wydobywania kruszców oraz innych fachowców – młynarzy, architektów, złotników i wreszcie kupców. Przywileje były kuszące. Sasi zakładali własne miasta, podlegali własnym sądom, w ich miastach nie wolno było bez ich zgody osiedlać się ani Węgrom, ani Rumunom.

Szybko zresztą w Siedmiogrodzie wyłoniła się sztywna hierarchia etniczna.

Węgrzy stanowili arystokrację i kastę przywódczą. Wywodzący się z plemion Pieczyngów i Połowców – tzw. Szeklerzy – byli osadzani na wschodnich kresach Transylwanii jako bitni osadnicy graniczni mający zatrzymywać ataki tureckie. Niemcy tworzyli mieszczaństwo, kastę rzemieślników i kupców. A na samym dole były masy chłopskie ludności rumuńskiej, która aż do połowy XIX w., oprócz kleru, prawie nie posiadała elit. Na tę społeczność cieniem położyła się od XVI w. władza Turków, choć nie bezpośrednia, tylko poprzez system hołdów lennych.

Na wystawie oglądam długi ciąg starych tureckich dywanów. Sascy kupcy sprowadzali je z imperium Osmanów. W „czarnym kościele" w Braszowie oglądałem podobne kobierce, którymi dekorowano ściany świątyni. Bogobojni handlarze podarowali je pastorom jako wotum za szczęśliwy powrót z wypraw handlowych do krajów Orientu.

Siedmiogrodzcy Sasi bogacili się jako pośrednicy między Wschodem a Zachodem,

eprasa.pl e505c478f7

„Przybycie niemieckich kolonistów do Banatu" – obraz Stefana Jägera z 1905 r. REPROD. PIOTR SEMKA

ale swoje dzieci wysyłali na studia do uniwersytetów niemieckich. I nic dziwnego, że powracający stamtąd studenci przynosili ze sobą religijne nowinki Marcina Lutra. Jego rewolucję kościelną wprowadził siedmiogrodzki reformator Johannes Honterus (1498–1549) – multitalent w wielu dziedzinach humanistycznych. Pochylam się nad pożółkłą księgą Honterusa z 1542 r. „Rudimenta cosmographica" z mapami ówczesnej Europy. To był jak na swoje czasy bestseller – doczekał się 39 edycji w drukarniach nie tylko rodzinnego Braszowa, lecz także Zurychu, Pragi, Kolonii, Antwerpii, Bazylei i Rostoku.

Surowy luteranizm przetrwał w tym odległym zakątku Europy w starodawnej, sztywnej formie aż do lat międzywojennych XX w. Oglądam w szklanej witrynie kruczoczarną togę małomiasteczkowego pastora ozdobioną drogimi srebrnymi zapinkami. Noszona była jeszcze w latach 30. zeszłego wieku.

Obok mieszczan w Siedmiogrodzie istniały też niemieckojęzyczne wioski saskich osadników. Ich szafy z posagiem ozdobione kwietnymi wzorami łączyły wzory folkloru rumuńskiego z motywami przywiezionymi wieki temu z odległej Saksonii.

Od przełomu wieków XVII i XVIII Austria odbija te tereny spod wpływów Turcji. Austriacka władczyni Maria Teresa zasiedla zdobyte na Turcji południowo-zachodnie terytoria Banatu i północny Szatmar nowymi kolonistami z Niemiec. Jak na katolicką władczynię przystało, nie są to już wyznawcy Lutra, ale katolicy ze Szwabii i znad Renu oraz znad Mozeli. Na wystawie przybywa kolorów. To już nie oszczędna stylistyka luteranów, ale barwne, kapiące od złota rokoko. Kontrreformacyjne obrazy świętych, figury maryjne w dość średniowiecznym stylu i pełne dostojeństwa obrazy arcybiskupów Timişoary czy Oradei. A tuż obok troskliwie przechowywane indygenaty szlacheckie z godłem Marii Teresy. Ten świat niewiele zmieniał się aż do zeszłego wieku. Na ręcznie wyszywanej makatce do kuchni z 1930 r. czytamy niemiecką bogobojną sentencję: „Czego ludzie potrzebują w życiu, wie tylko sam Bóg. Nigdy nie wolno wpadać w niezadowolenie".

EX TRANSSILVANIA LUX

U schyłku XVII w. kończy się epoka akrobatycznego lawirowania Sasów siedmiogrodzkich między Węgrami a Turkami. Prowincja pod władzą Habsburga Józefa II zostaje poddana metodycznej kontroli administracji. Wraz z nią wkracza duch oświecenia i ożywienia naukowego w XIX w. Na ścianie muzeum widać poczet niemieckich sław nauki w Siedmiogrodzie – historyka Karla Edera (1761–1810) i pedagoga Stephana Ludwiga Rotha (1796–1849).

Oto Samuel von Brukenthal (1721–1803) – habsburski gubernator Wielkiego Księstwa Siedmiogrodu, osobisty doradca Marii Teresy, który stworzył w Sybinie muzeum założone na podstawie jego zbiorów prywatnych, otwarte dla publiczności już w 1817 r. A obok portret młodego mężczyzny z burzą kędzierzawych włosów i kruczo-czarnymi wąsami pędzla Roberta Wellmana. To szlachcic Johannes Sachs von Harteneck (1664–1703) ubrany w siedmiogrodzką baranicę. Hrabia najpierw dosłużył się wysokich funkcji z łaski cesarza Leopolda I, by potem wszcząć bunt Sasów przeciw wysokim podatkom. Ścięty 3 grudnia 1703 r. na rynku w Sybinie stał się w XIX w. romantycznym bohaterem transylwańskich Niemców. Na portrecie z 1911 r. hrabia Gustaw Thälmann każe namalować siebie w węgierskim kontuszu. To już stateczna epoka Franza Josefa.

Autorzy wystawy omijają delikatny temat – podziału w kwestii rewolucji węgierskiej z lat 1848–1849. Jedni tak jak saski dziennikarz Anton Kurz (1799–1849), zaciągnęli się do armii wolnych Węgrów. Kurz został nawet adiutantem naszego gen. Józefa Bema, który walczył w Siedmiogrodzie. Inni Sasi woleli zachować lojalność wobec Wiednia.

Na koniec wystawy duża gablota o boomie ekonomicznym Niemców siedmiogrodzkich na przełomie wieków XIX i XX. W 1918 r. upada z hukiem cesarstwo Austro-Węgier. Alianci przyznają Siedmiogród królestwu Rumunii. W mieście Mediaş zbiera się w 1919 r. Centralna Rada Sasów i uroczyście uznaje związek Transylwanii z Rumunią. Ta rocznica jest zresztą powodem bukareszteńskiej wystawy. Według spisu z 1930 r. w państwie rumuńskim żyło 700 tys. Niemców. Tę społeczność po 1933 r. zaczynają glajchszaltować wysłannicy NSDAP z Berlina. Po 1940 r. Rumunia zostaje wasalem Berlina. Jedynym reprezentantem Niemców staje

Malowane meble Sasów transylwańskich FOT. PIOTR SEMKA

eprasa.pl e505c478f7

Szyld hotelu pod Trębaczem w Timisoarze, XIX w. FOT. PIOTR SEMKA

się Deutsche Partei in Rumänien – po rumuńsku GEGR (Grupul Etnic German din România) – realizująca posłusznie cele polityczne III Rzeszy.

Jedyną ilustracją tamtej epoki na wystawie jest – oprócz pliku niemieckich gazet siedmiogrodzkich – szereg międzywojennych portretów. Jeden z nich przedstawia Hansa Ottona Rotha (1890–1953) i ani słowa o tym, kim był. Jedynie z Wikipedii dowiaduję się, że był to luterański polityk broniący podmiotowości organizacji Sasów przed NSDAP. Zasłynął wśród Rumunów żądaniem, aby syn służył w armii rumuńskiej, a nie jak inni sascy poborowi w Waffen SS.

Z wystawy nie dowiemy się o tym okresie zbyt wiele. Tymczasem większość Niemców rumuńskich uległa nazizmowi. Nieliczni, tacy jak Hans Otto Roth, stawiali opór. W rezultacie gdy w sierpniu 1944 r. Królestwo Rumunii przeszło na stronę aliantów, większość młodych Niemców rumuńskich wycofała się na Zachód z Wehrmachtem, a ci, którzy nie zdążyli uciec, byli zsyłani przez Sowietów do kopalń Donbasu lub na Syberię.

Mimo to w 1956 r. rumuński spis powszechny wciąż odnotowywał 384 tys. Niemców, których przerabiano na wzorowych obywateli socjalistycznej Rumunii. W 1977 r., według kolejnego spisu, było ich jeszcze 359 tys., ale szybko liczba ta zaczęła spadać. Reżim Ceaușescu, rozpaczliwie poszukując dewiz dla zatrzymania gospodarczego kryzysu kraju, zaczął sprzedawać swoich Niemców republice w Bonn, inkasując sowite sumy w markach. W rezultacie, po upadku komunizmu, w 1992 r. zostało już tylko 119 tys. Niemców. Skoro jednak tylko otwarto granice, kolejne 60 tys. wyjechało do RFN. Symbolem tego exodusu na wystawie są bilet lotniczy rumuńskich linii Tarom i klapa drewnianej skrzyni imigrantki wyjeżdżającej do Norymbergi.

Dzisiaj w Rumunii żyje już tylko ok. 36 tys. Niemców. Głównie starszych ludzi, którzy nie mieli siły na wyjazd do RFN.

Dyplom szlachecki wydany przez Marię Teresę niemieckiemu mieszczaninowi z Braszowa, 10 października 1779 r. FOT. PIOTR SEMKA

WIOSKI DUCHÓW

Tekst na stronie muzeum głosi, że „dyskurs wystawowy ma obejmować świadectwa współczesnej historii dotyczące deportacji dokonanych na podstawie kryteriów etnicznych w Rumunii w latach 1944–1945, wygnania Niemców z Rumunii, a wreszcie prezentacji działalności kulturalnej i zaangażowania współczesnej społeczności niemieckiej w Rumunii we współczesne społeczeństwo". Cały ten passus nijak ma się do wystawy. Temat epoki 1933–1945 niemal przemilczano, tak samo jak przyczyny deportacji Niemców rumuńskich z lat 1944–1945. Przybysz z Azji, nieznający dziejów regionu, może się zdziwić, że tak nagle zniknęła po ostatniej wojnie ponad połowa dynamicznej grupy etnicznej. O tym, że była to cena masowego poparcia nazizmu, nie dowiemy się z wystawy.

Nie przykładajmy jednak do relacji rumuńsko-niemieckich polskiej miary. Rumuni postrzegali i postrzegają powojenne deportacje Niemców jak narzucony wynik polityki Sowietów. Niemcy w czasie wojny nie wyrządzili Rumunom jakichś wielkich krzywd. O tym, że sito deportacyjne nie było zbyt gęste, świadczy fakt, że ponad połowa Niemców – ok. 380 tys. osób – jednak została. Trzeba było nędzy i terroru epoki Ceaușescu, by większość z nich uchwyciła się szansy wyjazdu z krainy, do której ich przodkowie przybyli przed ośmioma wiekami. Pozostały ślady ich kultury. A odrestaurowane saskie miasteczka przyciągają wielu turystów. Nie wszystko da się jednak odpicować.

W czasie powrotu z Bukaresztu do Sighișoary mijam niegdyś saskie wioski, w których większość chałup niszczeje po wyjeździe niemieckich gospodarzy do RFN. Takie miejsca nazywane są „Geisterdörfer" (wioski duchów). Częściowo tylko zasiedlają je Cyganie, ale z niemiecką przeszłością wsi nie ma to już wiele wspólnego.

Dzisiaj tylko obecny rumuński prezydent Klaus Iohannis, z pochodzenia Sas z Sybinu, wybrany w 2014 r., przypomina o germańskim wkładzie w dzieje ziem, które dziś tworzą Rumunię. Tyle że jego rodzice i siostra Krista wyemigrowali do Bawarii i mieszkają w regionie Würzburga. Taki jest tu klimat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Symbole emigracji: paszport w jedną stronę, bilet linii Tarom i wieko skrzyni z mieniem przesiedleńczym FOT. PIOTR SEMKA

Wystawa „Europejskie doświadczenie – historyczne i kulturalne dziedzictwo Niemców w Rumunii" w Narodowym Muzeum Historii w Bukareszcie eksponowana była do 1 września br.

eprasa.pl e505c478f7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100% polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl e505c478f7

Efemeryczny zaborca

Zdzisław Krasnodębski

To nie Prusy okazały się silne, ale Polska. Polska odrodziła się po 123 latach zaborów, przetrwała II wojnę światową i komunizm. A Prusy były mocarstwem pozornym

W ostatnim czasie przypomnieli o sobie Hohenzollernowie. Występujący w imieniu rodziny Jerzy Fryderyk książę Prus, prawnuk ostatniego cesarza Niemiec, rozpoczął prawne starania o odzyskanie części dóbr rodziny, w tym wielu obiektów znajdujących się w Muzeum Historycznym w Berlinie – mebli, książek, dokumentów itd. Hohenzollernowie chcieliby także uzyskać prawo zamieszkania w pałacu Cecilienhof w Berlinie, ewentualnie w dwóch innych pałacach, mieć wpływ na przyszłe muzeum Hohenzollernów, a tym samym – jak donoszą oburzone media – sprawować pieczę nad częścią niemieckiej pamięci historycznej. Niemcy to jednak nie Polska, w której każdy prezydent większego miasta jest przekonany, że ma prawo uprawiać własną politykę historyczną. Roszczenia te wywołały negatywną reakcję społeczną. Ich spełnienie zależy od stwierdzenia, w jakim stopniu Hohenzollernowie wspierali narodowych socjalistów, gdyż to prawnie dyskwalifikuje ubieganie się

eprasa.pl e505c478f7

„Proklamacja II Rzeszy" autorstwa Antona von Wernera. Obraz zamówiony przez pruską rodzinę królewską na 70. urodziny kanclerza Bismarcka

FOT. WIKIPEDIA

o majątek skonfiskowany kiedyś przez Sowietów.

Przy okazji tej sprawy powróciła dyskusja o odpowiedzialności elit niemieckich, w tym szczególnie arystokracji pruskiej, za dojście Hitlera do władzy i wybuch II wojny światowej. Prusy zostały rozwiązane w lutym 1947 r. przez Sojuszniczą Radę Kontroli Niemiec z uzasadnieniem, że były one zawsze nośnikiem reakcji i militaryzmu niemieckiego. Nevile Henderson, ambasador brytyjski w III Rzeszy, interpretował hitleryzm jako wyraz ducha pruskiego: „Co prawda bardzo nieliczni wśród teraźniejszych przywódców Partii Narodowo-Socjalistycznej są Prusakami z pochodzenia, ale ideologia pruska, a przede wszystkim pruskie metody postępowania zajmują w dzisiejszych Niemczech miejsce nie mniej poczesne niż w latach 1870 lub 1917". Tę złowieszczą rolę Prus tłumaczył ich „niedostatecznie niemieckim" charakterem. W jakim stopniu na wojujące prusactwo złożyły się: domieszka krwi słowiańskiej, surowy klimat północno-wschodni Niemiec lub też militaryzm narzucony przez niemożliwe do obrony stare granice wschodnie – pozostaje kwestią otwartą. W każdym razie dostrzegał w Prusakach „odrębny i wyraźny typ Europejczyka" ze skłonnością do sadyzmu, wynikającą z owej domieszki krwi słowiańskiej.

PRUSKA LEGENDA

Dzisiaj dawni Prusacy roztopili się w społeczeństwie niemieckim. Zostały nazwy i nazwiska. Także nowa przewodnicząca Komisji Europejskiej nosi nazwisko szlachty pruskiej, ale zostało ono nadane mieszczańskiej rodzinie jej męża dopiero w XIX w. Mimo podejmowanych od czasu do czasu prób nic na razie nie zapowiada pruskiego renesansu. Niemcy doskonale sobie bez nich radzą. Wprawdzie w latach 70. w NRD przypominano sobie o Prusach i pomnik Fryderyka II wrócił wtedy na aleję Unter den Linden, wprawdzie rok 2001 został w związku z 300-leciem koronacji Fryderyka I ogłoszony w Republice Federalnej „Rokiem Pruskim", ale nie przyczyniło się to do trwałego odrodzenia zainteresowania Prusami. Ówczesny pomysł, by Berlin i Brandenburgię połączyć w jeden land i nadać mu nazwę Prus, nie zdał testu opinii publicznej i został – przynajmniej na razie – zarzucony. Być może jednak odbudowa zamku Hohenzollernów w Berlinie ożywi zainteresowanie Prusami i wzmocni tendencje do ich „rehabilitacji".

Nie tylko bowiem w Niemczech, lecz także w Polsce żywa jest legenda potężnego, porządnego, dobrze rządzonego, szanującego praworządność, choć dla Polaków złowrogiego i opresyjnego, państwa, z którym musiała przegrać bezsilna, bezwładna, anarchiczna Polska. Mit ten obecny jest w Wielkopolsce, mimo dumy Wielkopolan z sukcesów w konkurencji gospodarczej w zaborze pruskim, z powstania wielkopolskiego i pamięci o represjach hitlerowskich. Zamek cesarski w Poznaniu, choć powinien być traktowany jako symbol przemocy i kolonizacji, pokazywany jest z pewną dumą. A jedna z partii politycznych, znana z uległości w stosunku do naszego zachodniego sąsiada, której wielu znaczących działaczy pochodziło regionów Polski wchodzących niegdyś w skład zaboru pruskiego, bywała nie bez racji nazywana prześmiewczo „partią pruską".

Osąd historii jest zupełnie inny niż ta legenda. To nie Prusy okazały się silne, ale Polska. Polska odrodziła się po 123 latach zaborów, przetrwała II wojnę światową i komunizm. Okazała się, można rzec, niezniszczalna. Natomiast Prusy były – co dzisiaj wiemy – tworem efemerycznym, mocarstwem krótkotrwałym i w gruncie rzeczy pozornym. Królestwo Prus istniało tylko od 1701 do 1919 r. A gdy Fryderyk I koronował się na „króla w Prusach", śmiano się z tego tytułu w całej Europie. Żadną miarą nie mógł się równać rangą, powagą z wielowiekowym tytułem króla Polski, której lennem były Prusy Książęce, jak wiemy, aż do roku 1667. Podobnie zresztą z dystansem należy traktować przydomek „wielki" nadany elektorowi Fryderykowi Wilhelmowi, który stworzył podwaliny pruskiej potęgi. Sebastian Haffner pisał w swym słynnym eseju „Prusy bez legendy", że „tytuł elektorski nie miał nigdy wielkiego znaczenia. Wielki Elektor brzmiało jak »wielki karzeł«".

Co do siły militarnej Prus, to ona także początkowo była nikła. Jeszcze w latach 1641–1642 wojsko brandenburskie liczyło 3 tys. żołnierzy, w czasie szwedzkiego potopu – 25 tys. Dla porównania gdy Jan Sobieski wybierał się z odsieczą pod Wiedeń, sejm uchwalił utworzenie 48-tysięcznej armii. Dopiero za czasów Fryderyka Wilhelma I armia pruska osiągnęła liczbę 100 tys., kosztem gospodarczej eksploatacji mieszkańców i ich nędzy. Jednak już w 1806 r., dekadę po III rozbiorze Polski, rzekomo potężna armia pruska została całkowicie rozgromiona przez Napoleona.

POKONANE I SKOMPROMITOWANE

Schyłek Prus rozpoczął się już po zjednoczeniu w 1871 r., jak twierdził m.in. Sebastian Haffner: „Wraz z proklamacją cesarstwa w Wersalu 18 stycznia 1871 roku, dokładnie w 170 lat od koronacji w Królewcu pierwszego króla pruskiego, rozpoczęła się powolna agonia Prus". Już jednak przedtem Prusy parę razy znajdowały się na granicy unicestwienia. „Dzieje nie znają narodu, którego droga

eprasa.pl e505c478f7

ułożyłaby się bardziej tragicznie – pisał dramatycznie Oswald Spengler w eseju »Duch pruski i socjalizm«. – Wszyscy inni walczą podczas wielkich kryzysów o zwycięstwo lub przegraną: my zawsze walczyliśmy o zwycięstwo lub zagładę". Wielokrotnie Prusom sprzyjało szczęście – w wojnie siedmioletniej uratowała je śmierć carycy Elżbiety, w czasie wojen napoleońskich niezdecydowanie Napoleona, a potem jego klęska. Dopiero w 1945 r. szczęście ich ostatecznie opuściło. Jednak przestroga Bismarcka z 1866 r.: „Jeśli potęga Prus zostanie złamana, Niemcy zapewne podzielą los Polski", okazała się fałszywa. Niemcy zostały wprawdzie po 1945 r. podzielone, ale dzisiaj, po zjednoczeniu, już bez Prus są dominującym państwem w Europie. Być może właśnie dlatego, że pozbyły się tego balastu. Szukając analogii historycznej, można twierdzić, że Unia przypomina dzisiaj coraz bardziej „Kaiserreich", a hegemonia Niemiec w Unii hegemonię Prus w Związku Północnoniemieckim, a potem w cesarstwie.

Prusy nie tylko zniknęły z mapy Europy, lecz także zniknęły pokonane moralnie, skompromitowane, i to nieporównanie bardziej, niż skompromitowana była, jak twierdziła propaganda zaborców, swoją „anarchią", niemocą i pasywnością Rzeczpospolita. Wielu krytyków Prus, np. Hugo Ball, a nieco później Hannah Arendt, wskazywali na pruską deifikację państwa i obowiązek wobec niego, co znalazło swój wyraz także w filozofii niemieckiej. Ball w eseju „Prusy a Kant" stwierdził bez ogródek: „Kant z pruskiego knutowania uczynił metafizykę". Warto zauważyć, że obecnie wyraźna jest tendencja odwrotna – hitleryzm przedstawia się jako odejście od oświeconego racjonalizmu pruskiego i skutek zarażenia Niemiec bakcylem antysemityzmu przywleczonym ze wschodniej części Europy Środkowej. Pojawiają się również postulaty, by powrócić do Bismarcka w polityce zagranicznej. Przed paru laty jeden z czołowych niemieckich politologów postulował, by w niemieckiej myśli i strategii politycznej było „mniej Habermasa, a więcej Bismarcka".

Także Haffner zachwycał się Prusami z epoki Fryderyka II jako państwem racjonalnym, pozbawionym nacjonalizmu, najnowocześniejszym w swej epoce, prawdziwym dzieckiem oświecenia. Żałował, że dały się rozpuścić w Niemczech, że uległy romantyzmowi i nacjonalizmowi. Była to więc teza zupełnie odwrotna wobec często głoszonej także przez polskich historyków tezy o nieszczęsnym „sprusaczeniu Niemiec".

SZTUCZNY TWÓR, A NIE NARÓD

Haffner, budując nową legendę Prus, zwalczał legendę ich historycznego przeznaczenia, którą miało być zjednoczenie Niemiec oraz – jak chciał Leopold von Ranke – stworzenie mocarstwa „kontynentalnego protestantyzmu", realizującego w inny sposób to, czego w dziejach światowych chciała dokonać Szwecja, od Gustawa Adolfa do Karola XII. W przeciwieństwie do historyków XIX w., takich jak von Ranke, Haffner podkreślał przypadkowość historii: „Prusy wcale nie musiały powstać, świat mógłby się obejść bez nich. Swój chwilowy sukces zawdzięczały przypadkowemu zbiegowi okoliczności". Tym bardziej zaskakujące było to, że dokonały zjednoczenia Niemiec, zostały „twórcą cesarstwa" – „w kategoriach historycznych była to myśl fantastyczna, równie fantastyczna jak ta, że Luter zostałby papieżem" – pisał Haffner.

Prusy były małym, peryferyjnym, nadmiernie agresywnym, uzbrojonym po zęby państwem, któremu sprzyjał los

Można oczywiście powiedzieć, że nie ma w ogóle narodów niezbędnych, ale Prusy były wyjątkowo mało niezbędne, co okazało się po ich zniknięciu. Skądinąd tak jak krótkotrwały wzlot Prus ku chwilowej potędze nie był niczym przesądzonym, tak upadek Rzeczypospolitej nie miał w sobie nic z konieczności. Bez Mątw, bez Targowicy, zmiany układu geopolitycznego w Europie itd., przy trochę większej dozie szczęścia Rzeczpospolita mogła przetrwać. Polska była olbrzymem, który nie ocknął się w porę, Prusy małym peryferyjnym, nadmiernie asertywnym, uzbrojonym po zęby państwem, któremu los sprzyjał.

Nie przetrwały, gdyż – w przeciwieństwie do Polski – były tworem sztucznym, a Prusacy nie byli narodem. Leopold von Ranke przyznawał w swojej „Preussische Geschichte": „Marchia Brandenburska i Pruskie Państwo Zakonne nie powstały autochtonicznie z dawna osiadłych plemion etnicznych", ale czynił z tego atut: „zawdzięczają one swoje powstanie dominacji narodu niemieckiego i idei zachodniego chrześcijaństwa w XII i XIII wieku". Dzisiaj wiemy, że o narodzie niemieckim w wiekach XII i XIII nie może być mowy, a Christopher Clark zauważa w swej książce „Rise and Fall of Prussia": „Metternichowi przypisuje się powiedzenie, że Włochy są tylko »pojęciem geograficznym«. O Brandenburgii nie można nawet tego powiedzieć". Tylko więź państwowa, ich państwowa idolatria scalała Prusaków. Jak stwierdzał Haffner: „Nie istniała narodowość pruska, nie było prowincji pretendującej do miana kolebki Prus, jednolitego dialektu czy dominującego folkloru". Zarówno w przypadku Brandenburgii, jak i Prus Wschodnich chodziło o tereny skolonizowane i połączone przypadkiem unią personalną dopiero w 1618 r. Wystarczy sięgnąć do Theodora Fontane'a, choćby do jego ciągle czytanej w niemieckich szkołach powieści „Vor dem Sturm", by zauważyć, jak żywa była w XIX w. świadomość, że pruska państwowość zbudowana jest na ziemi obcej, jak silna była potrzeba legitymizacji kolonizacji, jak częste były odniesienia w brandenburskiej części Prus do skolonizowanych „Wendów".

Jeśli obecnie gdzieś można jeszcze odszukać potomków Prusaków, żyjących w zwartych skupiskach, to pewnie w Brandenburgii. Brandenburczycy są dzisiaj – podobnie jak Sasi – obywatelami Republiki Federalnej nie do końca w niej zadomowionymi. Jak pokazały niedawne badania opinii publicznej, wielu z nich nie czuje się po prostu Niemcami, lecz oddzielną kategorią – „Niemcami wschodnimi" (Ostdeutsche).

Nie mamy oczywiście powodu, żeby użalać się nad marnym losem Prus, ale być może powinniśmy zadbać nie tylko o Serbów łużyckich i o pamięć o Słowianach połabskich, lecz także z większą empatią pomyśleć o sąsiadujących z nami brandenburskich post-Prusakach (oraz o post-Sasach), w końcu wielu z nich ma nie tylko słowiańskie, lecz wręcz polskie korzenie, choć zapomniane, wyparte z pamięci. Może warto więcej uwagi w naszej polityce historycznej i publicznej poświęcić zachodnim kresom.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest filozofem społecznym, doktorem habilitowanym nauk humanistycznych, europosłem PiS.

eprasa.pl e505c478f7

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

Walczyłem nad Bzurą!
Poruszający wywiad ze 105-letnim weteranem kampanii 1939 r.

Maciej Rosalak – **Westerplatte walczy!**
Jacek Komuda – **Sucharski kontra Dąbrowski**
Roger Moorhouse – **Jak Anglia i Francja zdradziły Polskę**
Zaremba kontra Karbowiak – **Debata nad Brygadą Świętokrzyską**
Krzysztof Masłoń – **Nowak-Jeziorański: mściwy i bezwzględny**
Sławomir Koper – **Miłosna zbrodnia we Lwowie**
Mikołaj Iwanow – **Sowiecki agent w powstańczej Warszawie**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Chałat i pejsachówka**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl e505c478f7

Maciej Pieczyński

Prezydent Francji dąży do zbliżenia z Putinem. W tle – rosyjska kampania informacyjna wymierzona w Ukrainę. Jednak prezydent Ukrainy Zełenski nie zamierza raczej ustępować agresorowi

Macron chce

Dawno żaden poważny europejski przywódca nie złożył tak wylewnego hołdu prezydentowi Rosji. Emmanuel Macron zdecydowanie opowiada się za resetem z Rosją. „Wierzymy w tę Europę, która rozciąga się od Lizbony do Władywostoku" – nie, to nie są słowa teoretyka rosyjskiego neoimperializmu, eurazjatysty Aleksandra Dugina. Właśnie taką geopolityczną deklaracją Putina w swoich progach przywitał niedawno Emmanuel Macron. Gorąco podkreślał przy tym „europejski" charakter Rosji. „Nasz międzynarodowy porządek przeżywa historyczny moment. Musimy go przebudować. W tym kontekście relacja Francji i Rosji jest decydująca. Nasze kraje muszą rozmawiać, znaleźć punkty porozumienia. Taki jest cel mojego spotkania z Władimirem Putinem w Brégançon" – pisał wcześniej na Twitterze. Niedawno, na spotkaniu z francuskimi ambasadorami, znów zasugerował, że należy przemyśleć relacje z Rosją. Nie stawiając przy tym na ostrzu noża, jak to czynili wcześniej, nawet jeśli tylko na poziomie retoryki, konieczności przestrzegania prawa międzynarodowego. Wezwał francuską dyplomację, by „próbowała budować nowy światowy porządek". W tym nowym światowym porządku dla Rosji jest poczesne miejsce. Francja natomiast wyrasta na „mocarstwo równowagi".

Nic dziwnego, że wyjątkowo ciepłe słowa francuskiego prezydenta na temat Putina wywołały falę geopolitycznego pesymizmu w Kijowie, optymizmu zaś – na Kremlu. „Macron pobłogosławił działaniom Rosji w sprawie Ukrainy" – pisze triumfalnie Iwan Daniłow na portalu państwowej agencji informacyjnej RIA Nowosti. Publicysta kpi z negatywnych reakcji ukraińskiej opinii publicznej, nazywając je „głęboką psychologiczną traumą". Nie podziela obaw (w przypadku Rosji: nadziei), że oto Francja weszła na drogę wprost prowadzącą do zniesienia sankcji. Przyznaje jednak, że Macron radykalnie zmienił „format dialogu europejsko-rosyjskiego". „Wcześniej, nawet jeśli takie stanowisko nie było wyrażane otwartym tekstem, politycy europejscy już sa mą możliwość normalizacji stosunków uzależniali od aktywnego pokajania się Rosji, przez co rozumiano przynajmniej »zwrot Krymu« oraz odmowę pomocy dla tych, którzy nie chcą podporządkować się reżimowi kijowskiemu" – w tej konstatacji Daniłowa widoczne są kody kremlowskiej propagandy, która konflikt na Ukrainie przedstawia jako walkę w obronie „pokojowych mieszkańców Donbasu" przed „faszystowską juntą".

MIEJSCE UKRAINY

Daniłow z sarkazmem pisze o dostrzegających rosyjskie zagrożenie państwach Europy Środkowo-Wschodniej, imputując im, że „zarabiają na eksporcie do UE i USA jedynego towaru, który mają – czyli rusofobii". Jego zdaniem „perspektywy tego biznesu nie są najlepsze, w świetle wypowiedzi Macrona". Daniłow zauważa, że forsowane m.in. przez Warszawę koncepcje budowy kordonu przeciw Rosji, rozciągającego się od Bałtyku do Morza Czarnego, nie mają racji bytu wobec Macronowskiej idei zjednoczenia Europy „od Lizbony do Władywostoku". Rosyjski publicysta

eprasa.pl e505c478f7

Władimir Putin i Emmanuel Macron podczas spotkania w Brégançon
FOT. MAXPPP/FORUM

resetu z Rosją

chwali Macrona jako „zwolennika centralizacji UE".

Gdzie w tej nowej układance jest miejsce dla Ukrainy? Wołodymyr Zełenski spotkał się z Macronem jeszcze w czasie kampanii wyborczej. Do Paryża wybrał się też w swoją pierwszą zagraniczną podróż, już jako prezydent. Namawiał wówczas swojego francuskiego odpowiednika, by zwiększył nacisk na Rosję. Jednocześnie od początku deklarował powrót do mińskiego formatu rozmów, tyle że rozszerzonego o Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. O spotkanie w takim składzie negocjacyjnym apelował do Putina. Nieprzypadkowo też drugą, po Paryżu, stolicą, do której zawitał Zełenski, był Berlin.

Teoretycznie więc hołd, jaki Macron, bez żadnych warunków wstępnych, bez jakiegokolwiek ustępstwa ze strony Rosji, złożył Putinowi, powinien być bardzo negatywnym zaskoczeniem dla ukraińskiego prezydenta. Jednak Daniłow, powołując się na oparty na anonimowych źródłach z Pałacu Elizejskiego artykuł, opublikowany przez francuską agencję AFP, sugeruje, że Zełenski sam w tym nowym układzie sił świadomie wziął udział. To właśnie z Kijowa miała wyjść propozycja rozwiązania konfliktu, akceptowalna dla Putina, który miał się o jej dowiedzieć właśnie za pośrednictwem prezydenta Francji. Macron mógłby tym sposobem doprowadzić do rozwiązania konfliktu ukraińsko-rosyjskiego i odnieść w ten sposób wielki sukces dyplomatyczny. Według AFP i RIA Nowosti Zełenski miał na francuskim prezydencie zrobić „lepsze wrażenie niż niechętny do kompromisu Poroszenko". Daniłow sugeruje, że propozycje Kijowa były na tyle obiecujące, że Macron, w ramach przygotowania gruntu pod interes, zaryzykował krytykę europejskiej opinii publicznej i nie powstrzymał się przed pochwałami pod adresem Putina. Rosyjski dziennikarz zaznacza przy tym, że o ile Moskwie pomysły Zełenskiego przypadną do gustu, o tyle ukraińska opinia publiczna, delikatnie pisząc, nie byłaby nimi zachwycona. Rzekome ustępstwa wobec Rosji nie spodobałyby się również w Waszyngtonie.

Dlatego też na razie „sługa narodu" spiskuje na ten temat ze swoim francuskim odpowiednikiem, zamiast się swoim „dyplomatycznym sukcesem" pochwalić oficjalnie. Daniłow twierdzi, że ani ukraińskie społeczeństwo, ani USA nie zaakceptują inicjatywy Zełenskiego. To jednak dla Rosji i tak będzie sytuacja wygrana, doprowadzi bowiem do kolejnych konfliktów i podziałów nad Dnieprem.

Pytanie jednak: Dlaczego cieszący się ogromnym poparciem Zełenski, który w kampanii co prawda nie obiecywał, że zbuntowany Donbas zostanie zrównany z ziemią, ale też – wbrew powierzchownym opiniom komentatorów, mylących rosyjskojęzyczność z prorosyjskością – nie zapowiadał żadnych ustępstw wobec agresora, miałby popełnić polityczne i geopolityczne samobójstwo? Kremlowska propaganda odpowiedzi nie udziela. Nie wskazuje też jednak wprost, na jakie rzekomo ustępstwa miałby się zgodzić prezydent Ukrainy. Wiele wskazuje więc na to, że chodzi raczej o wywołanie niepokoju nad Dnieprem i próbę zaszkodzenia wizerunkowi Zełenskiego. A ponadto – o myślenie życzeniowe. – Dla strony rosyjskiej bardzo wygodne jest rozpowszechnianie tego typu przekazu na Ukrainie. Przede wszystkim chodzi o to, by zainteresować sugerowaną narracją takich polityków jak Wiktor Medwedczuk, który gotów jest wystąpić w roli gołąbka pokoju w negocjacjach dwustronnych. Wątpliwe jednak, by skrzydła tego gołąbka były koloru niebiesko-żółtego. Raczej będzie to barwa trójkolorowa – mówi „Do Rzeczy" Ihor Konopenko, publicysta ukraińskiego portalu Zachidnyj Informacijnyj Front.

– Prezydent Zełenski nie zrobi niczego, co byłoby niezgodne z interesem

eprasa.pl e505c478f7

narodowym Ukrainy. Nie jest zresztą w stanie obiecać żadnego kompromisu bez akceptacji parlamentu – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Iryna Wereszczuk, deputowana do Rady Najwyższej, wybrana z poparciem partii Sługa Narodu. – Nie ustąpimy w żadnej sprawie dopóty, dopóki Rosja nie wyjdzie nam naprzeciw – dodaje. I wyjaśnia, zgodnie z oficjalną retoryką Kijowa, że takim krokiem ze strony Moskwy powinno być uwolnienie przebywających na terenie Federacji Rosyjskiej obywateli ukraińskich. I rzeczywiście, niedawno Rosja i Ukraina uzgodniły wymianę jeńców oraz więźniów. Iryna Wereszczuk zapewnia, że ewentualne ustępstwa mogą dotyczyć jedynie właśnie tej kwestii. – Putin żąda od nas amnestii dla bojowników oraz zmian w konstytucji, przewidujących szczególny status Donbasu. Ukraińska władza nie jest na to gotowa. Żeby w ogóle zacząć rozmawiać, dawno obiecywane zawieszenie ognia musi potrwać co najmniej kilka miesięcy – mówi Iryna Wereszczuk.

– To oczywiste, że nowy ukraiński prezydent jest bardzo czuły na zdanie opinii publicznej i reakcje społeczeństwa na jego działalność. Trudno natomiast powiedzieć, czy możliwe, że istnieje jakieś tajne porozumienie z Putinem, ponieważ nikt na obecnym etapie nie odważył się głośno o tym mówić – mówi „Do Rzeczy" Ihor Konopenko. Jego zdaniem, jeśli są prowadzone jakieś rozmowy prowadzące do ewentualnych ustępstw, to uczestniczą w nich konkretni przedstawiciele władz ukraińskich i rosyjskich. – Żeby ujawnić ich treść choćby częściowo, najpierw konieczne będzie wysondowanie ewentualnej reakcji społecznej – dodaje publicysta portalu Zachidnyj Informacijnyj Front.

– Nie tylko Dugin głosi hasło budowy jednej przestrzeni bezpieczeństwa „od Lizbony do Władywostoku". Podobne postulaty formułowane są również na Zachodzie, i to co najmniej od końca lat 80. Już wówczas pojawiły się koncepcje połączenia państw NATO oraz chylącego się ku upadkowi Układu Warszawskiego – przypomina dr Łukasz Jasina. Ekspert Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych zauważa, że Francja zawsze wiodła prym wśród europejskich zwolenników sojuszu z Rosją. – Na długo przed rozpadem ZSRS znaczenie tego mocarstwa dla światowej układanki doceniał Charles de Gaulle. Francja aspirowała do roli pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem, mocarstwa, równoważącego dominację USA – dodaje dr Jasina.

KOMPROMIS Z DYKTATURĄ

Rzeczywiście, gdyby zapowiadany przez Francisa Fukuyamę „koniec historii" nie okazał się chybioną diagnozą, „miłująca pokój", „zjednoczona Europa od Lizbony do Władywostoku" mogłaby okazać się wymarzonym celem zwolenników integracji. Jednak, jeśli nie rok 2008, to na pewno 2014 r. powinien uświadomić zachodnim rusofilom, że obiekt ich sympatii kontynuuje ekspansjonistyczne tradycje Iwana Groźnego i Józefa Stalina (nawet w oficjalnej retoryce). – Rzeczywiście, wydawałoby się, że fakt łamania prawa międzynarodowego przez Rosję sprawi, iż zachodnioeuropejscy przywódcy będą wnikliwiej patrzeć Putinowi na ręce. Jednak, jak widać, w dzisiejszym świecie, jak zawsze, prędzej czy później demokratyczne państwa zawierają kompromis z każdą formą dyktatury – komentuje ekspert PISM. – Macron robi dokładnie to samo, co kiedyś robili de Gaulle czy Mitterand: szuka dla Francji miejsca pomiędzy USA a Rosją. Paryż chce po prostu robić z Moskwą interesy. Wielki gracz potrzebuje drugiego wielkiego gracza – dodaje.

Zdaniem Jasiny niektóre państwa Europy Zachodniej mogą stracić nadzieję na wymuszenie czegokolwiek na Rosji. Dlatego też chcą spróbować drogi kompromisu. – Od wprowadzenia sankcji minęło pięć lat. Zmieniło się niewiele. Putin nadal rządzi swoim krajem. Być może więc Macron uznał, że w imię Realpolitik wypada się z faktami pogodzić – mówi Łukasz Jasina.

Ekspert PISM nie wierzy w żadne spektakularne ustępstwa Wołodymyra Zełenskiego na rzecz Rosji. – Prezydent Ukrainy bardzo mocno przejmuje się opinią publiczną, ta zaś nie życzy sobie oddawania pola agresorowi, choć jest oczywiście zmęczona wojną i chętnie będzie się przyglądać innym niż militarne próbom rozwiązania konfliktu. Nie ma więc mowy o uznaniu przez Kijów zaboru Krymu czy o akceptacji obecnej sytuacji na Donbasie – mówi. Dodaje jednak: – Faktem jest, że rozmowy się toczą. Nieprzypadkowo Zełenski na początku prezydentury pojechał do Francji i Niemiec, czyni starania na rzecz wznowienia negocjacji w formacie normandzkim. Również wizyta w Kijowie Johna Boltona, doradcy Trumpa ds. bezpieczeństwa, może świadczyć o tym, że szykują się jakieś realne zmiany.

Jednym z głównych celów polityki rosyjskiej stają się przerwanie krępującej izolacji, odbudowa relacji ze światem zachodnim, głównie w sferze gospodarki, inwestycji

PARYSKA KARTA

W historii relacji francusko-rosyjskich ze świecą szukać trwałych konfliktów. – Utrata pozycji głównego mocarstwa w Europie przez Francję w XIX w., szczególnie w kontekście narodzin potęgi Niemiec, sprawiła, że dyplomacja francuska zaczęła upatrywać w Rosji kluczowego partnera, by odbudować swoją pozycję. Te zależności pozostają aktualne także we współczesnych warunkach – ocenia Michał Patryk Sadłowski z Instytutu Prawa Wschodniego. Jego zdaniem spotkanie Macron-Putin należy interpretować także w kontekście sytuacji wewnętrznej w Rosji. – Poparcie dla Putina, a zwłaszcza dla jego partii Jedna Rosja, z powodów gospodarczo-społecznych spada. „Efekt krymski" staje się już kwestią historyczną. Coraz częściej mówi się o tzw. zastoju – komentuje Sadłowski.

Jak zauważa, jednym z głównych celów polityki rosyjskiej staje się przerwanie krępującej izolacji, odbudowa relacji ze światem zachodnim, głównie w sferze gospodarki, inwestycji. – Na tym zależy Kremlowi, bo to jeden z warunków stabilności jego reżimu politycznego. Jednakże określony wpływ na politykę Moskwy (np. w sprawie Ukrainy) Paryż i sam Macron, próbujący kreować się na europejskiego lidera, będą chcieli dyskontować w ważnych dla nich relacjach z Niemcami, UE, a także z USA. Rosyjska dyplomacja gra tą kartą – dodaje ekspert z Instytutu Prawa Wschodniego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

LOTOS dostrzega potencjał paliw alternatywnych

Rozwój obszaru paliw alternatywnych cieszy się w Polsce dużym zainteresowaniem oraz wsparciem rządu. Grupa LOTOS działa w wielu obszarach związanych z popularyzacją czystych paliw dla transportu

FOT. GRUPA LOTOS

Koncern może się pochwalić zarówno zelektryfikowanym szlakiem z Trójmiasta do Warszawy, jak i szeregiem działań na rzecz innych paliw alternatywnych. Koncern w ramach swojej strategii do roku 2022 jako jeden z priorytetów wskazał rozwój innowacyjnych projektów dotyczących transportu niskoemisyjnego i paliw alternatywnych.

Jesienią 2018 r. LOTOS rozpoczął test pierwszych 12 punktów ładowania pojazdów elektrycznych pomiędzy Warszawą a Gdańskiem i Gdynią, przy trasie A1 i A2. Aż do odwołania korzystanie z szybkich ładowarek będzie bezpłatne.

Lokalizacja punktów ładowania została zaplanowana tak, aby najdłuższy odcinek między nimi nie przekraczał 150 km. Do końca I kwartału 2020 r. ma powstać kolejnych 38 stacji ładowania pojazdów elektrycznych.

Pod koniec 2018 r. LOTOS zapowiedział uruchomienie do 2021 r. dwóch pierwszych punktów tankowania wodoru, które powstaną w Gdańsku i Warszawie. Oba punkty, razem z instalacją do oczyszczania i dystrybucji wodoru, tworzą projekt Pure H2, który w 20% będzie opłacany również ze środków unijnych w ramach instrumentu CEF. Pierwszy raz wodór będzie można zatankować w sąsiedztwie gdańskiej rafinerii oraz na warszawskiej stacji paliw LOTOS przy ul. Łopuszańskiej.

Zanim pojawią się punkty tankowania wodoru, na terenie rafinerii w Gdańsku powstaną instalacja do jego oczyszczania oraz stacja sprzedaży i dystrybucji tego paliwa. Do zasilania ogniw wodorowych napędzających silnik elektryczny potrzebny jest wodór o bardzo wysokiej czystości (99,999%). Taki rodzaj czystego paliwa zapewni daleki zasięg pojazdu (450 km) bez konieczności dodatkowego tankowania wodoru na trasie pomiędzy stolicą Polski a rafinerią w Gdańsku oraz ograniczy koszty inwestowania w dodatkową infrastrukturę sieci elektroenergetycznych.

Technologie wodorowe w transporcie będą się rozwijały w pierwszej kolejności w oparciu o transport publiczny. Grupa LOTOS podpisała listy intencyjne z Gdynią i Wejherowem, które zakładają realizację dostaw wodoru do napędu autobusów z ogniwami paliwowymi. Takie pojazdy nie emitują żadnych zanieczyszczeń i zapewniają duży komfort jazdy dzięki cichej pracy silnika.

LOTOS rozwija się też w temacie LNG. Koncern jest zaangażowany w trzy niezależne projekty, służące większemu wykorzystaniu LNG w żegludze morskiej na Bałtyku. Ze spółką Remontowa LNG Systems Grupa LOTOS podpisała list intencyjny w sprawie budowy pilotażowego systemu dystrybucji LNG. Wcześniej ze spółką Gaz-System LOTOS otrzymał unijne dofinansowanie na opracowanie studium wykonalności projektu budowy w Gdańsku terminalu LNG małej skali i budowy innowacyjnych bunkierek LNG. LOTOS Asfalt oraz PGNiG Obrót Detaliczny podpisały z kolei umowę o wspólnej ofercie usługi bunkrowania statków paliwem LNG, pochodzącym z Terminala LNG w Świnoujściu.

LOTOS kończy też realizację projektu EFRA (Efektywna Rafinacja). 26 czerwca 2019 r. kluczowy obiekt projektu, tj. kompleks koksowania, osiągnął potwierdzony stan gotowości do rozruchu. W wyniku uruchomienia projektu na rynek trafi rocznie dodatkowo ok. 900 tys. ton wysokomarżowych paliw.

Spółka LOTOS Lab współpracuje z naukowcami z Politechniki Warszawskiej oraz Politechniki Gdańskiej w obszarze niskoemisyjnego transportu i magazynowania energii. W planach jest stworzenie prototypów urządzeń, które będą mogły zostać wdrożone do przemysłu.

eprasa.pl e505c478f7

FOT. YOUTUBE

KARUZELA ZE SWASTYKAMI

W szwarcwaldzkim parku rozrywki Tatzmania pod koniec lipca zainstalowano nową atrakcję. Była nią spora karuzela o nazwie „Lot Orła". Turyści mieli na niej poczuć się tak, jakby latali z ptakami. Internauci opublikowali zdjęcia tej karuzeli i filmy. Okazało się, że podczas ruchu składała się z ośmiu wirujących swastyk. Po publikacjach w sieci zarządca obiektu karuzelę zamknął. Ma wrócić po przeróbkach.

NEGROFOBIA KONTRA TRADYCJA

Na północy Belgii w mieście Ath jak co roku z okazji święta La Ducasse D'Ath ulicami przeszedł folklorystyczny pochód. Marsze z tej okazji odbywają się od blisko 600 lat, a od 1873 r. wprowadzono na nie postać „Dzikusa", by przypominać historię belgijskiego kolonializmu. W tym roku parada wzbudziła oburzenie niektórych. Stowarzyszenia Bruxelles Panthères uznało, że „Dzikus" na paradzie to rasizm. I że pokazywanie takiej postaci utwierdza innych w przekonaniu, iż czarnoskórzy są gorsi i można ich poniżać. Gdy organizatorzy nie zgodzili się na usunięcie tej postaci z marszu, organizacja napisała do UNESCO, by usunąć to belgijskie święto z listy niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

GEJOWSKIE DZIECKO W PARLAMENCIE

W parlamentach występowały już polityczki w ciąży, polityczki z dziećmi, ale w Nowej Zelandii poszło to krok dalej. Dziecko do pracy zabrał jeden z tamtejszych polityków – Tamati Coffey. Ten były telewizyjny prezenter ma noworodka ze swoim partnerem Timem Smithem, bo zgodziła się go im urodzić pewna kobieta. Gdy Coffey musiał zabierać głos w parlamencie, bobasa na rękach niańczył spiker tamtejszej izby Trevor Mallard.

KAMIENIE OD TURYSTÓW

Budowanie piramid z kamyków, na których tle turyści robią sobie potem zdjęcia, to nowa turystyczna plaga. Norweskie szczyty założone są takimi konstrukcjami. A Francuzi mają już tego dość. I apelują do urlopowiczów, by przestali to robić, bo powstają tak wysokie piramidy, że zagrażają innym ludziom.

ZA DOBRY MĄŻ

Do sądu szariackiego w Fudżajrze wpłynął wniosek mieszkanki Zjednoczonych Emiratów Arabskich, która chce się rozwieść z mężem. Powód? Zdaniem kobiety mąż jest za dobry. Nigdy na nią nie nakrzyczał ani jej nie odtrącił. Pomaga jej w porządkach domowych i zasypuje prezentami. Żona uważa, że to jego miłość i zaangażowanie ją „duszą". Całymi miesiącami czekała na kłótnię.

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Rada dla frankowiczów

Zbliża się termin wydania przez Trybunał Sprawiedliwości UE wyroku w sprawie kredytu hipotecznego indeksowanego we frankach szwajcarskich. Wyrok ma określić, co sąd krajowy może zrobić, jeśli uzna, że w umowie jest niedozwolona klauzula. W oczekiwaniu na orzeczenie część polskich sądów zawiesiła postępowania z powództwa kredytobiorców.

Liczba takich spraw w Polsce rośnie, a jeżeli wyrok TSUE będzie zgodny z zaleceniem rzecznika generalnego (którego opinia nie jest dla trybunału wiążąca, ale zwykle jej tropem idą orzeczenia), to będzie ich momentalnie o wiele więcej. Jeśli, co więcej, orzeczenia będą korzystne dla kredytobiorców, to może się z tego zrobić lawina.

Prezydent Andrzej Duda złamał swoje obietnice, składane kredytobiorcom CHF w kampanii – nie zaproponował ustawy przewidującej konwersję na kredyty złotówkowe. Mało tego, ustawa autorstwa prezydenta, która ostatecznie ma szansę wejść w życie, kompletnie omija główny problem. Nie jest nim brak pieniędzy na bieżące spłaty, ale fakt, że wskutek zmiany kursu franka (ostatnio znów drożejącego) ludzie mają dziś do spłacenia, regulując solennie zobowiązania od dekady, czasem dwa razy tyle, ile wzięli.

I tu pojawia się paradoks. Uzasadniając złamanie obietnicy, Andrzej Duda stwierdzał, że inne podejście byłoby groźne dla systemu finansowego. Tyle że teraz system może oberwać bardziej za sprawą indywidualnych pozwów, niż gdyby w ciągu tej kadencji PiS zaproponował dostępny dla wszystkich kontrolowany mechanizm przewalutowania.

Swego czasu Jarosław Kaczyński doradził kredytobiorcom z nutką ironii i pogardy, żeby sobie poszli do sądów. No to pójdą. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY:

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, GRUPA CEDROB, PZU, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska, HM Inwest S.A.

eprasa.pl e505c478f7

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Tęcza, duma i rozterki

Teresa Stylińska z Nowego Jorku

Nowy Jork i parę innych wielkich amerykańskich miast opanowało tęczowe szaleństwo. Jednak w mniejszych miastach i na prowincji nastroje wcale nie są tęczowe. Badania przeprowadzone na ogólnokrajowej próbie pokazują, że poparcie dla ideologii LGBT – po latach ciągłych wzrostów – zaczęło spadać

Kawa podawana w małym barku w supernowoczesnym kompleksie World Trade Center, zbudowanym tuż obok miejsca pamięci Ground Zero, jest bez zarzutu. Gdy zamawiam ją przy barze, zauważam stojącą koło ekspresu elegancką tabliczkę, która informuje: „Kawa jest dumnie palona przez firmę Noble Tree".

Dumnie palona? Dziwnie to brzmi, ale w istocie to stwierdzenie jest deklaracją, tyle że w ogóle niedotyczącą kawy. To deklaracja poparcia dla ruchu i ideologii gejowskiej, w nowej, bardzo już dziś rozpowszechnionej formie językowej, w której osią wypowiedzi stało się słowo „duma", ważne tak samo jak tęczowe paski.

Czy ideologia gejowska odniosła już zwycięstwo? Gdy w czerwcu wielkie miasta Ameryki przystroiły się w tęczowe flagi, trudno było oprzeć się wrażeniu, że tak. Tymczasem wiele wskazuje na to, że jednak nie, bo stopień akceptacji obecności i poczynań homoseksualistów wyraźnie spada. Mówią o tym najnowsze badania instytutu Harrisa, przeprowadzone na zlecenie GLAAD, największej w USA organizacji progejowskiej. Na domiar złego największy spadek poparcia odnotowano w najmłodszej grupie, wśród ludzi w wieku 18–34 lat. Cóż z tego, że 45 proc. z nich nie ma zastrzeżeń do kontaktów z gejami? Nie ma się co cieszyć, bo przed rokiem nie miało ich 52 proc. pytanych, a w 20 16 r. – aż 63 proc.

Tak wyraźna zmiana trendu wśród młodych, uważanych za najbardziej przychylnych ideologii LGBT, wprawiła działaczy gejowskich w osłupienie. Nie mają wątpliwości: winien jest Donald Trump. To jego słowa i działania podsycają niechęć do społeczności LGBT. „Politycznie i kulturalnie jest to czarna godzina" – ocenia Sarah Kate Ellis, szefowa GLAAD.

OKAŻCIE DUMĘ!

Język to rzecz żywa, stale się zmienia, a słowa nabierają nowych znaczeń. W zbitce „Gay Pride" – „duma gejowska" – do tej pory akcent kładziono na słowo „gej". Teraz na plan pierwszy wysunęła się „duma". To pewnie nie przypadek, bo potencjał emocjonalny zawarty w tym słowie jest nieporównanie większy niż w sztucznym – choć dobrze już zakorzenionym – określeniu „gej", które wymyślono po to tylko, by przydać homoseksualistom nieco pozytywnych konotacji („gay" znaczy po angielsku „wesoły"). Teraz, przynajmniej w Ameryce, gdy mówi się o dumie, od razu wiadomo, o co chodzi.

Wielki napis na autobusie turystycznym hop-on, hop-off w Chicago: „Let's ride with pride" – „Jedźmy dumnie". W Nowym Jorku „50 lat dumy i postępu" ogłasza wielki billboard na Times Square. Na innych życzenia: „Happy Pride, New York!" – „Nowy Jorku, wszystkiego dobrego z okazji święta dumy!". Witryny sklepów prawie wszędzie udekorowane na tęczowo, ale u Tommy'ego Hilfigera jeszcze przypomnienie: „Make pride possible" – w wolnym tłumaczeniu „Pracujcie nad dumą", a u Donny Karan, w DKNY, specjalna Pride Collection. Na ulicach i w metrze tęczowe napisy: „Show your pride!" – „Okażcie dumę". A wielka tęczowa tablica przy kościele episkopalnym St. Bart's w centrum

eprasa.pl e505c478f7

Manhattanu zapowiada „dumną eucharystię i pobłogosławienie flagi dumy".

Czerwiec awansował do roli „Pride Month" – miesiąca dumy gejowskiej. Zasłużył sobie, bo właśnie w czerwcu w 1969 r. doszło do starć homoseksualistów z policją przed barem Stonewall Inn w nowojorskiej dzielnicy Greenwich Village. To wydarzenie zapoczątkowało ruch gejowski i ekspansję ideologii LGBT. „Roku dumy" na razie jeszcze nie ogłoszono, ale określenie „Global Pride" czy „World Pride" – duma ogólnoświatowa – już się pojawia.

To jednak nie wszystko. Starcia uliczne przed Stonewall w warstwie słownej przestają być zwykłymi zamieszkami. Media, choćby telewizja CNN, zaczynają je nazywać „uprising" – „powstaniem". Chociaż przecież była to tylko bójka rozjuszonego tłumu z policją, która przybyła, by egzekwować przestrzeganie prawa. Po 50 latach uznano jednak, że nadszedł czas, by owe wydarzenia uwzniośić.

Te semantyczne zmiany dokonują się chyba nie całkiem samorzutnie. W jakiejś mierze, jak się wydaje, mają one kształtować pozytywne nastawienie do tęczowej ideologii. Wymowny jest dobór słów-deklaracji na sześciu tęczowych paskach, jakimi ozdobiono stroje z kolekcji DKNY: obok dumy widnieją na nich słowa takie jak „miłość", „równość" i „razem".

WAHADŁO SIĘ ODCHYLIŁO

Gdyby wyciągać wnioski jedynie na podstawie szaleństwa, które opanowało Nowy Jork i parę innych wielkich miast, otrzymalibyśmy jednak obraz mocno wypaczony. W mniejszych miastach i na prowincji nastroje wcale nie są tęczowe. Doskonale pokazują to badania przeprowadzane na próbie ogólnokrajowej przez tak szacowną instytucję sondażową jak instytut Harrisa.

GLAAD (organizacja, która pierwotnie nosiła nazwę Sojuszu Gejów i Lesbijek przeciwko Zniesławieniu – czytelne nawiązanie do żydowskiej Anti-Defamation League) po raz pierwszy zamówiła je w 2014 r. Od tego czasu badani co roku odpowiadają na te same pytania dotyczące hipotetycznych sytuacji. Na przykład: Czy bardzo by im przeszkadzało, gdyby w rodzinie mieli geja lub lesbijkę? Albo gdyby gejem był lekarz? Albo gdyby ich dzieci uczono w szkole historii LGBT? Albo gdyby na biurku kolegi z pracy zobaczyli jego ślubne zdjęcie z partnerem? Odpowiedzi mają pokazać, jak Amerykanie widzą swoje kontakty z ludźmi LGBT na rozmaitych, mniej lub bardziej osobistych płaszczyznach.

I obraz okazał się ciekawy, tym bardziej że jednoznaczny. Od 2014 r. akceptacja dla LGBT powoli, lecz stale, rosła – do 2017 r. „Bo wówczas wahadło akceptacji gwałtownie się zatrzymało, a potem odchyliło w przeciwnym kierunku" – ubolewa szefowa GLAAD.

Przykłady? W 2014 r. 32 proc. Amerykanów źle by się czuło, mając w rodzinie osobę LGBT. W 2016 r. odnotowano spadek do 27 proc., ale w 2018 r. (to wyniki z tegorocznego raportu) wzrost do 31 proc., czyli prawie dawnego poziomu. Tak jest ze wszystkim, ale najwyraźniej gdy pytano o nauczanie historii LGBT w szkole. W 2016 r. nie chciało go 34 proc. pytanych. Dzisiaj aż 39 proc. – również wśród ludzi młodych.

Rachuby, że wszyscy bez oporów zaakceptują, ba! – pokochają ideologię LGBT okazały się zatem całkowicie błędne. A winowajcy nie trzeba było szukać. Mógł nim być tylko Donald Trump, który już w pierwszym roku urzędowania zakwestionował wiele z tego, co dla społeczności LGBT zrobił Barack Obama. Tuż po inauguracji prezydentury Trumpa ze stron Białego Domu, Departamentu Stanu i ministerstwa pracy zniknęły informacje o sprawach LGBT. Wkrótce potem wycofano wydane za rządów Obamy zalecenie, by uczniowie transseksualni mogli korzystać z toalet zgodnie z płcią, do której się poczuwają. W lipcu prezydent sugerował, że transseksualiści nie powinni służyć w wojsku (z czego później się wycofał). Tak, według aktywistów gejowskich, tworzył niedobrą atmosferę.

W tym roku na początku czerwca Trump wydał wprawdzie oświadczenie, w którym zapowiedział starania o poprawę sytuacji społeczności LGBT na świecie, przede wszystkim o dekryminalizację homoseksualizmu, ale jednocześnie zabronił ambasadom USA wywieszania tęczowych flag oficjalnie, czyli na masztach przed budynkiem. Było to dozwolone tylko nieoficjalnie (tak jak w Warszawie na balkonach mieszkań dyplomatów przy ul. Pięknej). Prośby paru placówek, m.in. w Niemczech i Izraelu, zostały odrzucone.

UCISKANA WIĘKSZOŚĆ

Na końcu chicagowskiego Navy Pier, na brzegu jeziora Michigan, na wysokich masztach powiewa na wietrze 13 flag. Trzy są oficjalne – w środku amerykańska, po obu jej stronach flagi Chicago i stanu Illinois. Jednak w oczy rzuca się przede wszystkim 10 okalających je flag tęczowych. I o to zapewne chodziło.

Amerykańskie środowiska LGBT, nie znajdując oparcia w prezydencie, zastosowały taktykę dobrze znaną z wielu innych miejsc: postawiły na władze lokalne. O ich przychylność nie jest trudno, bo największe miasta są przeważnie w rękach demokratów, którzy akceptują gejowskie postulaty i cele. Wśród tych, które mają burmistrzów odmiennej orientacji, prawdziwą perłą jest właśnie Chicago. Od maja tego roku trzecim co do wielkości miastem Ameryki rządzi czarnoskóra prawniczka Lori Lightfoot, lesbijka. Nic dziwnego, że tęczowych miejsc tu nie brakuje.

Wielką nadzieją gejów jest jednak burmistrz niewielkiego, jak na standardy amerykańskie (nieco ponad 100 tys. mieszkańców), miasta South Bend w stanie Indiana, przez lata znanego dzięki temu, że tu produkowano samochody Studebaker. Teraz rozgłosu przydaje mu Pete Buttigieg, który chce stanąć w szranki w najbliższych wyborach prezydenckich. Trudno sobie wyobrazić, by w prawyborach Partii Demokratycznej był on w stanie pokonać takie tuzy jak Joe Biden, Bernie Sanders czy Elizabeth Warren, zwłaszcza że jego doświadczenie w polityce ogranicza się do kierowania niedużym miastem. Dzięki swej orientacji ma jednak ogromną publicity i tchnął nowego ducha w społeczność LGBT.

Nowy duch jest potrzebny, ale wcale nie gejom – uważają jednak inicjatorzy parady, która ma odbyć się w Bostonie w ostatnim dniu sierpnia. To Straight Pride – marsz dumy normalsów, ludzi heteroseksualnych, bo to oni, jak zauważył jeden z organizatorów, „są dzisiaj uciskaną większością".

Fakt, że tym razem zdołano uzyskać zgodę na marsz, choć wcześniej nigdy się to nie udało, to dobry znak. Szczególnie w mieście tak postępowym, że tęczową materią przybrano nawet balkon Old State House, z którego u progu wojny o niepodległość odczytywano deklarację niepodległości. A że ktoś chce organizatorów nastraszyć, wysyłając im przesyłki z podejrzaną zawartością? „To tylko umocni naszą determinację".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Przyjazny Polakom Belgrad

Tomasz P. Terlikowski z Serbii

Jeśli szukacie pięknych widoków, innego oblicza wschodniego chrześcijaństwa, otwarcia na Polaków i cen, które nie opróżnią waszego portfela, to Serbia jest rozwiązaniem idealnym. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak mało nas w tym uroczym kraju

Nie lubię jeździć tam, gdzie wszyscy. Siedzenie nad morzem zupełnie mnie nie kręci (chyba że mam naprawdę dobrą książkę, ale wtedy wolę siedzieć na werandzie z zimnym piwem), a tłumy turystów (nie, nie napiszę, że polskich, bo rodaków lubię, ale niemieckich i brytyjskich) wyprowadzają mnie z równowagi. Dlatego gdy rozważamy z żoną kierunki podróży, zazwyczaj szukamy miejsc mniej uczęszczanych, a jako że jesteśmy podróżniczymi anarchistami, to… w ostatnim momencie zdarza nam się całkowicie zmienić planowany kierunek.

Tak było i w tym roku. Zaczęło się, o czym pisałem, od skrętu z kierunku na Zagrzeb na kierunek Lublana, a potem było już tylko weselej. Z Sarajewa (tam akurat chcieliśmy być) mieliśmy jechać do Bułgarii, ale jakoś uznaliśmy, że to za daleko, a do tego Warna i Złote Piaski (przepraszam szlachetny naród bułgarski) kojarzyły mi się z plażą zawaloną turystami, więc niewiele myśląc, wyszukaliśmy noclegi w Belgradzie. I tam spędziliśmy, za baaardzo rozsądną cenę, w pięknym apartamencie w samym centrum tego pięknego miasta kilka dni. I już wiem, że wrócimy, bo naprawdę warto.

POLACY I DZIECI MILE WIDZIANI

Zacznijmy od tego, że choć państw NATO w Serbii się nie lubi (w samym centrum Belgradu wciąż stoi zbombardowany przez pakt północnoatlantycki i ciągle nieodbudowany budynek sztabu generalnego), to Polacy w ogóle tego nie odczują (także dlatego, że Serbowie wiedzą, iż wstąpiliśmy do paktu kilka dni przed nalotami, więc nie mieliśmy w ich sprawie nic do powiedzenia). Nas się tu po prostu lubi. – Skąd jesteście? – pytała nas handlująca ręcznie wykonaną biżuterią (zaopatrzyłem w kilka par kolczyków żonę) kobieta w Zemunie (piękne stare miasto w mieście, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu było osobnym miasteczkiem). – Z Polski – odpowiedzieliśmy. – To daleko. Szkoda, że tak mało Polaków tu przyjeżdża. My was przecież tak lubimy – mówiła. I bez chwili wahania, jakby na potwierdzenie swoich słów, do zakupów dorzuciła jeszcze kilka gratisów i opuściła cenę.

Takie wyrazy sympatii naprawdę lubię. A spotykaliśmy się z nimi na każdym kroku. I to nie tylko dlatego, że jesteśmy z Polski, lecz także dlatego, iż podróżowaliśmy, jak zwykle, z pięciorgiem dzieci. Serbowie liczyli je, pytali ze zdumieniem, czy wszystkie nasze, a potem wpuszczali do muzeów, do zabytkowych budowli, a nawet do kolejki za darmo. – Dzieci nie płacą – tłumaczyli, chociaż na cenniku było napisane, że, owszem, płacą. – Free – dodawali po angielsku, jakby zakładając, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć po serbsku. Nas nie trzeba było długo prosić, więc zwiedzaliśmy do upadłego. Belgradzkie cerkwie, Dom Kwiatów, twierdzę Kalemegdan i Zemun. Czas mijał błyskawicznie, a Serbowie potrafili go naprawdę umilić.

Mięsożercy (ja akurat kocham zwierzęta pod każdą postacią, szczególnie pieczone i grillowane) też mają tu raj. Sztandarowe dania serbskie to znakomite

eprasa.pl e505c478f7

FOT. ADOBESTOCK

cevapi (małe, podłużne kotleciki) sprzedawane po pięć (mnie taka porcja wystarczała w zupełności, a nie jestem ułomkiem) lub dziesięć sztuk (najadałem się taką z dziećmi) z pitą lub frytkami, a do tego pokrojona cebula i niewielki pomidorek. Na początku bardzo mi się to podobało, ale trzeciego dnia (szczególnie że w Bośni cevapi podawano bez pomidorka, z samą cebulą) zatęskniłem już za sałatami, pomidorami i ogórkami, do których zazwyczaj bezskutecznie przekonuje mnie żona. Jeszcze lepsze wrażenie robi pljeskavica, czyli potężny (naprawdę potężny) kotlet z siekanego mięsa wieprzowo-wołowego, podawany niekiedy na kajmaku (nie, nie na tym słodkim, który dodaje się w Polsce do ciast, ale na specyficznym bałkańskim produkcie wytwarzanym z mleka bawołu domowego i śmietany kremówki). Rewelacja, a porcja taka, że po obiedzie nie sposób już się ruszyć. Jeśli do tego dodać bureki z serem czy mięsem, to trudno się dziwić, że po pobycie w Serbii (tak jak w Bośni) do Polski wraca więcej obywatela. A potem trzeba się katować warzywkami i wspominać piękne czasy urlopu.

MIASTA W MIEŚCIE

Jedzenie i sympatyczni ludzie to dalece nie wszystko, co ma do zaoferowania Belgrad. Miasto w pierwszym momencie może rozczarowywać, bo widać w nim jeszcze jugosłowiańską, imperialną przeszłość (i to jeszcze z czasów przedkomunistycznych), wielkie socrealistyczne budowle i szarobure bloki, gdy się jednak zanurzy w miejskie zaułki, połazi po cerkwiach, to wrażenie to znika. Ja na pierwszy rzut proponuję trasę szlakiem najpiękniejszych belgradzkich cerkwi. Dzieci ciągłe narzekają, że gdy jadą gdzieś z ojcem, to plan zawsze wygląda tak samo: kościół, kościół, kościół, a potem dla odmiany cerkiew, ewentualnie synagoga. Tym razem było inaczej, bo kościół zwiedzieliśmy tylko jeden (konkatedrę Chrystusa Króla, gdzie byliśmy na niedzielnej mszy świętej), za to cerkwi z dziesięć. Warto je zwiedzić, bo serbskie prawosławie, nawet w kwestii budownictwa, jest zwyczajnie inne niż ukraińskie czy rosyjskie. Nie uświadczy się tam cebulastych kopuł, a w środku często (to szczególnie w Wojwodinie, ale nie tylko) zamiast klasycznych ikon na ikonostasie mamy malarstwo zachodnie. Koniecznie trzeba zobaczyć kamienną i czekającą na pełny wystrój w środku cerkiew św. Marka. Wielka konstrukcja naprawdę nastraja modlitewnie. Zachwyca także cerkiew św. Aleksandra Newskiego, bardziej rosyjska z charakteru, i cerkiew o. Nikołaja w Zemunie, która z zewnątrz niczym nie różni się od kościoła katolickiego, za to w środku zachwyca ikonografią. I na deser sobór św. Sawy. Potężna świątynia, dopiero budowana, z pięknymi freskami. Polaków może trochę złościć, że budowana w znacznym stopniu za pieniądze Gazpromu, ale mimo to warto ją zobaczyć. My mieliśmy szczęście, bo akurat, gdy wchodziliśmy, odbywał się ślub, a młodym przygrywała cygańska kapela. I to jak przygrywała!

Jednak Belgrad to nie tylko cerkwie, lecz także potężna twierdza Kalemegdan. Każdy, kto kiedykolwiek panował nad tymi ziemiami, dobudował w niej coś od siebie. Zaczęli Celtowie, potem swoje dobudowali Rzymianie, Turcy i Austriacy. Samo przejście twierdzy zajmuje sporo czasu, a jeśli jeszcze skręci się w kierunku militariów albo zacznie włóczyć po parku, to dzień mija błyskawicznie. Dodatkową atrakcją są piękne widoki na Belgrad i na łączące się nieopodal ze sobą Dunaj i Sawę. Gdyby nie umówione spotkanie, to pewnie byśmy stamtąd przed wieczorem nie wyszli. Na szczęście po spotkaniu mogliśmy pojechać na Zemun. To austro-węgierskie miasteczko jest obecnie częścią Belgradu, ale czuje się jego odrębność. Maleńkie domki, śliczne knajpki i cerkiewki, które wyglądają jak kościółki. Gdyby Zemun znajdował się w Austrii czy Niemczech, byłby strefą zamkniętą dla ruchu, a tu leniwe snucie się po urokliwym miasteczku przerywało uskakiwanie przed pędzącymi samochodami. Nie, nie przesadzam. Ani bruk, ani to, że uliczki były naprawdę wąskie, w niczym nie przeszkadzało tamtejszym kierowcom. Oni naprawdę pędzili.

TITO WIECZNIE ŻYWY

Jednak żeby nie było, że jestem jakiś uprzedzony do innych elementów belgradzkiej tradycji, to nie mogę nie zaprosić do Domu Kwiatów, czyli do miejsca, gdzie pochowani są Josip Broz-Tito z żoną. Ten komunistyczny zbrodniarz pogrzebany jest wśród kwiatów, a obok można obejrzeć związaną z nim wystawę poświęconą Jugosławii, a także kultowi przywódcy. Jak podchodzą do tego sami Serbowie? Różnie. Dla jednych marzenie o Jugosławii jest wciąż żywe, bo nie ma wątpliwości, że Serbowie odgrywali w niej kluczową rolę, a państwo to grało w lidze wyższej, niż mu się to należało (głównie dzięki Tito i narodom niezaangażowanym); inni zarzucają mu, że sam nie pielęgnował serbskiej tożsamości, a jako pół Serb, pół Chorwat budował tożsamość jugosłowiańską i komunistyczną. Obie strony mają rację i obie niechętnie przypominają zbrodnie, których dopuścił się Tito, i jego stalinowski z ducha kult. Nawet pociąg, którym podróżował, przypomina ten, którym podróżował Józef Stalin.

Zwiedzanie zwiedzaniem, ale humanistę zawsze musi zainteresować język. I tu także Serbia jest nietypowa. Jest to bowiem chyba jedyny kraj w Europie, w którym na co dzień obywatele posługują się dwoma alfabetami. Dzienniki, tygodniki, miesięczniki i książki wydawane są zarówno cyrylicą, jak i „latynicą". Oba zapisy funkcjonują także w przestrzeni publicznej i choć serbska konstytucja gwarantuje szczególne prawa cyrylicy, a dzieci uczą się jej w szkołach wcześniej niż „latynicy", to można odnieść wrażenie, że alfabet łaciński powoli wypiera cyrylicę. I jeden, i drugi zapis jest jednak obecny, a dla Polaka, który zna język rosyjski, porozumienie się (choć Serbowie niekoniecznie go znają) jest w miarę proste. Szczególnie że Serbowie naprawdę lubią turystów, dzieci, chcą rozmawiać, opowiadać i niewiele jest w stanie skłonić ich do złości na gości. Jednym słowem – warto. Ja wrócę tu na pewno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

FOT. JACEK HEROK/NEWSWEEK POLSKA/REPORTER

Springer po amerykańsku

Tomasz Cukiernik

Amerykański fundusz inwestycyjny staje się współwłaścicielem firmy wydającej w Polsce m.in. „Newsweek" i „Fakt"

Amerykański fundusz inwestycyjny KKR & Co. Inc. za 2,9 mld euro kupił pakiet 43,54 proc. udziałów niemieckiego koncernu wydawniczego Axel Springer SE. KKR to firma inwestycyjna z Nowego Jorku, zarządzająca aktywami od Wielkiej Brytanii, Hiszpanii i Francji poprzez Australię, Indonezję i Singapur do Chin, Indii i Japonii w takich branżach jak finansowa, energetyczna (także odnawialne źródła energii), infrastrukturalna, ochrony zdrowia, nieruchomościowa czy medialna. Fundusz inwestuje również w firmy, które przyczyniają się do rozwiązań w zakresie globalnych wyzwań określonych w ONZ-owskich Celach Zrównoważonego Rozwoju. To cele związane z równością płci, zmianami klimatu, zrównoważonym rozwojem czy sprawiedliwością społeczną. Jak podaje sama firma, na koniec 2018 r. poprzez inwestycje private equity KKR zatrudniał 735 tys. pracowników, a portfolio 107 spółek funduszy private equity generowało roczne przychody na poziomie ok. 147 mld dol. Na koniec czerwca 2019 r. spółka zarządzała aktywami o wartości 205,7 mld dol.

MILIARDERZY FILANTROPI

Kim są ludzie stojący za funduszem, który wcześniej nosił nazwę Kohlberg Kravis & Roberts & Co.? Założycieli było trzech: starszy Jerome Kohlberg jr oraz kuzyni Henry Kravis i George R. Roberts. Wszyscy pochodzili z rodzin o żydowskich korzeniach. Do 1976 r. pracowali w Bear Stearns, banku inwestycyjnym z siedzibą w Nowym Jorku. Wtedy pojawiły się napięcia pomiędzy triem a pracodawcą, co doprowadziło do ich odejścia i założenia w tym właśnie roku firmy Kohlberg Kravis & Roberts. Spółka kupowała niedoszacowane firmy, inwestowała w nie pieniądze swoje i pożyczone na rynku, reorganizowała je, a następnie sprzedawała z zyskiem. KKR mógł się pochwalić zwrotem zainwestowanego kapitału na poziomie nawet 700 proc. W 1987 r. z powodu różnic dotyczących strategii firmy będący mentorem wobec dwóch młodszych wspólników Kohlberg odszedł z KKR, a Kravis i Roberts objęli pełną władzę w spółce. I do dzisiaj obaj dzierżą stanowiska współprezesów firmy. W 1988 r. za rekordowe 25 mld dol. KKR przejął tytoniowo-spożywczego giganta RJR Nabisco, co stało się tematem bestsellerowej książki i filmu „Barbarzyńcy u bram". Jednak nie wszystkie inwestycje przebiegały zgodnie z planem. Na przykład na przejęciu spółek energetycznych TXU Corp. oraz Samson Resources Corp. KKR stracił 4 mld dol. należących do inwestorów po tym, jak obie spółki ogłosiły ochronę przed upadłością. Kohlberg, który na liście najbogatszych ludzi świata „Forbesa" został sklasyfikowany na miejscu 785, z majątkiem o wartości 1,5 mld dol., zmarł w 2015 r. w wieku 90 lat.

eprasa.pl e505c478f7

Henry Kravis urodził się w 1944 r. w Tulsie w Oklahomie w rodzinie inżyniera naftowego, którego partnerem biznesowym był ojciec prezydenta Johna Kennedy'ego. Edukację zakończył w Columbia Business School, gdzie w 1969 r. uzyskał tytuł MBA. Poza KKR Kravis zasiada dziś w zarządach First Data Corporation i ICONIQ Capital, LLC. Pełni także funkcję dyrektora, emerytowanego przewodniczącego lub zarządcy kilku innych instytucji kulturalnych, zawodowych i edukacyjnych, w tym Business Council, Claremont McKenna College, Columbia Business School (współprzewodniczący), Mount Sinai Hospital, Fundusz Partnerski dla Nowego Jorku (założyciel i były szef), Rockefeller University (wiceprezes), Sponsorzy na rzecz Możliwości Edukacyjnych (przewodniczący) oraz Tsinghua School of Economics and Management w Chinach.

WSPIERAJĄCY REPUBLIKANÓW

Kravis wspiera politykę Partii Republikańskiej. Pomagał w kampaniach prezydenckich George'a H.W. Busha, George'a W. Busha oraz Johna McCaina. W 2017 r. przekazał także 1 mln dol. na inaugurację prezydenta Donalda Trumpa, który jeszcze jako kandydat widział go na stanowisku sekretarza skarbu w swojej administracji. W 2005 r. Kravis ufundował nagrodę swojego imienia w dziedzinie przywództwa dla liderów organizacji sektora społecznego. Przekazał 100 mln dol. na cele społeczne i kulturalne, a kolejne 125 mln dol. na budowę drugiego kampusu Columbia Business School w Nowym Jorku. W marcu 2019 r. jego majątek został oszacowany na 5,5 mld dol. i na liście „Forbesa" znajduje się na 317. miejscu wśród najbogatszych ludzi na świecie.

Kravis i Roberts mieli wspólnego dziadka, który prawdopodobnie był imigrantem z Rosji, choć nie jest to potwierdzona informacja. George R. Roberts urodził się w 1944 r. w Houston w Teksasie. W 1966 r. ukończył kalifornijski Claremont McKenna College, a w 1969 r. – prawo na Uniwersytecie Kalifornijskim. Tak jak Kravis również Roberts poza biznesem prowadzi szeroko zakrojoną działalność filantropijną. Pełnił funkcję dyrektora lub zarządzającego kilku instytucji kulturalnych i edukacyjnych, w tym Claremont McKenna College, San Francisco Symphony, San Francisco Ballet, Fine Arts Museum czy Roberts Enterprise Development Fund, który zajmuje się tworzeniem miejsc pracy. Jest także założycielem i prezesem zarządu REDF, organizacji non profit z San Francisco. W 2012 r. przekazał 50 mln dol. Claremont McKenna College. Majątek Robertsa został oszacowany także na 5,5 mld dol. i na liście „Forbesa" znajduje się w tym samym miejscu co Kravis.

PRZEZ NIEMCY DO POLSKI

W czerwcu KKR wezwał akcjonariuszy mniejszościowych do zbycia udziałów w niemieckiej spółce Axel Springer SE. To jeden z największych koncernów medialnych w Europie, działający w ponad 40 krajach, w tym m.in. we Francji, w Hiszpanii, Szwajcarii, Polsce, Czechach, Rosji i Chorwacji. Firma zatrudnia ponad 10 tys. osób, a jej obroty ocenia się na ok. 2,4 mld euro rocznie. W Niemczech wydaje takie gazety jak „Bild" czy „Die Welt". Oficjalnie intencją oferty KKR była inwestycja, która miała na celu wsparcie strategii spółki w partnerstwie z Friede Springer, wdową po zmarłym w 1985 r. Axelu, oraz dyrektorem zarządzającym Mathiasem Döpfnerem, którzy razem bezpośrednio i pośrednio mają ok. 45,4 proc. udziałów w Axel Springer.

– Axel Springer przeszedł udany okres transformacji cyfrowej, dzięki któremu firma stała się wiodącą europejską potęgą cyfrową. W związku z szybkim tempem zmian w sektorze mediów Axel Springer potrzebuje teraz ciągłych inwestycji organicznych i pomyślnej realizacji swojej strategii, aby firma mogła skorzystać z nadchodzących okazji. Zamierzamy wesprzeć Axel Springer w rozwiązywaniu tych problemów długoterminowo i w sposób zrównoważony – powiedział Philipp Freise, członek i szef zespołu European Technology, Media and Telecommunications Industry w KKR.

– Wynik oferty jest silnym fundamentem dla planowanego strategicznego partnerstwa z KKR. W nadchodzących miesiącach skoncentrujemy się na wdrażaniu naszej strategii wzrostu, którą chcemy nadal przyspieszać – powiedział z kolei Döpfner. W związku z niemieckimi przepisami antymonopolowymi transakcja ma zostać sfinalizowana w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Planuje się wycofanie spółki Axel Springer z giełdy do końca tego roku lub w pierwszym kwartale przyszłego.

Aby zrozumieć, czym jest firma Axel Springer, trzeba wrócić do historii. Po II wojnie światowej w Niemczech nie każdy mógł sobie założyć gazetę. Wcześniej przecież była prasa nazistowska, a zaraz po wojnie specjalne licencje na kontrolowane gazety bardzo ostrożnie przyznawały okupacyjne władze amerykańskie czy brytyjskie.

Gdy w 2005 r. amerykańsko-brytyjski inwestor chciał przejąć lewicowy dziennik „Berliner Zeitung", w całym kraju wybuchła histeria. Argumentowano, że zagrozi to wolności słowa i że zagraniczny kapitał nie powinien wpływać na poglądy opinii publicznej. Doktor Tomasz Sommer, redaktor naczelny „Najwyższego Czasu!", który sam miał problemy z wydawaniem gazety na rynku niemieckim, uważa, że jest to kontrolowana sprzedaż wyselekcjonowanemu funduszowi.

– W Niemczech jest zamknięty rynek. To jest totalnie nieprawda, że sobie jakiś fundusz kupił. Mógł kupić, ale to musiało być w jakiś sposób ugadane. Ten główny rynek prasowy w Niemczech, czyli dzienniki i tygodniki, był ewidentnie w koncesjach amerykańskich – komentuje dr Sommer.

CO STANIE SIĘ Z MEDIAMI NAD WISŁĄ?

Jakie znaczenie ma transakcja dla polskiego rynku mediów? Niemiecki koncern Axel Springer SE ma połowę udziałów w grupie mediowej Ringier Axel Springer Media AG z siedzibą w Zurychu, która z kolei jest właścicielem działającej w Polsce spółki Ringier Axel Springer Polska. To jeden z największych wydawców prasy i mediów internetowych w naszym kraju, posiadający takie tytuły jak „Fakt", „Newsweek Polska", „Przegląd Sportowy", „Auto Świat", „Komputer Świat" czy „Forbes" oraz takie serwisy internetowe jak Onet, Business Insider Polska, Vod, Skąpiec, Opineo, Sympatia czy Zumi.

Czyli podobnie jak stało się z TVN w 2015 r., Amerykanie przejmują kontrolę nad kolejną sporą częścią rynku medialnego w Polsce. Czy jednym z rezultatów transakcji będzie zmiana postawy Tomasza Lisa, redaktora naczelnego „Newsweeka Polska", który swego czasu nazywał prezydenta Trumpa m.in. kłamcą, rasistą, agentem Putina i idiotą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Polska złapie równowagę?

Od PLANOWANEGO zrównoważonego budżetu państwa tylko dwa budżety są lepsze: ZREALIZOWANY zrównoważony budżet i – to wariant najlepszy – ZREALIZOWANY budżet z nadwyżką, która pozwala spłacić część długów lub zrealizować inne cele.

Budżet zrównoważony to taki, w którym dochody państwa wystarczają na pokrycie wydatków, bez konieczności zaciągania nowych długów. A tych, jak wiadomo, w imieniu Polski nazaciągano – zwłaszcza za czasów zbankrutowanej PRL, ale i później, w III RP – co niemiara. Dość wspomnieć, że licznik jawnego długu publicznego Polski zbliża się powoli do 1,1 bln zł, a licznik ukrytego długu publicznego – 5 bln zł!

I właśnie zaplanowanie takiego, zrównoważonego budżetu państwa na rok 2020 – po raz pierwszy w III RP – zapowiedział premier Morawiecki. A przecież nie kiedy indziej, ale właśnie w 2020 r. budżet ów będzie musiał ponieść – po raz pierwszy w pełnej skali – koszt gigantycznych wydatków przyobiecanych wyborcom w ramach „piątki Kaczyńskiego" i już w znacznej mierze wprowadzonych w życie. „Piątki", na którą składają się m.in.: 500 zł co miesiąc na każde dziecko, być może coroczna (to jeszcze nie jest pewne) „13." emerytura, obniżenie najniższej stawki PIT z 18 do 17 proc. i zerowy PIT dla osób, które nie ukończyły 26. roku życia i pracują „na etacie".

Nawet jeśli przyjąć – na co zwracają uwagę eksperci – że w projekcie tego zrównoważonego budżetu jest niemało zabiegów księgowych, w tym jednorazowych wpływów – np. spory zastrzyk gotówki z „opłaty przekształceniowej" z OFE, który zostanie zapisany na rachunku państwa w 2020 r. – to jest to budżet ambitny. Zwłaszcza gdy się pamięta budżetowe dokonania Jacka „nie ma i nie będzie pieniędzy" Rostowskiego. Czy aż tak ambitny, że niewykonalny? Inaczej mówiąc: jeśli w takim kształcie – jako zrównoważony – projekt tego budżetu wejdzie w życie, to czy ma on szansę zostać zrealizowany, czy pozostanie na papierze, a nieubłagane realia zmuszą rządzących Polską w przyszłym roku do jego rewizji?

Prawdę mówiąc, nie to jednak jest w tym przypadku najważniejsze. Najważniejsze jest, że swą deklaracją o przygotowaniu projektu zrównoważonego budżetu państwa premier Morawiecki przyznał, że długi, zadłużanie się, a więc życie na kredyt, ponad stan, są złem, czasami – np. w czasie recesji – złem koniecznym, wszelako złem. A zasadą, którą powinny się kierować władze poważnie myślące o przyszłości swego państwa, jest niezadłużanie go.

Chciałoby się, żeby od tej pory dla wszystkich było wreszcie jasne, że budżet państwa obarczony deficytem jest zły, budżet zrównoważony, z zerowym saldem – dobry, a budżet z nadwyżką – najlepszy. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Nawyki pokoleniowe

Stałem niedawno w kolejce do kasy w jednym z supermarketów. Za mną stała pani, której PESEL zaczynał się od liczby mniejszej niż mój. Po chwili powiedziała, że czegoś zapomniała, zostawiła koszyk, ale będzie stała za mną. Do kolejki dołączyli inni. Gdy już płaciłem i pakowałem zakupy, owa pani wróciła i poinformowała osobę za mną, że tutaj stała. Potwierdziłem.

Przy kasie siedział młody człowiek, na oko 25 lat. Spojrzał na ową panią i powiedział uprzejmie: „Proszę pani, w naszym sklepie nie ma praktyki zajmowania kolejki. Zachowała się pani niewłaściwie, bo na przykład gdyby o tym wiedział pan stojący za panią, to mógłby wybrać inną kolejkę, krótszą. A tak on jest stratny. Bardzo nieładnie się pani zachowała". Na twarzy pani i chyba mojej pojawił się wyraz zdumienia. Zapłaciłem i wyszedłem, więc nie wiem, jak dalej potoczyła się konwersacja, ale ten przykład pokazuje, jak bardzo różne są nawyki poszczególnych pokoleń.

Osoby, które pamiętają czasy socjalizmu i kulturę kolejkową, traktują zajmowanie kolejki jako coś naturalnego, normalnego. Dla młodego pokolenia, wychowanego w czasach kapitalizmu, gdy towarów jest w bród, zajmowanie kolejki jest czymś nagannym. Ponadto przedstawiciel młodego pokolenia bez żadnych zahamowań otwarcie wypowiada swój krytyczny pogląd, pouczając osobę o dwa pokolenia starszą. Coś, co dla mojego pokolenia było trudne do zaakceptowania ze względu na szacunek dla starszych. Od razu dodam, że kasjer nie wykazał się brakiem szacunku, a w swojej wypowiedzi był nad wyraz uprzejmy. Po prostu wiek seniora nie jest już tak samo traktowany przez młode pokolenie jak jeszcze kilka dekad temu.

Gdy opowiedziałem tę historię w domu, moje dzieci (18 lat i 22 lata) uznały, że kasjer miał rację, dobrze postąpił i że owa pani zachowała się niewłaściwie. Takich przykładów mogę przytoczyć znacznie więcej. Te różnice w nawykach międzypokoleniowych są bardzo istotne w firmach, gdy pokolenie pamiętające socjalizm zarządza pracownikami, które socjalizmu nie doświadczyły. Bezpośredniość, komunikatywność, otwartość w krytykowaniu status quo to cechy, które mogą być wykorzystane w firmach, jeżeli tylko zostaną stworzone odpowiednie warunki pracy dla młodego pokolenia. Te cechy wspierają również innowacyjność i kreatywność, co dobrze wróży polskiej gospodarce.

Zresztą nowe technologie stopniowo eliminują kolejki, etykiety RFID i kasy samoobsługowe, platforma EPUAP. Jeszcze przez jakiś czas wyzwaniem pewnie pozostaną kolejki w służbie zdrowia ze względu na starzenie się społeczeństwa oraz nawyki kolejkowe pokolenia seniorów. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl e505c478f7

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, ministrem rolnictwa i rozwoju wsi
rozmawia Radosław Wojtas

Zły wizerunek mamy już za sobą

RADOSŁAW WOJTAS: Klacz Pianova, córka Pianissimy, najbardziej utytułowanej klaczy czystej krwi arabskiej z polskiej hodowli została sprzedana na ostatniej aukcji Pride of Poland za 52 tys. euro. Czy to satysfakcjonująca cena za konia z takim rodowodem? Były minister rolnictwa Marek Sawicki nazwał to „wyprzedażą za grosze".

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Na Pride of Poland wystawiane są dobre konie, bo w polskich hodowlach koni arabskich są tylko takie właśnie zwierzęta. Pan Sawicki głęboko się myli w tej sprawie. Wprowadziłem zasadę, że nie sprzedamy koni, jeśli ich wartość nie osiągnie określonej przez nas ceny minimalnej. Co więcej – niewylicytowanych powyżej pewnej ceny nie można kupić przez najbliższy rok, dzięki czemu niemożliwa jest sytuacja jakiejś zmowy albo nieczystych gierek, że na aukcji nie ma zainteresowania, a do sprzedaży dochodzi poza nią. Wyniki finansowe aukcji nie są jednak dla mnie najistotniejsze. Gdybyśmy chcieli bić rekordy, to wystawilibyśmy lepsze konie, a jest w Polsce jeszcze sporo klaczy, za które można otrzymać ponad milion euro. Jednak nie mamy interesu w tym, by pozbywać się najlepszych koni. Dla mnie jednym z wyznaczników sukcesu tegorocznej edycji Pride of Poland jest średnia cena za konia, a ta przy sprzedaży 14 zwierząt za 1 mln 396 tys. euro jest najwyższa od wielu lat (z wyłączeniem roku 2015, kiedy sprzedano światową czempionkę za 1,4 mln euro).

W ubiegłym roku sprzedano tylko trzy konie za 259 tys. euro. W roku 2017 r. – sześć koni za 410 tys. euro. Co było powodem tak złych wyników w poprzednich latach?

Obrońcy dwóch zwolnionych w 2016 r. prezesów państwowych stadnin chcieli popsuć wizerunek polskich hodowli koni arabskich. I rzeczywiście udało im się prowadzić taką narrację, że bez powrotu tych zwolnionych panów Polsce grozi upadek hodowli koni arabskich. Przez kilka lat na świecie panowało zatem przeświadczenie o upadku hodowli konia arabskiego w Polsce. A że środowisko hodowców jest dość hermetyczne, to kupcy nie przyjeżdżali na aukcje, co przekładało się na finansowe klapy. W tym roku przyjechali, a wynik jest zdecydowanie lepszy. Cieszę się, że ten zły wizerunek mamy już za sobą. Wszyscy, z którymi rozmawiałem – a byli to goście z całego świata, włącznie z Marcinem Gortatem, który ma swoje konie w Janowie i bardzo chwali jakość opieki nad nimi – byli zachwyceni tegoroczną edycją imprezy. Mam nadzieję, że ta nieprawdziwa opinia oparta na kłamstwach już nie wróci.

Minister Jan Krzysztof Ardanowski i Iwona Bandych (Poczta Polska) podczas tegorocznego czempionatu w Janowie Podlaskim FOT. MAGDALENA CHALIMONIUK

A może jest tak, że po rezygnacji z usług prywatnej firmy, która organizowała aukcje, państwowe instytucje musiały się tej organizacji nauczyć? Może wcześniej popełniono błędy, których teraz uniknięto? Nie widzi pan takich błędów z ostatnich edycji?

Nie do końca zrozumiałym posunięciem było rozdzielenie aukcji i czempionatu w poprzednim roku. Taką decyzję podjął mój poprzednik. To miało pewne uzasadnienie ze względu na obchody stulecia odzyskania niepodległości, ale to skomplikowało sytuację, bo część ludzi nie chciała przemieszczać się między Warszawą a Janowem. To, co być może było dopuszczalne w ubiegłym roku, już się nie powtórzy, chyba że za sto lat. W tym roku obie imprezy wróciły do Janowa. Zorganizowano je dobrze i udało się to przeprowadzić bez kosztów dla stadnin – zostały one pokryte przez sponsorów.

Może też hermetyczne środowisko źle zareagowało na zwolnienie w nie najelegantszym stylu prezesów państwowych stadnin, których traktowało jak gwarantów jakości?

Bardzo możliwe, że tak było. Ale pozostaje pytanie, dlaczego dwaj niewątpliwie znający się na koniach ludzie nie wychowali swoich następców. Dlaczego nie poprowadzili hodowli w ten sposób, aby przekazać swoją wiedzę? Bo bali się, że ich ktoś wysadzi z siodła? Z różnych powodów nie podjąłbym takiej decyzji, którą podjął minister Jurgiel. Uważam, że jeśli szef ma wątpliwości odnośnie do kwalifikacji pracowników, to ma pełne prawo na ich zmianę. Ale przeprowadza się to w inny sposób. A jeżeli już doszło do zwarcia, to Ministerstwo Rolnictwa powinno wyjść do świata z pozytywnym przekazem o polskiej hodowli. Takie otwarcie by nie zaszkodziło. W tym roku my taką drogą poszliśmy i to przyniosło pozytywny efekt.

Zaprosił pan do współpracy byłego prezesa stadniny w Michałowie Jerzego Białoboka i Annę Stojanowską, zwolnioną w 2016 r. inspektor ds. hodowli w Agencji Nieruchomości Rolnych.

Wychodzę z założenia, że dopóki komuś nie udowodni się winy, dopóty trzeba go traktować jak człowieka niewinnego. Nie potwierdziły się stawiane przez mojego poprzednika wobec pana Białoboka i pani Stojanowskiej zarzuty, więc jako osobom niewątpliwie znającym się na koniach zaproponowałem, aby dołączyli do rady do spraw rozwoju hodowli koni, a oni po pewnym zawahaniu tę propozycję przyjęli. Chociaż nie żywię urazy, to uważam, że to, co wydarzyło się po odwołaniu prezesów, było czymś złym. Obrona tych osób nie powinna polegać na niszczeniu wizerunku Polski i szkodzeniu Polsce. A niezależnie od intencji, które mieli obrońcy prezesów, ten wizerunek został mocno na świecie nadszarpnięty. I wydaje mi się, że takie próby nie ustają. Dość powiedzieć, że przed tegoroczną aukcją w ciągu kilku dni w mediach pojawiło się ok. 600 negatywnych wiadomości o hodowli koni w Polsce. Może komuś zależało, żeby taki obraz w dalszym ciągu utrzymywać, żeby i tegoroczne wydarzenia zakończyły się klęską.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Tropikalny raj dla Polaków

Jacek Przybylski

W Suntago Wodny Świat zakończono prace konstrukcyjne i zaczęto napełnianie wodą pierwszych basenów. Największy zadaszony wodny park rozrywki w Europie ma być otwarty do końca roku. Gdzie jeszcze można przedłużyć sobie lato?

Wręcza. Niewielka wieś położona ok. 55 km od Warszawy i 70 km od Łodzi. To tu, pod gigantycznym dachem, rośnie już ponad 400 egzotycznych palm – sprowadzonych głównie z Florydy, a także z Malezji i Kostaryki. W sumie ma ich być 740. I to one m.in. pozwalają poczuć się we Wręczy niczym na tropikalnej wyspie. Tutaj bowiem od kwietnia 2017 r. na 20 ha (grunty kupiono od ponad 200 prywatnych właścicieli) powstaje Suntago Wodny Świat – Park of Poland. W ramach inwestycji, której koszt szacowany jest na ok. 160–170 mln euro (równowartość 700–744 mln zł), powstaje gigantyczny przeszklony obiekt, który ma być większy od warszawskiego Stadionu Narodowego. Łączna powierzchnia obiektu ma wynieść ponad 70 tys. mkw. Do tej pory do jego budowy zużyto ok. 43 tys. m sześc. betonu, czyli trzykrotnie więcej niż przy budowie katowickiego Spodka. Zainstalowano też ponad 10,5 tys. mkw. szyb, których powierzchnia jest mniej więcej taka jak 20 boisk do koszykówki.

27 sierpnia dobiegły końca prace konstrukcyjne na budowie: zawieszono wiechę i dokończono instalację dachu. – Może być on otwierany lub zamykany, w zależności od pogody. Jego rozsuwanie nie powinno zająć więcej niż kilkanaście minut – mówi „Do Rzeczy" Jakub Bielecki, menedżer projektu Park of Poland. Jak zaznacza, większość basenów będzie wypełniona wodą termalną o temperaturze od 32 do 34 st. C, która będzie wykorzystywana także do ogrzewania budynku. Powstał już odwiert, z którego czerpana będzie woda. Jego głębokość wynosi aż 1720 m. Odwiert przyda się na pewno, bo – jak tłumaczy Jakub Bielecki – gdy ruszą już wszystkie zjeżdżalnie, co godzinę będzie się przelewało aż 1 tys.

eprasa.pl e505c478f7

W Suntago Wodny Świat pod dachem będzie rosło w sumie 740 prawdziwych palm

FOT. JACEK PRZYBYLSKI

m sześc. wody. Latem – gdy nie będzie potrzeby wykorzystywania wody termalnej – będą też wykorzystywane płytsze odwierty.

ODLICZANIE DO STARTU

Całkowita powierzchnia aż 18 basenów, w tym basenów termalnych, wyniesie 3,5 tys. mkw.

Do dyspozycji będą m.in. basen z falami, a także basen z tzw. dziką rzeką. W wodnej dżungli Jamango zaplanowano 32 zjeżdżalnie o łącznej długości 3,2 km, w tym najdłuższą krytą zjeżdżalnię w Europie, o długości aż 320 m (to tak, jakby sunąć w dół ze szczytu wieży Eiffla).

Są też zjeżdżalnie z pontonami jedno-, dwu- oraz czteroosobowymi, a także zjeżdżalnia ośmiotorowa, z której w dół zjeżdża się głową do przodu na specjalnych matach. Aby nie trzeba było samemu taszczyć pontonów na górę, zamontowano dla nich windy.

Specjalnie dla rodziców z dziećmi zaplanowano również wodny plac zabaw o powierzchni 600 mkw. Dla dużych dzieci przygotowano zaś maszynę surf-air, która umożliwia surfowanie pod dachem. W parku wodnym znajdą się też trzy baseny solankowe i pięć basenów wypełnionych wodą z minerałami. Będzie też można wypłynąć z zadaszonej części za basen zewnętrzny z wodą o temperaturze 34 st. C.

W kolejnej strefie – Saunarii, o powierzchni 2,5 tys. mkw. – znajdzie się ponad 10 różnego rodzaju tematycznych saun, a także mineralne baseny zdrowotne, solaria oraz gabinety masażu. W strefie relaksu inwestor zaplanował zakryty basen o powierzchni aż 1 tys. mkw. oraz basen usytuowany obok ogrodu o powierzchni 20 tys. mkw. W strefie relaksu pojawią się kopie fresków z Pompejów, a także nawiązania np. do Malediwów czy Egiptu (w tzw. wiosce egipskiej znajdzie się pięć saun). Tuż przy kasach zainstalowano mozaikę nawiązującą do kambodżańskiej świątyni Angkor Wat.

Inwestor zaplanował też otwarcie pięciu restauracji oraz czterech barów położonych bezpośrednio przy basenach. Otwarcie ma nastąpić jeszcze w tym roku. – W ciągu 60 dni powinniśmy zakończyć prace wykończeniowe i instalacyjne. Później zaczną się oficjalne odbiory. Termin otwarcia zależy od tempa, w jakim przebiegną. Myślimy, że końcówka tego roku jest jak najbardziej realna – mówi „Do Rzeczy" Idan Greidinger, prezes Park of Poland.

– Chcemy stworzyć tropikalny raj, gdzie goście przez cały rok będą mogli odpocząć w cieniu palm. Jeśli chodzi o ceny, to jeszcze ich nie ustaliliśmy. Będą one jednak porównywalne z innymi parkami tego typu. Nie będziemy najtańsi, ale też nie najdrożsi – dodaje. Wiadomo już, że będzie można kupić bilet na wszystkie trzy strefy lub tylko na jedną z nich.

Do projektu parku mają być też dołączone tereny pobliskiego jeziora. – Sezon letni w Polsce robi się coraz dłuższy. Po jeziorze pływać będą rowery wodne i łodzie – zapowiada doradca zarządu Peter Dudolenski.

PRACA W KLAPKACH

Jednocześnie w obiekcie może wypoczywać maksymalnie 10 tys. osób, a parking przed parkiem wodnym będzie mógł pomieścić 2,5 tys. samochodów.

Dla tych, którzy przyjadą na dłużej, powstaje baza noclegowa Suntago Village, która składa się z 92 bungalowów. Zostanie ona otwarta wraz z parkiem wodnym. Dodatkowo w czwartym kwartale 2021 r. mają zostać otwarte dwa hotele, jeden trzy-, a drugi czterogwiazdkowy.

Inwestor szacuje, że w ciągu godziny jazdy samochodem do obiektu będzie mogło dotrzeć aż 8 mln osób. Dojechać do niego można bowiem autostradą A2 i drogą ekspresową S8. Docelowo do parku mają prowadzić trzy drogi dojazdowe. Na razie zbudowana jest jedna, prowadząca do głównego wjazdu do parku. Projekt drugiej jest już gotowy i czeka na dofinansowanie wojewody. Gdy zostanie zrealizowana, powstanie projekt trzeciej drogi.

– Osoby bez samochodu mogą dostać się koleją do pobliskiego Żyrardowa, skąd będą jeździć busy do parku wodnego. Planujemy też budowę ścieżek rowerowych oraz połączenia kolejowego – zaznacza burmistrz Mszczonowa Józef Grzegorz Kurek.

Aby przyciągnąć turystów z całego świata, w kolejnych etapach inwestor zamierza wybudować obok Suntago park rozrywki z rollercoasterami, centrum konferencyjne i handlowe, biurowce oraz apartamentowce. Cała inwestycja ma zająć aż 400 ha.

Park wodny od czerwca prowadzi rekrutację pracowników parku. – Kadrę kierowniczą mamy już skompletowaną. Rekrutujemy kadrę kierowniczą średniego szczebla. Wybraliśmy już pierwszych ratowników, ogrodników, kucharzy i pracowników obsługi klienta. Planujemy zatrudnić pół tysiąca osób i cieszymy się, bo mamy bardzo wielu chętnych na jedno stanowisko – mówi Idan Greidinger, prezes Park of Poland.

„Casting na ratownika do najlepszej pracy pod słońcem" pod koniec sierpnia wygrał Adam Pierściński z Piaseczna, który poza rocznym kontraktem otrzymał też 20 tys. zł nagrody. – Poza typowymi zadaniami ratownika będę też

eprasa.pl e505c478f7

Powierzchnia lustra wody w Termach Maltańskich jest taka jak 30 boisk do siatkówki FOT. MATERIAŁY PRASOWE

występować w roli ambasadora Park of Poland oraz edukować w tematach związanych z bezpieczeństwem w wodzie – mówi „Do Rzeczy" zwycięski ratownik.

REKINY I ZAPADNIE

Jeśli ktoś nie chce czekać na otwarcie Suntago, to już dziś ma w Polsce wiele możliwości, aby przedłużyć lato. Jednym z największych aquaparków w Europie i największym w naszym kraju są poznańskie Termy Maltańskie. To największy tego typu kompleks sportowo-rekreacyjny w Polsce: powierzchnia lustra wody wynosi 5 tys. mkw. i jest porównywalna z 30 boiskami do siatkówki. Na gości czeka kilkanaście mniejszych i większych basenów, w tym pływackie czy ze sztucznymi falami. Mocnych wrażeń dostarcza też 13 zjeżdżalni wodnych, a także dzika rzeka. Jest też Świat Saun – z saunami suchymi, różaną, parową, kamienną, aromatyczną oraz strefa SPA.

W Łodzi od ponad 10 lat działa np. Aquapark Fala – kompleks basenów zewnętrznych i wewnętrznych – w tym z basenem solankowym i solankowymi jacuzzi. W sumie powierzchnia wody zajmuje obszar 3,4 tys. mkw. Jest też strefa saun (dziewięć w strefie i dwie w pobliżu basenów) oraz zjeżdżalnie, w tym trójtorowa zjeżdżalnia rodzinna i zjeżdżalnia typu „kamikadze". Latem przyszłego roku w parku mają pojawić się cztery nowe, całoroczne zjeżdżalnie: trzy pontonowe, w tym ekstremalna zjeżdżalnia z zapadnią w podłodze oraz pionowym zjazdem. W tym roku pojawiły się też dwie nowe piaszczyste plaże, sąsiadujące z plażą dla naturystów. Pod koniec sierpnia padł rekord frekwencji: przez trzy dni łódzki wodny park odwiedziło aż 19 276 osób.

Miłośnicy egzotycznych klimatów i mocnych wrażeń mogą też odwiedzić aquapark w Redzie. Słynie on m.in. z Shark Slide – długiej na 60 m zjeżdżalni, której przezroczysty tunel prowadzi przez akwarium pełne sprowadzonych z odległej Sri Lanki prawdziwych rekinów. Są tu również zjeżdżalnie rodzinne, a także takie atrakcje jak Wave Pool – basen z falami imitującymi morskie, wysokimi na niemal 1,5 m, Volcano – jacuzzi dla 24 osób, tryskające wodą w kolorze lawy, a także River Expedition, czyli 300-metrowa rzeka z delikatnym nurtem wijąca się przez środek hali basenowej. Jeszcze w tym roku w Redzie ma też zostać otwarta pierwsza w Europie zjeżdżalnia obrotowa.

W pobliskim Sopocie na gości czekają m.in. całoroczny basen zewnętrzny, dzika rzeka, cztery zjeżdżalnie oraz sauny. Duży wybór aquaparków jest też na południu Polski. W olbrzymim Parku Wodnym w Krakowie poza basenami, w których temperatura wody waha się od 29 do 32 st. C, są też cztery zjeżdżalnie zewnętrzne, a także jacuzzi solankowe, hydromasaże czy ścianki wspinaczkowe.

W aquaparku w Zakopanem działa z kolei nietypowa huśtawka wodna. Może z niej korzystać kilka osób jednocześnie, wywołując sporą falę. W zakopiańskim wodnym parku jest też zewnętrzny basen balneologiczny z wodą termalną o temperaturze 36–38 st. C. Są też dzika rzeka, pięć zjeżdżalni, a także taras widokowy z widokiem na Tatry.

TROPIKI POD BERLINEM

Tropikalne palmy oraz piaszczystą plażę znaleźć można tuż za granicą Polski. 60 km od stolicy Niemiec w największym hangarze na świecie – pierwotnie projektowanym z myślą o sterowcach – stworzono Tropical Islands. Na „tropikalnych wyspach" może odpoczywać 6 tys. turystów dziennie. Wewnątrz przez cały rok panuje stała temperatura: 26 st. C oraz wilgotność na poziomie od 40 do 60 proc. Do dyspozycji gości są olbrzymie baseny oraz zjeżdżalnie oraz długa na 200 m plaża na kilkaset leżaków. Pod częściowo przezroczystą kopułą rośnie też tropikalny las, który tworzy aż 50 tys. roślin. Żyje tam też wiele egzotycznych zwierząt, m.in. flamingi oraz żółwie. W hangarze stworzono też lagunę z wodospadem oraz grotą.

Polacy chętnie odwiedzają słowacką Tatralandię – największy całoroczny park wodny w tej części Europy, który składa się z części odkrytej (letniej) oraz zadaszonej, w której tropikalny klimat panuje przez cały rok. Hala Tropical Paradise z czterema basenami pokryta jest dachem przepuszczającym promienie UV. W słowackim aquaparku znajduje się również 26 rur i zjeżdżalni, w tym sześć całorocznych. Niektóre – jak np. Delphin – dają możliwość zjazdu z wysokości ponad 17 m – czyli dachu pięciopiętrowego bloku – i maksymalne przyspieszenie: czteroosobowy ponton od zera do 50 km/godz. rozpędza się zaledwie w ciągu jednej sekundy.

U podnóża Tatr Wysokich znajduje się też słowackie AquaCity z 13 zewnętrznymi i wewnętrznymi basenami, w tym z basenami termalnymi o temperaturze od 30 do 38 st. C. Do tego m.in. sauny, jaskinia lodowa, a także zjeżdżalnie, z których najdłuższa (Czarna Dziura) ma 71 m długości.

Największym aquaparkiem w Europie jest jednak na razie hiszpański Siam Park, otwarty przez księżniczkę Tajlandii Mahę Chakri Sirindhorn w 2008 r. Położony na południu Teneryfy park wodny jest uznawany za najlepszy na świecie według portalu TripAdvisor. Na 185 tys. mkw. powstały m.in. otoczony palmami basen z trzymetrowymi falami i ogromną sztuczną piaszczystą plażą, zjeżdżalnie, ogrody oraz restauracje. Wszystkie atrakcje nawiązują stylistyką do architektury Tajlandii.

Już wkrótce w tego typu rankingach Polska będzie wymieniana wśród najlepszych miejsc dla miłośników aquaparków w Europie i na świecie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

TEST „DO RZECZY": SONY XPERIA 1

Imponująca wydajność procesora, fantastyczny wyświetlacz w nietypowych kinowych proporcjach oraz bardzo dobra jakość dźwięku – to najważniejsze zalety nowego flagowca japońskiego producenta.

Wykonana ze szkła oraz z aluminium wodoszczelna obudowa jest elegancka, a jej nietypowe wymiary przyciągają wzrok. Świetne wrażenie robi też niezwykły ekran OLED o przekątnej 6,5 cala, rozdzielczości 1644 x 3840 pikseli i kinowych proporcjach 21:9 (pozwalają one oglądać filmy na całej powierzchni ekranu, a także na wygodną pracę z dwiema aplikacjami jednocześnie). Wyświetlany obraz ma doskonały kontrast, szerokie kąty widzenia i nasycone kolory. Lepsza mogłaby być jednak maksymalna jasność ekranu.

Na pochwałę zasługują też głośniki wykorzystujące system Dolby Atmos, które należą do najlepszych wśród głośników stosowanych w najnowszych flagowcach. Xperia 1 nie ma jacka 3,5 mm, więc słuchawki podłącza się do niej bezprzewodowo lub za pomocą przejściówki na USB typu C.

Sercem smartfona jest obecnie wyjątkowo szybki procesor Snapdragon 855. Do dyspozycji mamy aż 6 GB pamięci RAM oraz 128 GB wbudowanej pamięci, którą można łatwo rozszerzyć za pomocą kart microSDXC.

W najnowszym flagowcu Japończycy zastosowali też wreszcie potrójny aparat, który składa się z trzech 12-megapikselowych modułów: standardowego (f/1.6), szerokokątnego (f/2.4) oraz tele (f/2.4).

Zdjęcia wykonane Xperią 1 mają więc wysoką jakość – na pochwałę zasługują zwłaszcza wyjątkowo dobrze oddane kolory – choć niektórzy producenci smartfonów z najwyższej półki w kategorii fotograficznej wciąż są istotnie lepsi niż Sony. Dużo słabiej, zwłaszcza w gorszych warunkach oświetleniowych, wyglądają selfie zrobione za pomocą przedniego aparatu (8 Mpix, f/2.0).

Minusy? Największym jest zbyt słaba bateria. Pojemność 3300 mAh to za mało, aby móc długo cieszyć się tak fantastycznym ekranem i możliwościami procesora. Na jednym ładowaniu smartfon powinien wytrzymać do wieczora, choć na wszelki wypadek lepiej nosić ze sobą chociaż mały powerbank. W testowanym modelu brakuje też możliwości ładowania indukcyjnego.

Do tego czytnik linii papilarnych nie zawsze działa tak, jak powinien. Czasem wymaga dłuższej chwili, a czasem w ogóle odmawia współpracy. Na szczęście lepiej działa odblokowywanie telefonu za pomocą funkcji rozpoznawania twarzy.

Ostatnia wada to wysoka cena, która wynosi 3999 zł. To więcej, niż trzeba zapłacić za większość flagowców konkurencji. ©℗

Jacek Przybylski

SKUTER, CZYLI HULAJNOGA

Producent nazywa Mini Falcon miniskuterem, w rzeczywistości na pierwszy i każdy kolejny rzut oka jest to elektryczna inteligentna hulajnoga, którą można złożyć i schować w plecaku. Cechy? Bezgłośny silnik 250 W, szybkie ładowanie – bateria pełna jest już po dwóch godzinach podłączenia do źródła energii elektrycznej – urządzenie wyposażone jest też w system odzyskiwania energii kinetycznej. Jedziesz, a bateria się ładuje, aczkolwiek tylko troszeczkę. Fajne? W dodatku skuter, czyli hulajnoga, uzbrojony jest w urządzenia amortyzujące wstrząsy, technologię podwójnego tylnego hamulca, a panel sterujący to wyświetlacz cyfrowy Quick View. Obudowa Mini Falcona wykonana jest z aluminium lotniczego.

Urządzenie kosztuje ok. 1,3 tys. zł, można zamawiać je na portalu Indiegogo. Dostawa w październiku.

POWERBANK I TRANSFER PLIKÓW

Kolejny na rynku funkcjonalnych powerbanków to GoSpace SuperCharger 2.0. Dzięki magazynkowi energii nie tylko umożliwia trzykrotnie szybsze ładowanie niż większość obecnych na rynku urządzeń (a to dzięki technologii PD Fast Charging), lecz także daje możliwość przenoszenia, przechowywania i transferu plików za pomocą „kieszonki" na karty SD. Co to oznacza? W praktyce dzięki SuperCharger 2.0 nie potrzeba dodatkowego czytnika kart, wystarczy urządzenie podłączyć do laptopa, tabletu czy stacjonarnego urządzenia.

GoSpace SuperCharger 2.0 wyposażono w 45W port USB-C 3.1 Power Delivery i dwa porty 18W USB-A 3.0 Qualcomm Quick Charge.

Powerbank kosztuje ok. 320 zł i można zamawiać go na portalu Indiegogo. Dostawa w październiku.

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl e505c478f7

Łukasz Zboralski

W tenisowym świecie mówią o nim – jeden z najcichszych zawodników. Teraz jednak o Hubercie Hurkaczu jest głośno. I może być coraz głośniej

Dżentelmen pogromca

To był środek stanu wojennego. W grudniu 1982 r. Wojciech Fibak miał już 30 lat i nie najlepszy sezon za sobą. Widać było, że to końcówka kariery. W turnieju rangi WCT (dzisiejszy odpowiednik turniejów rangi ATP) w Chicago grał już jego podopieczny – Polak trenował Ivana Lendla. Sam jednak też wystąpił. Ku zaskoczeniu wszystkich doszedł do finału i pokonał w nim Billa Scanlona z USA. Od tego dnia przez blisko 40 lat nikt nie widział Polaka wznoszącego trofeum po wygranym finale znaczącego turnieju tenisowego. Aż do sierpnia tego roku.

Kilkanaście dni temu Hubert Hurkacz pokonał wszystkich w turnieju ATP Winston-Salem. W swojej drabince wygrał m.in. z Hiszpanem Feliciano Lópezem oraz notowanym wyżej od siebie Kanadyjczykiem Denisem Shapovalovem. W dodatku jednego dnia rozgrywał ćwierćfinał i półfinał. – Jestem bardzo wdzięczny mojej rodzinie, mojej siostrze i wszystkim moim dotychczasowym trenerom, którzy pomagali mi jeszcze w Polsce. Zacząłem grać w wieku pięciu lat i oni wówczas wiele mnie nauczyli – mówił po triumfie. – Dużo dla mnie znaczy wsparcie polskich kibiców, dlatego jestem im wdzięczny.

WŚRÓD MŁODYCH WILKÓW

Hurkacz jest jednym z graczy tzw. nowej generacji tenisa, dla których organizuje się specjalne finały ATP. Na taki turniej załapał się w ubiegłym roku wśród siedmiu najlepszych zawodników, którzy mają najwyżej 21 lat. A to jest grupa szczególna. To wśród tych młodych zawodników jest ktoś, kto za jakiś czas zastąpi wielką trójkę: Rogera Federera, Rafaela Nadala i Novaka Djokovica (ten ostatni zapewne ze względu na wiek i formę da się z podium zepchnąć najpóźniej).

Patrząc na to nowe pokolenie, można uzmysłowić sobie, jak poważny sukces osiągnął Hubert Hurkacz, wygrywając turniej ATP i awansując w rankingu na 35. miejsce wśród najlepszych mężczyzn w tenisie. Polaka otaczają bowiem tak samo głodni sukcesu i tak samo ciężko pracujący na niego: 23-letni Rosjanin Daniil Medvedev (obecnie 5. rakieta świata), 22-letni Niemiec Alexander Zverev (6.), 21-letni Grek Stefanos Tsitsipas (8.), 23-letni Rosjanin Karen Khachanov (9.), 22-letni Chorwat Borna Ćorić (12.), 19-letni Kanadyjczyk Felix Auger-Aliassime (19.), 23-letni Włoch Matteo Berrettini (25.), 25-letni Francuz Lucas Pouille (27.), 21-letni Amerykanin Tylor Fritz (28.), 24-letni Australijczyk Nick Kyrgios (30.), 24-letni Brytyjczyk Kyle Edmund (31.), 23-letni Chilijczyk Cristian Garin oraz 20-letni Kanadyjczyk Denis Shapovalov (33.). A to tylko ci notowani dziś wyżej od Polaka. Za nim są też inni pnący się w rankingu, by wymienić choćby Rosjanina Andrieja Rublewa.

eprasa.pl e505c478f7

Grę, ale i dobre maniery Huberta Hurkacza komplementują najwięksi mistrzowie, m.in. Roger Federer FOT. MARK J. TERRILL/AP/EAST NEWS

W czołówce tenisa jest więc dziś niezwykle ciasno nie tylko przez starych mistrzów, którzy wciąż nie zamierzają zejść ze sceny. Pełno tam także młodych wilków. Gdy ogląda się nowe pokolenie na korcie, czasem uderza ich podobieństwo fizyczne – większość jest wysoka i raczej szczupła, a przy tym gra już nowym stylem: silnie fizycznie, agresywnie, a przy tym nierzadko z wielkim sprytem i przebłyskami finezji.

CICHY „ZABÓJCA"

Hubert jest taki sam. Mierzy prawie dwa metry, ale waży jedynie nieco ponad 80 kg. Wydaje się, że młody Wrocławianin gra jeszcze ciut mniej silnie niż część notowanych wyżej tenisistów z jego pokolenia. I mniej dynamicznie. Za to technikę operowania rakietą, ustawiania się do uderzeń czy wreszcie taktykę gry Hubert ma już na światowym poziomie. Według ekspertów ma dziś jeden z najlepszych backhandów na świecie, jego uderzenie porównuje się do gry Andy'ego Murreya. Najważniejsze jest pytanie: Czy jest w stanie grać silniej i bardziej energicznie? Jeśli tak, to przesunie się w rankingu jeszcze daleko do przodu. Od niedawna pomaga mu to osiągać nowy trener. Polakiem zajmuje się teraz Craig Bolton. To były amerykański zawodowiec, który trenował wcześniej Jima Couriera i Johna Isnera, a obecnie równolegle z Polakiem zajmuje się wciąż Steve'em Johnsonem. Sam Hurkacz twierdzi, że amerykańskie podejście do trenowania tenisa bardzo mu pasuje.

Mimo wszystkich podobieństw „Hubi" jest jednak wyraźnie inny niż większość wschodzących gwiazd. Wszystkich ujmuje taktem, pokorą, spokojem. Nie każdy tak sobie radzi z emocjami na kortach. W obecnie rozgrywanym wielkoszlemowym turnieju US Open Grek Tsitsipas nękany skurczami i słabnący w meczu złość rozładował na sędzim. – Ty pewnie jesteś Francuzem? Wszyscy jesteście dziwakami! – wykrzyczał z ławki podczas odpoczynku. I został za to ukarany odebraniem punktu. Hurkacz, który też odpadł z turnieju, bo przegrał swój mecz pierwszej rundy (stoczył wyczerpujący pięciosetowy pojedynek z Francuzem Jeremym Chardym i widać było, że tuż po wygranym turnieju ATP nie zdążył się przed US Open zregenerować), nie denerwował się i nie uciekł do szatni, ale przez 20 min rozdawał autografy kibicom, choć ci z bliska widzieli, że miał łzy w oczach.

Gdyby ustanowić bieguny dżentelmeństwa na kortach, to z jednej strony śmiało można postawić grzecznego Hurkacza, a z drugiej Australijczyka Kyrgiosa. Hubert jest oazą spokoju, zawodnikiem niezdradzającym prawie emocji i to nawet, gdy gra idzie nie po jego myśli (w tym podobny jest trochę do Rogera Federera, o którym mówi z największym uznaniem i na którego grze chce się wzorować). Kyrgios jest wulkanem emocji. Podczas niedawnego turnieju w Cincinnati pod adresem sędziego rzucał wulgaryzmami. A gdy nie dostał zgody na wyjście do toalety, po prostu sam sobie tam poszedł i – co uchwyciły kamery – w korytarzu ze złością połamał dwie rakiety. Po spotkaniu nie tylko nie podał sędziemu ręki, lecz także splunął w jego kierunku. Za to otrzymał gigantyczną karę od ATP – 113 tys. dol. To rozwścieczyło go do tego stopnia, że w Internecie zarzucił organizacji korupcję. Potem przeprosił, gdy dowiedział się, że grozi mu za to kolejna kara – nawet zawieszenie w rozgrywkach. W sumie Kyrgios zapłacił już 250 tys. dol. kar. Na razie go stać, zarobił do tej pory ok. 8 mln dol.

Na oficjalnej stronie ATP Huberta Hurkacza określono „cichym zabójcą". Dobre maniery splatają się bowiem u niego z nieustępliwością i żądzą wygranej.

WEGANIN Z LOTOSEM

Chociaż obecnie idolem Hurkacza jest Federer, ma też coś wspólnego z Djokovicem. Serb na tyle zafascynował się właściwym sposobem odżywiania, że wydał nawet książkę („Serve to win"). Twierdzi, że nie je mięsa z przyczyn etycznych. Skupił się tylko na roślinach, ale jego weganizm jest też od jakiegoś czasu bezglutenowy. Novak uważa, że dzięki temu jest zdrowszy i zniknęły alergie, które mu dokuczały.

Hurkacz też nie je mięsa, ale podkreśla, że odsuwanie mięsa i ryb nie jest związane z żadnym światopoglądem. Chociaż podobno dokładnie analizuje skład swoich posiłków, twierdzi jednocześnie, że zachowuje umiar i nie liczy każdej kalorii. Zresztą od fast foodów i słodyczy stronił podobno od dziecka. Zapewne duży wpływ na to mieli jego rodzice. A ci sami mają sportową przeszłość. Mama była tenisistką, ojciec trenował koszykówkę. Wujek – Tomasz Maliszewski – reprezentował tenisową Polskę w Pucharze Davisa, a dziadek był siatkarzem.

Młody Polak w tym roku stał się milionerem – kwota z wygranych przekroczyła milion dolarów. Ponad połowę tej sumy wygrał w tym sezonie. Za zwycięstwo w Winston-Salem dostał blisko 100 tys. dol. Finansowo Hurkacza wspiera Polski Związek Tenisa. A już podczas US Open Hubert grał z koszulką, na której rękawku widniał znaczek Lotosu. Grupa Lotos tuż przed turniejem podpisała z nim umowę partnerską. Obowiązywać będzie do końca 2022 r. Hurkacz nie tylko dostanie wsparcie, lecz także sam zostanie twarzą skierowanego do najmłodszych Narodowego Programu Upowszechniania Tenisa „Rakiety Lotosu". Być może dzięki niemu wyłowimy następnych mistrzów. Chociaż Hubert prze do światowej czołówki, a pasmo sukcesów mają też właśnie Iga Świątek, Magdalena Linette i Kamil Majchrzak, to dobrze już dziś myśleć o kolejnym pokoleniu. Żebyśmy na triumf w znaczącym turnieju męskim nie musieli czekać kolejnych 40 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl e505c478f7

Z prof. Piotrem Gałeckim, konsultantem krajowym ds. psychiatrii
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Depresja umie się maskować

KATARZYNA PINKOSZ: Nigdy nie żyło się nam lepiej niż obecnie, a coraz więcej z nas nie potrafi cieszyć się tym, co ma. Skąd ta epidemia depresji?

PROF. PIOTR GAŁECKI: Trzy czynniki są odpowiedzialne za zachorowanie na depresję: geny, osobowość i to, co się dzieje wokół nas. Jeśli chodzi o czynniki genetyczne, to dużą rolę odgrywają zmiany epigenetyczne, czyli zmiany w ekspresji genów, które zależą w dużym stopniu od naszych matek i babć. To znaczy: traumatyczne przeżycia, które one przeszły, będą predysponowały do pojawienia się depresji. Ogromną rolę odgrywa też to, co się dzieje z kobietą w ciąży. Ośrodkowy układ nerwowy dziecka zaczyna się tworzyć w pierwszym trymestrze życia płodowego. Jeśli matka przeżywa wtedy stres, negatywne emocje, to dziecko przystosowuje się, by funkcjonować w tych warunkach.

Ważny jest też okres do 12.–15. roku życia. Potem ludzie się nie zmieniają, jeśli chodzi o cechy osobowości. To znaczy: dojrzewają, uczą się na błędach, jednak cechy osobowości są raczej niezmienne. Z tych 15 lat najważniejsze są pierwsze trzy lata życia.

Przed laty było jednak więcej stresujących sytuacji niż teraz: wojny, epidemie głodu, chorób. A takiej skali depresji jak dziś nie było. Chyba stąd właśnie powszechne jeszcze niedawno mniemanie, że depresja to wymysł osób, którym dobrze się dzieje...

To prawda, geny mamy takie same, osobowość też. Zmienił się świat. Żyjemy bardzo szybko, raczej samotni, mimo że w coraz większych skupiskach ludzkich. Jest duża rywalizacja, a będzie jeszcze większa. 100–200 lat temu ludzie byli w stanie przewidywać zagrożenie na podstawie niewielkich skrawków informacji. Teraz jesteśmy zalewani informacjami, wiele z nich jest negatywnych. Organizm reaguje na nie jak na realną sytuację zagrożenia. Cały czas funkcjonuje w realnej sytuacji lęku.

Organizm reaguje tak samo na lęk przed stratą pracy jak na realną sytuację, gdy szef wręcza nam wypowiedzenie?

Tak. Wzrasta liczba czynników prozapalnych, wzrasta aktywność osi podwzgórze–przysadka–nadnercza, gdzie jest wydzielany kortyzol, hormon stresu. Wysoki poziom kortyzolu przez krótki czas mobilizuje, jeśli jednak utrzymuje się długo, to sprzyja pojawieniu się depresji.

Depresję ma co piąty nastolatek, coraz częściej to problem dzieci. Dlaczego?

Brak oparcia w rodzinie. Rodzice zwykle długo pracują, późno przychodzą do domu, praca stała się ważniejsza niż życie rodzinne. Korporacje, firmy, państwo – wszyscy oczekują zwiększonej produktywności. Ostatnio w radiu słyszałem, że dużo pracujemy, ale jesteśmy za mało produktywni. Nie wierzę, że gdy ktoś pracuje

eprasa.pl e505c478f7

FOT. ADOBE STOCK

osiem–dziewięć godzin dziennie, to po powrocie do domu będzie grał z dzieckiem przez trzy godziny w gry planszowe. A jak ma dwoje czy troje? To musi się przełożyć globalnie na sytuację rodziny. Dwadzieścia lat temu, gdy ktoś miał predyspozycję do zachorowania na depresję, zaczynał chorować w wieku 30–40 lat. Teraz, gdy brakuje wsparcia rodziny, dużo mniejsze niepowodzenie może wywołać epizod depresyjny. A zauważmy, że oczekiwania wobec dzieci są znacznie większe.

Polska jest jednym z krajów, w którym rozpowszechnienie depresji jest niższe niż w krajach Europy Zachodniej. To znaczy, że będzie jej więcej?

Tak, we Francji, w Niemczech czy w krajach Beneluksu rozpowszechnienie depresji jest jeszcze większe. Czeka nas wzrost zachorowań na depresję.

Często uważa się, że depresja jest wtedy, gdy osoba nie ma siły wstać, leży, nie jest w stanie funkcjonować. Czy dopiero wtedy można ją zdiagnozować?

Pierwszy epizod depresji przebiega często niezauważenie. Jest raczej traktowany jako przygnębienie, gorsze dni. Jeśli jednak takie objawy jak obniżony nastrój, przygnębienie dominują w ciągu dwóch tygodni, to już powinna zapalić się lampka ostrzegawcza. Kolejny objaw to anhedonia: niezdolność do odczuwania przyjemności lub mniejsza przyjemność z rzeczy, które wcześniej ją sprawiały. Ktoś lubił chodzić grać w piłkę ze znajomymi, grać w karty, a teraz go to nie cieszy, nie chce się umawiać.

Kolejny objaw: stałe uczucie zmęczenia, często powiązane z zaburzeniami koncentracji i pamięci świeżej. Pamiętamy, co było miesiąc temu, ale nie to, co się zdarzyło niedawno. Zapominamy, czy coś zrobiliśmy. Niedawno przyszła do mnie pacjentka, powiedziała, że zapomniała odebrać dzieci z przedszkola. Inny objaw to różnego rodzaju lęk, np. że zaraz coś złego się stanie.

Pojawiają się też: bóle głowy, zawroty, szum w uszach, wrażliwość na światło, bóle mięśni, karku, ramion, które są mobilizacją układu wegetatywnego w odpowiedzi na lęk. Gdy mamy realną sytuację zagrożenia, np. stoi przed nami groźny pies, spinamy ciało. Gdy boimy się, że szef nas zwolni, jesteśmy permanentnie w podobnej sytuacji. Potem są konsekwencje: depresyjne myśli, depresyjne widzenie teraźniejszości i przyszłości, myśli rezygnacyjne, unikanie kontaktów ze znajomymi, mniejsza dbałość o siebie, mniejsze libido, rozważania o śmierci. Jeszcze nie próba samobójcza, ale tzw. życzenie śmierci: nie zabiłbym się, jednak gdybym miał umrzeć we śnie, to miałbym spokój. Pojawiają się poczucie winy i niska samoocena: „Nic mi się nie udaje, nigdy mi się nie udawało".

Są osoby, które potrafią maskować depresję?

Tak, starają się normalnie funkcjonować, maskują depresję. Powinny zwrócić uwagę: częste bóle głowy, brzucha, problemy ze snem, irytacja i drażliwość na rzeczy czy sytuacje, które wcześniej były obojętne. Czasem przychodzi do mnie na wizytę kobieta, która mówi: „Nie wiem, co się stało, ale tak się zirytowałam, że szarpnęłam dziecko".

U mężczyzn depresja może objawiać się inaczej?

Częściej pojawiają się drażliwość i agresja, bo mężczyźni z natury są bardziej agresywni. Poza tym mężczyźni do psychiatry idą później, gdy faktycznie już nie są w stanie funkcjonować. Pięć razy częściej niż kobiety popełniają samobójstwa.

Są psychicznie słabsi niż kobiety?

Nie, później zaczynają się leczyć. To tak, jakby ktoś przyszedł w trzecim stadium nowotworu do onkologa. Kobiety potrafią prosić o pomoc, gdy znajdują się w krytycznej sytuacji, łatwiej rozładowują napięcie. Zwolnili ją z pracy – dzwoni do matki, koleżanki, ciotki, płacze. Kobieta nawet na kierowniczym stanowisku, która popłacze się w pracy, będzie akceptowana i pocieszana. Mężczyzna tak się nie zachowa. Reaguje raczej agresją, także skierowaną na siebie.

Poza tym mężczyźni są z natury bardziej agresywni, wybierają też bardziej skuteczne metody samobójstwa, takie jak skok z wysokości, wypadek komunikacyjny. Kobiety raczej próbują zatruć się lekami, gazem; to częściej można odwrócić. Inne są też przyczyny zamachów samobójczych – u mężczyzn jest to przede wszystkim strata: zostawiła go kobieta, stracił pracę, dużo pieniędzy. Pojawiają się agresja i w 70 proc. przypadkach alkohol, który prowokuje podejmowanie ryzykownych decyzji.

Kiedy jest moment, że trzeba zacząć przyjmować leki?

O tym powinien zdecydować psychiatra. Warto to zrobić nawet, jeśli jest łagodny epizod depresyjny, ale pojawiał się już wcześniej. Leki są bezpieczne, nie uzależniają, u ok. 70 proc. osób po trzech miesiącach leczenia uzyskuje się remisję i powrót do normalnego funkcjonowania.

Ponad 1,7 mln Polaków w ubiegłym roku przyjmowało codziennie leki przeciwdepresyjne. Czy to nie za dużo? Nie przepisuje się ich zbyt często?

Nie, bardziej bym martwił się osobami, które nie przyjmują leków, a powinny. Blisko jedna czwarta pacjentów się nie leczy. Ponad 2,5 mln, czyli ponad 10 proc. dorosłych Polaków, ma objawy depresji. Ludzie z depresją żyją krócej. Nieleczona depresja to czynnik ryzyka: nie tylko chorób serca, lecz także zespołów otępiennych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Piotr Gałecki *– kierownik Kliniki Psychiatrii Dorosłych UM w Łodzi, konsultant krajowy ds. psychiatrii.*

eprasa.pl e505c478f7

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Kat ścina kata

Antoni Strzelbicki to postać niezwykła, barwna jak cała epoka, w której wypadło mu żyć. Sługa, szermierz, awanturnik, uczestnik konfederacji barskiej, a wreszcie… krakowski kat, przedstawiciel budzącego zgrozę cechu, który posyłał na tamten świat złodziei, morderców, rozbójników i szelmów. Człowiek jak trędowaty – hańbiło samo dotknięcie jego szaty albo wzięcie do rąk miecza. Nigdy zapewne nie spodziewał się, że skończy tak jak większość jego klientów… na szafocie w zimny i ponury styczniowy dzień 1782 r.

Z zeznań, które zapisano w aktach sądowych, złożyć można niezwykły życiorys przyszłego mistrza katowskiego, który choć brzmi nieco fantastycznie, wart jest wspomnienia. Strzelbicki urodził się we Lwowie i jako młodzieniec służył po dworach szlacheckich. Traf jednak chciał, że służąc u Pawła Michała Mostowskiego, starosty piotrkowskiego, wyzwał na pojedynek niejakiego Miłobędzkiego, którego zabił, odcinając mu w czasie walki głowę. Zdarzenie to zmieniło jego życie – odtąd wytykano go palcami i nazywano powszechnie „katem". Strzelbicki musiał uciekać, spróbował służby u kasztelana Tarły, ale szybko dogoniła go złowroga sława. Chciał wstąpić do dominikanów w Żółkwi, a potem do bernardynów w Krakowie, jednak surowe życie zakonne odpowiadało mu jeszcze mniej niż służba u możnych. Ostatecznie, wyzywany od katów, postanowił jak na szyderstwo zostać jednym z małodobrych oprawców. W tym celu terminował w Kieżmarku u tamtejszego mistrza, płacąc mu za naukę zawodu, ale i leczenia chorych – jak podają Jan Kracik i Michał Rożek – 50 czerwonych złotych i dobrego konia. Po roku zjawił się w Krakowie, gdzie został pomocnikiem kata Franciszka, występował także jako oprawca

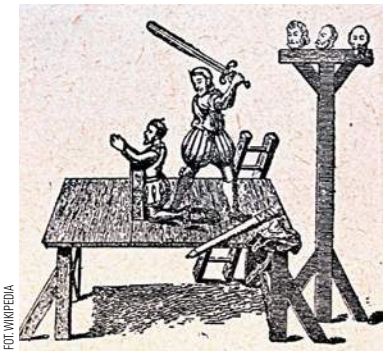

FOT. WIKIPEDIA

objazdowy, jeżdżąc na ścinanie, wieszanie i łamanie kołem do Nowego Sącza, Sandomierza i Kęt.

Po śmierci starego małodobrego, ok. roku 1761, został głównym katem miasta Krakowa. Do jego obowiązków należało, poza przesłuchiwaniem obwinionych i wykonywaniem wyroków, także dbanie o stan sanitarny miasta: czyścił fosę pod Bramą Sławkowską, grzebał skazanych, dbał o czystość latryn i kabatów na ratuszu. Łapał psy, jak podają akta: „raz na tydzień, to jest we wtorek, prócz miesiąców Julii et Augustii, w które ma we zwyczaju dwa razy w tydzień łapać", wywoził je i zabijał poza murami miasta. Mistrz Antoni wsławił się też patriotyczną postawą, uczestnicząc w obronie miasta w czasie konfederacji barskiej w 1768 r., kiedy 22 czerwca niewielki oddział Rosjan dowodzony przez płk. Bocka próbował niespodziewanym atakiem zająć miasto. Kat miejski postrzelił wówczas nieprzyjacielskiego dowódcę. Pod koniec lat 80. sława Strzelbickiego była znaczna, jak pisał anonimowy autor pamfletu „Antoni Strzelbicki, kat krakowski, w roku 1782 ścięty, powieść prawdziwa":

W starego kraju naszego stolicy
W Krakowie przed siedmiu laty
Był kat, co sławą przeszedł
wszystkie katy
Kat wcale nie po prostu,
Człek hoży z miny i średniego wzrostu…

Kariera Strzelbickiego zakończyła się niespodziewanie ogromną katastrofą w 1781 r., kiedy władze miasta rozpoczęły walkę z panoszącymi się na ulicach i targach złodziejami. Wówczas schwytano niejakiego Sebastiana Kasperkiewicza, który oskarżony o liczne kradzieże wymienił kolejnych wspólników; w tym Sabinę i Tomasza Jareckich, małżeństwo rabusiów, powiązanych blisko ze… Strzelbickim, u którego pracowała jako szynkarka niewiasta. Kat brał udział w bandyckim procederze wspomnianej pary, służąc za pasera; w domu ukrywał złodziei, w dodatku nieco wcześniej wyprawił im wesele. Wkrótce zatem schwytano mistrza i wsadzono do celi. Zeznania Jareckiego pogrążyły go ze szczętem – oskarżył kata na przykład o to, że darował mu dwa zegarki ukradzione proboszczowi parafii św. Szczepana w zamian za czapkę i pewną kwotę pieniędzy.

Mistrz próbował się jeszcze ratować – twierdził w czasie procesu, że z Jareckim rozmawiał tylko o znalezieniu pracy, wreszcie wyznał, że jest szlachcicem; być może dlatego, jak podają Kracik i Rożek w „Hultajach, złoczyńcach i wszetecznicach w dawnym Krakowie", zmieniono mu karę z powieszenia na honorowe ścięcie. 12 stycznia 1782 r., na szafocie, Strzelbicki wygłosił ponoć wzruszającą mowę do zgromadzonych, piętnując własne występki i błagając o wybaczenie tych, których okradł. Wyrok wykonał jego następca – Sebastian Kuszewski, przed ścięciem zaś włożono na Strzelbickiego (zapewne na szyję) stryczek od szubienicy, piętnując go jako małodobrego; aby krakowski lud brał tym większy przykład i naukę z jego kaźni. ©℗

eprasa.pl e505c478f7

TOMASZ KRÓLIKOWSKI POLECA KULEBIAK Z KASZĄ I GRZYBAMI

Idzie jesień, pojawiają się grzyby, warto je więc wykorzystywać w kuchni. Świeże grzyby świetnie sprawdzą się jako ważny składnik kulebiaka z kaszą gryczaną i warzywami. Jeśli więc przyniesiemy z lasu trochę świeżych borowików, to możemy wykorzystać je do przygotowania pysznego kulebiaka.

Składniki (na 2 średnie):

- 100 g roztopionego masła
- 40 g świeżych drożdży lub 1 saszetka suchych
- 3–3,5 szklanki mąki pszennej
- 120 g kwaśnej, gęstej śmietany
- 3 jajka
- 1 szklanka kaszy gryczanej
- 300 g suszonych borowików
- 600 g świeżych borowików
- 4 ząbki czosnku
- 2 duże marchwie utarte na grubych oczkach
- 100 g świeżych siekanych ziół – natka pietruszki, koperek
- 250 g cebuli
- sól i pieprz do smaku

Przygotowanie:

Drożdże rozkruszamy, dodajemy 3–4 łyżki wody, rozcieramy na pastę i odstawiamy do wyrośnięcia. Gdy rozczyn wyrośnie, dodajemy sól, mąkę (ok. 2,5 szklanki z trzech przepisowych), roztopione i lekko wystudzone masło, śmietanę i jajka. Masło rozpuszczamy, lekko studzimy i dodajemy do ciasta. Ciasto wyrabiamy, a gdyby było zbyt luźne, można dodać pozostałe pół szklanki mąki – gdyby było zbyt twarde, dodajcie kilka łyżek wody.

Farsz: grzyby suszone należy namoczyć na 1 godzinę i gotować ok. 40 min w lekko osolonej wodzie, następnie odsączyć i posiekać. Świeże grzyby należy oczyścić, pokroić w ćwiartki i podsmażyć na złoto na oleju z siekaną cebulką, marchwią i czosnkiem. Kaszę gotujemy al dente.

Całość łączymy z siekanymi ziołami i doprawiamy do smaku. Z ciasta wałkujemy placek o grubości 0,5 cm. Na ciasto nakładamy farsz i zwijamy w roladę. Odstawiamy ciasto do ponownego wyrośnięcia na ok. 15 min. Kulebiak pieczemy 35–45 min w temperaturze 180–190 st. C. ©℗ *oprac. raw*

FOT. FORUMGWIAZDY.COM.PL/FORUM

Tomasz Królikowski jest szefem kuchni, doradcą kulinarnym, współpracuje z TVP2.

REKLAMA

Prestige MJM · UTA United Talent Agency · Regent Warsaw Hotel · RMF Classic · wprost · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · T3 · WP · cgm.pl · Ströer · Vixon · Press Service · pap · TVS · TV Toruń · pro-art

eprasa.pl e505c478f7

ROSJANIE KONTRA ROLLS-ROYCE

Aurus Senat – ten sam model limuzyny, którą jeździ prezydent Rosji Władimir Putin – jest już do kupienia przez każdego chętnego. W Moskwie oficjalnie otwarto pierwszy salon tej luksusowej rosyjskiej marki. Senat S600 – czyli podstawowa wersja limuzyny – ma 5,63 m długości, 2,02 szerokości oraz 1,69 m wysokości. Dla naprawdę bogatych urzędników, oligarchów i azjatyckich mafiosów ciekawsza będzie jednak zapewne wersja L700, która mierzy ponad 6 m. Pod maską znalazł się 4,4-litrowy silnik V8 o mocy 590 KM, który współpracuje z dziewięciostopniową automatyczną skrzynią biegów. Cena podstawowej wersji wynosi niemal 1,1 mln zł (bez dodatkowych opcji).

Wkrótce do moskiewskiego salonu Aurusa trafić mają też SUV Komendant oraz minivan Arsenal. W połowie następnej dekady Rosjanie chcą produkować luksusowe samochody napędzane wyłącznie silnikiem elektrycznym. Nowy rosyjski producent luksusowych samochodów planuje szybką ekspansję na rynek chiński. Menedżerowie Aurusa chcieliby też podbić Bliski Wschód, Europę oraz północną Afrykę.

TESLA OFICJALNIE DLA POLAKÓW

Producent popularnych „elektryków" oficjalnie poszerzył sprzedaż o kolejne cztery kraje: Polskę, Węgry, Rumunię i Słowenię. Tesla Model 3 w najtańszej konfiguracji z maksymalnym zasięgiem wynoszącym 409 km kosztuje 39,5 tys. euro, czyli ok. 172 tys. zł netto.
Samochód od zera do pierwszej setki przyspiesza w 5,6 s, a jego prędkość maksymalna jest ograniczona do 225 km/godz. Jeżeli chcemy, by auto mogło poruszać się w pełni autonomicznie, to trzeba do rachunku doliczyć jeszcze 5,3 tys. euro, czyli 23 tys. zł netto. Płatna przy zamówieniu zaliczka za ten modny elektryczny pojazd wynosi 2 tys. euro, czyli niecałe 9 tys. zł, a dostawy można się spodziewać najwcześniej na początku przyszłego roku. Bogatsi Polacy mogą zamawiać też Model S za niemal 400 tys. zł, a także Model X za ponad 420 tys. zł.

ZMIANY W NIEMCZECH

Rząd w Berlinie wprowadza pakiet zmian w prawie drogowym, który umożliwi wreszcie niemieckim kierowcom jazdę po buspasach w przypadku, gdy w pojeździe jadą co najmniej trzy osoby. Pomysł na tzw. carpooling świetnie sprawdza się w wielu krajach świata. Niestety, w Polsce załadowany do pełna samochód osobowy ciągle musi stać w korku, aby samotny taksówkarz niczym panisko mógł pędzić po buspasie.

Wśród wielu zmian jest też surowsza kara dla kierowców utrudniających stworzenie korytarza życia na autostradach (mandat za to wykroczenie wzrośnie do 320 euro, a kierowca może być ukarany dodatkowo pozbawieniem prawa jazdy na miesiąc). ©℗ ***Jacek Przybylski***

Model 3

Model S

Model X

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6)

eprasa.pl e505c478f7

eprasa.pl e505c478f7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Casablanca

Dzień sowieckiej agresji na Polskę (17 września 1939 r.) nie dla wszystkich Polaków był najazdem i tragedią. Dla polskich komunistów był dniem szczęścia, spełnienia marzeń – mieli wreszcie żyć w ojczyźnie światowego proletariatu. Pognali więc tam jak na skrzydłach z własnej nieprzymuszonej woli. Oprócz Wandy Wasilewskiej i Janiny Broniewskiej znalazła się wśród nich młoda pisarka i poetka Elżbieta Szemplińska-Sobolewska. Jeszcze przed wojną publikowała w „Robotniku", „Lewym Torze" i innych komunizujących pismach. Złośliwcy dokuczali jej, że jak na komunistkę ma nieproletariackie pochodzenie. Pochodziła z zamożnej, inteligenckiej rodziny – jej ojciec był ekonomistą, bankowcem. Studiowała prawo oraz polonistykę razem z Janką Dłuską, późniejszą żoną Miłosza. Przesiadywała w warszawskich kawiarniach – Simie, Ziemiańskiej, gdzie wpadła w oko Witkacemu, który namalował jej dwa portrety.

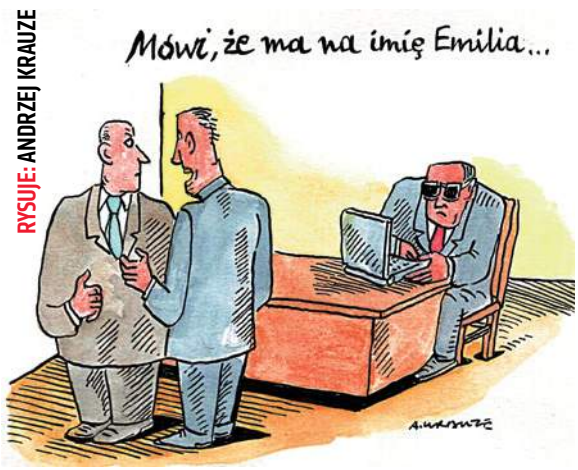

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

W polskojęzycznych gadzinówkach – „Nowych Widnokręgach", „Czerwonym Sztandarze" – publikowała wiersze, a właściwie agitki – przykłady zdrady, fanatycznego oddania okupantowi, oburzające Polaków, którzy się również we Lwowie znaleźli, zwłaszcza Broniewskiego. W „Prawdziwej ojczyźnie" pluła na przedwojenną pańską, burżujską Polskę, pełną nędzy, terroru i bezprawia, której klęski wcale nie żałowała. W innych „wierszach" opiewała „wrzesień wyzwolenia", „ojczyznę sierpa i młota, Lenina i Stalina". Oprócz tego, jak pisał w „Moim wieku" Aleksander Wat: „donosiła, agitowała, wściekała się. Nazywano ją więc megierą".

Po napaści Hitlera na Związek Sowiecki razem z mężem Zygmuntem Sobolewskim oraz ich maleńkim synkiem zostali ewakuowani do Samarkandy, Kujbyszewa, Taszkientu. Tam właśnie przyszło opamiętanie. Doświadczyła bowiem wszystkich nieszczęść – chorób, nędzy, głodu, śmierci dziecka. Wyszli jednak z Rosji z armią Berlinga i już w PKWN-owskim Lublinie, jako wypróbowanych towarzyszy, wysłano ich na placówkę do Luksemburga. Jej mąż został konsulem komunistycznej polskiej ambasady i zobaczyli inny świat – spokojny, bogaty. Postanowili zostać na Zachodzie, napisać wielką książkę o sowieckim „raju". Odmówili powrotu i uciekli. Popełnili jednak wielki błąd, przywłaszczając sobie – na nową drogę życia – kasę ambasady. Udało im się dostać do Paryża, skąd planowali dotrzeć do Casablanki i tam osiąść. To im się nie udało. „Największy skandal w skali światowej, Szemplińska z mężem konsulem w Luksemburgu zdefraudowali auto, 20 tysięcy złotych dolarów, wszystkie papiery konsulatu. Co będzie z nimi? Rosja ma długie ręce, NKWD może ich zabić. Biedni ludzie. Nikt nie ujdzie Rosji" – pisała Maria Dąbrowska. I tak się stało. W 1951 r. mąż Szemplińskiej-Sobolewskiej wypłynął statkiem do Włoch i zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Została sama z 14-letnim synem w dramatycznej sytuacji – w nędzy, bojkotowana przez emigrację, która nie zapomniała jej lwowskich wierszy. Pisała błagalne listy do wysoko teraz postawionych byłych przyjaciół, zwłaszcza do Putramenta. „Na rany Chrystusa, przebacz" – prosiła. Zlitował się i w 1962 r. pomógł jej wrócić do Polski. Była mocno schorowana. Dostała rentę i małe mieszkanie. Po śmierci męża stała się bardzo wierząca. Pisała przede wszystkim wiersze religijne albo o swojej samotności, starości, żalu za życiowe omyłki. Bardzo chciała zmyć piętno zdrajczyni, ale mało kto wierzył w jej przemianę. Wszyscy się od niej odwracali, włącznie z rodziną (z wyjątkiem brata Stefana). Planowała napisać wspomnienia, ale bała się sowieckich służb, które mogłyby zemścić się na jej synu i wnuku. Gdy była już zupełnie niesprawna, dostała miejsce w ZBoWiD-owskim domu dla zasłużonego kombatanta. Zmarła w osamotnieniu w wieku 81 lat w 1991 r. ©℗

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska na starość pisała wiersze religijne. Chciała zmyć piętno zdrajczyni, ale mało kto wierzył w jej przemianę. Wszyscy się odwracali

eprasa.pl e505c478f7

OKIEM JASTRZĘBIA

Uśmiecham się, ma być lepiej

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Niedawno czytałem. Tak, skojarzyło się mi jako recepta na nich, przewrotna, złośliwa, złowieszcza. Nie powinienem pisać „oszołomów", bo to język nienawiści, więc nie będę szedł w takie słownictwo. Oszołomy mogłyby poczuć się dotknięte. Jedna z zasad fizyki mówi, że dotknięty oszołom dostaje gwałtownej energii, która zamienia się w wycie. Na co komu ten hałas? Nie byłem najlepszy z fizyki. Tokarczuk Olgę czytałem, znaczy jej „Opowiadania bizarne", ze szczególnym uwzględnieniem opowiadania „Zielone dzieci, czyli opis dziwnych zdarzeń na Wołyniu sporządzony przez medyka Jego Królewskiej Mości Jana Kazimierza, Williama Davissona".

Lasy Amazonii płoną (to jest gwałtowna zmiana wątku w tym artykuliku). Znana podróżniczka Beata Pawlikowska jest tym przejęta, ale bez paniki. Na swoim blogu napisała, co trzeba robić, żeby te lasy nie płonęły. Oto słowa pani Beaty: „Jeśli chcecie pomóc Amazonii, proszę, skoncentrujcie się na czynieniu dobra w swoim codziennym życiu. Oto kilka sposobów: przebacz komuś, do kogo czujesz urazę, podnieś śmieci, które ktoś bezmyślnie wyrzucił, znajdź czas, żeby porozmawiać z kimś, kto ciebie potrzebuje, przestań używać plastiku, kupuj tylko tyle żywności, ile naprawdę potrzebujesz, pomóż innym kierowcom włączyć się do ruchu, uśmiechaj się, bądź uprzejmy, bądź życzliwy dla osób, z którymi stoisz w kolejce, powiedz komuś komplement, daj napiwek kelnerowi [...]". Przez pół dnia łaziłem, uśmiechając się dookoła. Z całą pewnością ściągnąłem na siebie wiele dziwacznych spojrzeń, szczególnie w windzie, ale nie wiem, czy pomogłem lasom w Amazonii. Gęba trochę pobolewa, ale lasy ważniejsze.

Z kolei były mąż Beaty Pawlikowskiej Wojciech Cejrowski także zabrał głos na temat lasów Amazonii i byliśmy przy tej okazji świadkami starego mechanizmu: wyciągamy z kontekstu tylko pasujący nam cytacik i robimy z Cejrowskiego wariata. Wyciągnięto słowa, że według Cejrowskiego lasy Amazonii są niepalne. Bez podania kontekstu brzmi rzeczywiście dziwacznie, skoro lasy płoną, ale kontekst był taki, że przede wszystkim są to podpalenia. Poza tym pokazywał skalę manipulacji przy tym temacie różnych elit zbijających majątki na ociepleniu. Nie pierwszy to przypadek, kiedy rechot próbuje zabić prawdę.

A teraz wracamy do „Zielonych dzieci..." Tokarczuk. W fantastycznym opowiadaniu żyje plemię zielonych ekologicznych ludzi. Zielone dzieci z tego plemienia któregoś dnia zabierają ze sobą część szlachetniejszej chyba społeczności do lasu właśnie (ci szlachetni idą tam dobrowolnie). Tak mi się skojarzyło, że to mogłaby być recepta na tych szlachetnych dziś (nie napiszę „oszołomów"), żeby sobie szlachetnie, ekologicznie poszli do lasu. A ja się będę uśmiechać, pomagając lasom w Amazonii... ©℗

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Włamanie z kosmosu

MARCIN MAKOWSKI

Szekspirowski Hamlet wołał: „O, Horacy, więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się ich śniło waszym filozofom". Jak sądzę, nie zdawał sobie sprawy, jak celne będą jego słowa na początku XXI w., gdy niebo stało się miejscem wypraw badawczych i celem podboju. Oto bowiem po raz pierwszy w historii dokonano... przestępstwa w kosmosie. Odpowiada za nie amerykańska astronautka Anne McClain, członek misji na Międzynarodową Stację Kosmiczną (ISS). Co ciekawe, już wcześniej przeszła do historii jako pierwsza lesbijka na orbicie okołoziemskiej.

Anne McClain już wcześniej przeszła do historii jako pierwsza lesbijka na orbicie okołoziemskiej

Niestety, gdy przebywała na pokładzie ISS, była akurat w trakcie procesu rozwodowego ze swoją małżonką Summer Worden. Kobiety były ze sobą od 2014 r., jednak związek nie przetrwał częstych „wylotów" z domu McClain, od grudnia 2018 r. do czerwca 2019 r. stacjonującej na międzynarodowej bazie w roli inżyniera pokładowego. Jak się okazało, kobieta z pokładu stacji sprawdzała stan konta bankowego Summer Worden, używając do tego jej danych oraz hasła. Ponieważ związek był w trakcie procesu sądowego oraz ustalania winy i podziału majątku, przebywająca na ziemi partnerka zgłosiła całą sprawę do NASA. Amerykańska agencja kosmiczna wszczęła z kolei oficjalne śledztwo, a po powrocie astronautki i jej przesłuchaniu potwierdzono, że faktycznie korzystała z komputera pokładowego do popełnienia zarzucanych jej czynów.

Tym samym stała się również pierwszą osobą, w stosunku do której prowadzono „śledztwo pozaziemskie" oraz której udowodniono winę. Niestety, tym samym kobieta, choć wcześniej zasłużyła się m.in. lotami bojowymi w Iraku i skończyła akademię wojskową w West Point, najprawdopodobniej przekreśliła swoje szanse na uczestnictwo w programie Artemis, który zakłada załogowy powrót Amerykanów na powierzchnię Księżyca. W koncepcji NASA ma to być najważniejsza misja testowa w kontekście wysłania człowieka na Marsa oraz postawienie fundamentów pod budowę stałej bazy oraz obecności człowieka na naszym naturalnym satelicie.

Oczywiście na tle całej tej historii można dodać złośliwie – ale zaznaczam, całkowicie złośliwie – jedną zgodną z faktami konstatację: na koniec sierpnia 2019 r. za 100 proc. przestępstw popełnionych w przestrzeni kosmicznej odpowiadają przedstawiciele społeczności LGBT. No cóż... ©℗

eprasa.pl e505c478f7

OKIEM BLOGERKI

Schadenfreude

KATARYNA

***MARCIN BOSACKI:* Pochylonych nikt nie szanuje. Odwołanie wizyty Trumpa z powodu pogody to symbol trzech lat polityki pochylenia zamiast partnerstwa.**

Ten tweet kandydata Koalicji Obywatelskiej na senatora to symbol trzech lat platformianej polityki bezmyślnego hejtowania zamiast merytorycznej krytyki, na którą rząd PiS z pewnością zasługuje, ale drugą kadencję będzie zawdzięczał m.in. zdziecinniałej opozycji. Jeśli nawet były ambasador RP – skądinąd zrobiony nim przez ministra, który politykę swojego rządu wobec Stanów Zjednoczonych określił jako „murzyńskość" i „robienie łaski" – nie umie normalnie ocenić odwołania wizyty Trumpa w Polsce, to czego się spodziewać po mniej dyplomatycznie doświadczonych politykach opozycji?

Moim absolutnym faworytem w twitterowych zawodach na najgłupszy komentarz opozycji do odwołanej wizyty jest „analiza" autorstwa Marcina Kierwińskiego, byłego szefa gabinetu politycznego Ewy Kopacz. „Trump odwołuje wizytę w Polsce. Oficjalnie z powodu huraganu. Nieoficjalnie zaś wystarczyło poczytać amerykańskie media i ich oceny »demokratycznych« rządów PiS, by lepiej zrozumieć tę decyzję" – pisze Kierwiński i jest to taki rozpaczliwiec, że mi się nawet szkoda zrobiło autora na krótką chwilę. Tak, z pewnością Trump znany z głębokiego szacunku do praworządności i jeszcze głębszego do liberalnych mediów przejął się przeczytanym w przerwach w pakowaniu artykułem o Polsce i odwołał wizytę na finiszu przygotowań. Nie wiem, czy Kierwiński sam wierzy w to, co pisze, czy tylko własny elektorat ma za tak nierozgarnięty, ale dlaczego nie poszedł na całość i nie napisał, że wizyta została odwołana w reakcji na list „byłych dyplomatów"? Naprawdę nikt w sztabie na to nie wpadł?

Jeden z sygnatariuszy listu, Ryszard Schnepf, z pozycji autorytetu, jaki daje mu doświadczenie w ambasadorowaniu w USA, podzielił się z czytelnikami „Gazety Wyborczej" przekonaniem, że Trump w swoim warszawskim wystąpieniu z okazji rocznicy wybuchu II wojny światowej „powiedziałby, jak ważna jest dla niego praworządność i demokracja", oraz własnymi przemyśleniami o powodach odwołania wizyty. Otóż podobno amerykańscy analitycy wyanalizowali, że PiS jest bliski utraty władzy i Trump, planując coś załatwić z kolejnym rządem, nie chce się pokazywać z obecnym. „Być może w Waszyngtonie powstało przekonanie, że utrata władzy przez PiS po nadchodzących wyborach jest możliwa. Obecność prezydenta USA w każdym kraju, a zwłaszcza w Polsce, to silne wsparcie dla rządzących. Analitycy pracujący dla Białego Domu uznali, że prezydent nie powinien tego robić. Amerykańskie związki z Polską mają długofalowy charakter. Gdyby faktycznie PiS przegrał, podjęcie pewnych tematów z nowym rządem byłoby trudne, gdyby wizyta miała miejsce".

Ciekawe, czy dyplomata Schnepf rozumie, że ta hipoteza jest obraźliwa nie tylko dla amerykańskiej dyplomacji, lecz także dla przyszłej platformianej, jeśli ta ma blokować jakieś ważne tematy tylko dlatego, że zaczął je PiS. Może on ich jednak lepiej zna.

PiS dużo stracił na odwołaniu wizyty Trumpa, ale pewną nagrodą pocieszenia musi być teraz skala kompromitacji opozycji nawet niepróbującej ukrywać satysfakcji z tego, że Polska coś straciła. Przed wyborami takie obnażenie intencji i emocji – bezcenne. ©℗

PODSŁUCHANE

Coś tu śmierdzi

No, Rafał, mamy sukces!
Jaki sukces? Podobno nadal śmierdzi, a Morawiecki nam tu jakieś mosty pontonowe będzie robił.

Nie rozumiesz. Właśnie ogłosili, że Trump nie przyjeżdża!
Jak to, nie przyjeżdża?!

Normalnie. Odwołał! A to się pisiorki wkurzą!
Ale dlaczego? Że demokracja jest gwałcona oraz wolność słowa i te tam? Uwierzył w te bzdury?

No nie. Aż tak, to nie. Niby tam oficjalnie podają, że to z powodu tego huraganu, co się zbliża. Ale ja mam inne przesłuchy. I teraz się trzymaj!
Trzymam się. Jakie?

To przez gów... Znaczy, przez Czajkę!
Ale że jak?

Normalnie! Bo jak nam tutaj to gów... No, jak się incydent kałowy zdarzył, to ci nasi ambasadorowie napisali drugi list, tylko już nieotwarty, i dostarczyli szybko do Waszyngtonu naszymi, za przeproszeniem, kanałami, że strasznie śmierdzi. A Trump wiesz, jaki jest.
Nie wiem.

Strasznie porządnicki. Wszystko musi być tip-top, szczoteczką do zębów wyszorowane. A ten smród i to gów... No wiesz, ścieki – to jest nie do, za przeproszeniem, przełknięcia dla niego. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zagrali gównem, dostali huraganem".

TOMASZ LIS, *publicysta, na Twitterze o przełożeniu wizyty prezydenta USA w Polsce*

eprasa.pl e505c478f7

Nie te LGBT

fot. Jerzy Gumowski

Zawsze, we wszystkich epokach, istniało LGBT (takie już biologiczne fatum), ale dawniej funkcjonowało *„pod kołdrą”*, czyli praktykując azyl intymności, co było do przyjęcia, *„nolens volens”* (chcąc nie chcąc), czyli do tolerowania, i tylko tolerowania (Nicolás Gómez Dávila: *„Tolerowanie nie powinno polegać na zapominaniu, że tolerowane zasługuje wyłącznie na tolerancję”*). Dzisiejsze LGBT to dewiacyjne żądania prawne oraz instytucjonalne (małżeństwa, adopcje, itp.) oraz wulgarna uliczna ofensywa zboczeń i tupetu, prowokująca agresję z premedytacją, gdyż sama będąca agresją śliskiej, wytatuowanej, obnażonej, perwersyjnej golizny. Pośród ludzi normalnych nie ma zgody na tę totalitarną dżumę, i na terror stosowany przez jej heroldów. Ciche LGBT nie wadzi postronnym. Lecz nie te LGBT, które chce do imentu spaskudzić/zgangrenować nasz świat.

Aktywiści i pijarowcy LGBT notorycznie — dla mydlenia ludziom oczu — szermują wzniosłymi hasełkami typu *„humanizm”*, *„wolność”*, *„prawa człowieka”*, etc. Tę demagogię *„zboków”* diagnozował proroczo już ćwierć wieku temu biskup Paryża, kardynał Jean–Marie Lustiger, mówiąc (wywiad dla **„Le Point”**, 1995): *„ — Za fasadą tych kłamstw kryje się perfidna kalkulacja. Mamy tu wewnętrzną sprzeczność dzisiejszej rzekomo liberalnej kultury bycia, która niby lansuje postępową ambicję, by chronić ludzką godność, a tymczasem wywołuje odwrotne skutki, degradując kondycję człowieka i wznosząc fundament antyhumanizmu”*. Za czasów Lustigera to były pierwociny *„tęczowej”* zgnilizny — dzisiaj *„tęczowe”* szambo rozlewa się po całym globie już nie strumieniami, lecz wielkimi falami typu tsunamicznego.

À propos owej tęczowości: pedalska tęcza to rezultat kradzieży, efekt dewiacyjnego przekrętu. Cudowne zjawisko natury, tęcza, opiewana już od starożytności piórami (poetów i prozaików) czy pędzlami (malarzy wszystkich epok), darzona wszędzie kultem, przez chrześcijaństwo sakralizowana — pod koniec XX w. została bezczelnie zawłaszczona przez dewiantów i katapultowana przez nich ze sfery niebiańskiej/olimpijskiej do sfery gównianej/patologicznej, czyli wychodkowej. Można to porównać z kradzieżą swastyki przez hitlerowców, którzy czyniąc ją swym godłem splugawili ów równoramienny krzyż o załamanych pod kątem prostym ramionach, będący dla naszych słowiańskich przodków symbolem witalności, rozrodczości, słońca, ciepła, ognia, i jeszcze długo po zapanowaniu krucyfiksu czczony nad Wisłą jako prymitywny krzyż (vide jego kształt kuty na murze kolegiaty kruszwickiej; umieszczano go też jako *„swarzycę”* wewnątrz kapliczek przydrożnych), a w *„międzywojniu”* stanowiący mundurowe, medalowe, sztandarowe oraz legitymacyjne godło licznych jednostek Wojska Polskiego (4 Pułk Piechoty Legionów, sześć pułków Strzelców Podhalańskich, 21 Górski Pułk Artylerii, 21 i 22 Dywizja Piechoty Górskiej, i in.). Hitleryzm spaskudził ów znak w oczach opinii publicznej całego globu, tak jak teraz pedalstwo paskudzi tęczę na całym świecie.

Ubabranie samej tęczy wszetecznością stało się przedsionkiem czegoś dużo gorszego — jej zaprzęgnięcia do bluźnierstw anty-Maryjnych. Nie wystarczyło LGBT–owcom homoutęczowienie aureoli Matki Boskiej Częstochowskiej — było zbyt słabo szokujące, gdyż bez skojarzenia genitalnego — tedy zaczęli ukazywać Madonnę (obrazkami, figurkami, transparentami) jako rozchyloną i pełną kolorów tęczy waginę. Co nie jest przez *„mainstreamowe”* media piętnowane jako karygodny bandytyzm — bandytyzmem zwą one ludzi rzucających kamieniami w dywersantów, którzy rozwalają tradycyjny etyczny porządek padołu ziemskiego.

Greer Lankton, **„Jezus Maria”** vel **„Jezus transwestyta”** (nowojorskie Centrum Sztuki Współczesnej)

Owa nihilistyczna dywersja ma silne centra dyspozytorskie i propagandowe na całej kuli ziemskiej. Takie, jak choćby gigant medialny Netflix, który od paru lat do wszystkich swoich produkcji filmowych pakuje — trzeba, czy nie trzeba (to jest nie zważając czy ma to sens, czy jest uwarunkowane fabułą) — elementy LGBT (wszelkie ich formy), i swobodnie przekracza przy tym granicę dobrego smaku. Exemplum najnowszy, trzeci sezon popularnego serialu **„Designated Survivor”**, będący istną orgią (nomen omen) reklamową LGBT — od pederastii, do transpłciowości — z takimi *„momentami”* jak długa i hardcore'owo pokazana sekwencja seksu uprawianego przez dwóch czarnoskórych homoseksualistów, stanowiąca silną konkurencję dla profesjonalnych filmów branży porno, czy debata *„babochłopów”* wychwalających rozkosze płynące z odmienienia sobie płci, chociaż nie brak i innych politpoprawnych smaczków (a nawet wątków) ze sfery *„rasizmu”*, *„szowinizmu”*, *„feminizmu”*, czasami aż komicznych (admirała będącego dowódcą amerykańskiej marynarki gra Murzynka wyglądająca na nastolatkę). Wyraźnie Netflix przejawia już uzależnieniową manię prodewiacyjną. Żeby tylko on jeden w świecie mediów, szołbiznesu i deprawacyjnej seksedukacji! Stare bajki dla dzieci są już coraz częściej *„modyfikowane”* — np. w Skandynawii — politpoprawnościowo, także LGBT–owsko!

Zaprzęgnięcie wszelkich form twórczości artystycznej czy pedagogiki do *„tęczowego”* rydwanu przyszło LGBT–owskiej mafii łatwo, te dziedziny bowiem były głównymi (obok mediów) *„targetami”* trwającego kilka dekad *„marszu przez instytucje”* (kłania się włoski komunistyczny doktryner Gramsci i neomarksistowska Szkoła Frankfurcka), czyli pankulturowego procesu, który skolonializował pojęciowy/opiniotwórczy świat lewacko. Walczyłem z tym od początku lat 90–ych XX stulecia, używając — a jakże! — terminu *„zaraza”*, oraz analogicznych, równie dosadnych, no i ilustrując tę publicystyczną kontrofensywę zdjęciami takich transseksualnych paskudztw jak głośne kontrChrystusowe popiersie autorstwa Greera Lanktona (1989). Przegrałem (ja, i mnie podobni don Kichoci) — LGBT się od tamtej pory baaardzo rozrosło. Więc — à propos don Kichota — prędzej czy później okaże się, że przez całe stulecia ludzkość źle rozumiała tradycyjne określenie *„błędny rycerz”*, sądząc, że to rycerz błąkający się, tułający, wędrujący gwoli dokonywania heroicznych czynów, gdy tymczasem *„błędny”* oznaczało po prostu błąd w rozpoznaniu płci owego wojaka, który był figurą *„waginopozytywną”*. Drukować się tedy będzie *„genderowo”* poprawioną **„Doñę Kichotę”**, waleczną damę lejącą mieczem lub kopią *„homofobów”*, no i dominującą uległego jej, pokornego señora Dulcynea.

LGBT–owcy protestują gdy ich neomarksistowski terror nazywany bywa *„ideologicznym”*, lecz jest on niczym innym jak właśnie *„ideologicznym terroryzmem”*, o którym Jean–François Revel pisał w **„Le Figaro Littéraire”**: *„Metody ludzi posługujących się nim są brudne, ale oni nie znają innych metod. Te metody wypracował swego czasu bolszewizm za sprawą Lenina, który był wielkim terrorystą intelektualnym”* (2000). Fucking assholes! ©℗

Waldemar Łysiak

PS. Duże brawa dla Redaktora Sakiewicza za nalepkę, która znaczy: LGBT won!

eprasa.pl e505c478f7

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło: **„A jednak coś po nas zostanie".**

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI KONCERTU: PGNiG, ORLEN

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, fundacja arp

PATRONI MEDIALNI: Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl e505c478f7